

POD ZNAKIEM POLSKIEJ AKADEMII LITERATURY

*ELIZA
ORZESZKOWA*

PISMA



AUSTRALCZYK

G E B E T H N E R I W O L F F

AUSTRALCZYK

POD ZNAKIEM POLSKIEJ AKADEMII LITERATURY

PISMA ELIZY ORZESZKOWEJ

REDAKTORZY

AURELI DROGOSZEWSKI
LUDWIK BRUNON ŚWIDERSKI

TOM XXI



NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA

WARSZAWA

ELIZA ORZESZKOWA

AUSTRALCZYK



NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA

WARSZAWA

OKŁADKĘ PROJEKTOWAŁ T. PIOTROWSKI
OPRAWĘ — E. MANTEUFFEL



DRZ.
R05.
61

COPYRIGHT BY GEBETHNER I WOLFF

DRUKARNIA NARODOWA W KRAKOWIE

1 9 3 9

**„Błogosławieni, którzy cierpią dla
sprawiedliwości, albowiem ich jest
Królestwo Niebieskie“.**

(Ewang. u św. Mat. 5—3—10).

W S T Ę P

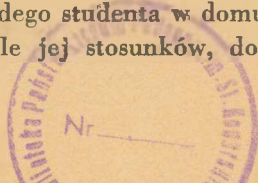
Roman Darnowski, młody urzędnik jednego z głównych biur państwowych, należał do kategorii ludzi, którym powodzi się wybornie, a którzy jednak nie czują się zadowolonymi. Natura obdarzyła go dość hojnie; okoliczności, w porze dzieciństwa niepomyślne, potem sprzyjały mu stale. Fenomenem nie był w kierunku żadnym, ale posiadał zdolności umysłowe, które pozwoliły mu świetnie ukończyć wyższe naukowe studia, i powierzchowność ujmującą, której przeważnie zawdzięczał znaczne powodzenie towarzyskie. Przed dziesięciu laty przybył do ogromnego miasta i od razu znalazł w tym lesie drzewo takie, które go od wichrów, słót i zbłąkania się osłoniło. Był nim dom krewnej jego, która niegdyś, jako skromna i prawie uboga panienka, nosiła to samo, co on, nazwisko, a od lat już kilkunastu była bogatą, z szerokimi kołami towarzyskimi zestosunkowaną panią baronową Lamoni. Wypadek był dość rzadkim. Dziewczyna piękna i zalotna, z małego dworku szlacheckiego, została żoną człowieka zajmującego na szerokim świecie stanowisko wysokie i przedzierzgnęła się na damę światową, prowadzącą w wielkim mieście dom otwarty, wesoły, napęczniony zbytkiem natury wszelkiej. Stało się to już dawno. Roman wcale jej nie znał, gdy po raz pierwszy złożył jej wizytę z listem polecającym od Domuntów, sąsiadów jego stryja, których baronowa była krewną daleko bliższą niż Darnowskich. Kobieta już niemłoda, ale jeszcze piękna i więcej niż kiedykolwiek zalotna, sprawiła na nim wrażenie istoty zaciekawia-

jącej, bo należącej do gatunku całkowicie mu dotąd nieznanego. Otoczenie, w którym żyła, wydało mu się wprost czarodziejstwem. Dziecko skromnych dworów wiejskich nie mogło przez czas długi napatrzeć się, nasłuchać, oprzytomnieć w tym państwie zbytku i wykwintu, którego królowa okazała się dla niego bardzo łaskawą. O tak rozkosznym wstąpieniu w świat nieznany ani marzył. Dotąd znał tylko dom ojcowski, w którym żył do lat dwunastu i o którym wspomnienia odpędział z całej siły, ilekroć opanować go próbowały; dom stryja, wcale już inny, lecz tak jak tamten wiejski, a daleko skromniejszy i cichszy od tamtego, kilka dworów sąsiedzkich i miasteczko, w którym uczęszczał do szkół, trochę brudne i bardzo ubogie. Kobięcym zaś ideałem jego od lat paru była kuzynka Irena, dziewczę o trzy lata od niego młodsze, z twarzą bladawą, oczyma szarymi i grubą, ciemną kosą rzuconą na stannik sukienki perkalowej. W każde święta i wakacje znajdował ją w domu stryja i albo tańczył z nią polkę i walca przy muzyce stryjenki, albo bardzo poważnie rozprawiał o zadaniach i powinnościach życia męskiego, kobiecego lub w ogóle ludzkiego. Bo w czasie owym, to jest w ostatnich paru latach nauki szkolnej, był rezonerem wymownym i zapalczywym, a raczej należał do gromadki takich rezonerów, szczerze i gorąco przenikniętych przedmiotami swego rezonerstwa. Krytykowali wszystko, co wydawało się im złym lub marnym, wznosili ołtarze dla tego, co budziło w nich cześć lub miłość; w marzeniach i długich wywodach przekształcali, popychali, doskonalili, słowem, poruszali z posad ziemię. Ilekroć w czasie świąt i wakacji znaleźli się razem na wsi, Irena należała do ich kółka marzycielskiego i szumnego; mówiła daleko mniej niż oni, nie rezonowała ani dysputowała, tylko słuchała, słuchała z takim skupieniem niekiedy, z takim blaskiem w szarych oczach, jakby wszystkie ich opowiadania, argumenty, uniesienia, postanowienia wchodząc w jej duszę, czyniły ją zamyśloną i ognistą. Często nie rozumiejąc tego lub

owego po skończonej rozmowie zbliżała się do Romana i prosiła go o wyjaśnienia; nikogo więcej, tylko zawsze jego jednego o to prosiła. Widział w tym dowód sympatii z jednej strony, a z drugiej zaufania do jego wyższości umysłowej. Nie mylił się zapewne i uszczęśliwiała go to ogromnie. Wyjaśniał, opowiadał, nauczał, potem prosił stryjenki, aby zagrała walca i kręcił się ze śliczną kuzynką po niedużej bawialni, aż do utraty oddechu i zawrotu głowy. Była też tam lipa stara i rozłożysta, pod którą czytawali czasem poezje różne, a czasem — rzecz dość dziwna — Plutarcha żywoty mężów wielkich. Książkę tę wyszperał w biblioteczkę domowej stryjeczny brat Romana, Stefan Darnowski, i puścił w obieg pośród kolegów jednomysłnych. Roman w czasie ostatnich wakacji czytał tę książkę z Irenką. Czytali ją na przemian z poezjami. Ona słuchając Plutarcha opuszczała robotę na kolana i patrzyła to na lektora, to w przestrzeń oczyma wprost gorejącymi. Przy poezjach znowu miewała łzy nie tylko w oczach, ale czasem aż na policzkach bładawych i delikatnych jak płatek kwiatu. Potem szli razem na długie przechadzki po polach i lesie, w czasie których biegali i dokazywali jak małe dzieci. On kochał ją za zgrabną kibić, za szare oczy, za gruby warkocz na plecach, za głębokie zadumy przy Plutarchu, za łzy przy poezjach, za lekkie tańczenie walca, dziecinne dokazywanie na przechadzkach, za wszystko, słowem, co było nią, jej ciałem i duszą, a zdawało mu się, że kochał silnie, nawet szalenie i na zawsze.

Była to więc sielanka, może świeża i pełna wdzięku, może nawet niezupełnie pospolita, bo wchodził w nią pierwiastek marzeń niesamolubnych, trochę naiwnych, ale bardzo szczerzych — zawsze jednak sielanka. Nie dziw tedy, że po przybyciu do wielkiego miasta na studia uniwersyteckie wszystko, co zobaczył i czego doświadczył w domu i pod skrzydłem opiekuńczym swojej bogatej i świetnej krewnej, stało się dla niego czymś na kształt urzeczywistnionej bajki czarnoksię-

skiej, wobec której sielanka coraz więcej bladła, płowiała, malała do rozmiarów fraszki albo zabawki dziecinnej. Po niedługim czasie stanowczo powiedział sobie, że wszystko, co z nim działo się i stawało przedtem, było dzieciństwem; zaś życie naprawdę, męskie, dojrzałe, realne, rozpoczęło się dla niego dopiero, odkąd tu przybył. Teraz dopiero poznawał świat rzeczywisty, jego zasoby, rozkosze, ścieżki, drogi; świat, w którym wcale nie było łatwo zająć miejsce wygodne, ale w którym jedynie żyć było warto. Teraz także zaczął rozumieć i usprawiedliwiać ojca swego, którego dotąd w najskrytszych głębinach serca i rozumu sądził surowo. Był to człowiek namiętny i rozrzutny, lubiący nade wszystko wesołość i użycie. Strwonił majątek w sposób, który nie tylko przyprawił go o ubóstwo, lecz przyprawiłby o hańbę, gdyby brat z pomocą nie pośpieszył. Ten brat przyniósł pomoc skuteczną honorowi jego, zagrożonemu przez złorzeczenia wierzycieli, i jedynemu dziecku ze wszelkich środków ogołocnemu. Roman pamiętał swoje dziecięce smutki i nawet rozpaczę, pamiętał wiele rzeczy bolących, zawstydzających, i w tajemnicy swego serca i rozumu wydawał na ojca, na jego życie i postępowanie wyrok surowy. Teraz zaczął go rozumieć i usprawiedliwiać. Cóż? Chciał on użyć życia. Odkąd przekonał się, jak słodkim ono być może, mniej dziwił się żądzy wypijania jego słodyczy, choćby haustami zbyt dużymi. Zrozumiał, że sztuka prawdziwa polegała na tym, aby na-przód zdobyć napój, a potem pić w miarę, tak aby móc pić zawsze. Przykładów takiego zdobywania i miarkowania miał przed oczyma mnóstwo. Naprawdę, nikt prawie nie czynił tu nic innego, jak tylko zdobywał i miarę użycia zastosowywać usiłował do miary zdobyczy. Złe lub dobre zastosowywanie sprowadzało skutki odpowiednie. Były to nieustanne lekcje poglądowe, które roztaczały się przed wzrokiem młodego studenta w domu jego bogatej krewnej i w szerokim kole jej stosunków, do którego wprowadziła go ona



z dobrocią macierzyńską, silnie zaprawioną pierwiastkiem innej wcale natury. Kiedy zobaczyła go po raz pierwszy, był chłopakiem wysmukłym, zgrabnym, z ładnymi rysami twarzy ściągłej i świeżej, z jasnym wąsikiem nad wargą rumianą i gęstymi włosami nad czołem gładkim jak u dziecka. W oczach jego, szafirowych i głębokich, było zmieszanie marzycielstwa i ciekawości, nieśmiałości i energii. Pewna nawet niezgrabność, z jaką poruszał się w świecie nieznanym, sprawiała wrażenie świeżości, ponętne dla wzroku przywykłego do kwiatów sztucznych. Jakkolwiek ostatnie były bardzo umiejętnie farbowanymi, to jednak róża naturalna, niezupełnie jeszcze z pąka rozwinięta, musiała być uciechą dla oczu i nawet niejaką ozdobą dla salonu. Przeszło czterdziestoletnia, resztkami piękności goniąca, światem, uciechami, wrażeniami przesycona i zarazem, rzecz dziwna! nigdy ich nie syta, Klara Lamoni od razu zaciągnęła młodego krewnego w poczet swych dworaków i osypała go faworami, którymi na czas jakiś upił się jak narkotykiem. Wytrzeźwiał potem i oddał się nauce z zapalem, obudzonym przez dwie przyczyny: miał do nauki zamiłowanie rzetelne, a zarazem świadomość jasną, że tylko ona zapewnić mogła młodzieńcowi ubogiemu prawa stałego obywatelstwa w tej sferze upodobań i przyzwyczajęń, którą coraz częściej zaczął nazywać swoją. Powoli druga z tych przyczyn zacierać zaczęła pierwszą, a raczej wchłaniać ją w siebie, aż zlały się z sobą tak zupełnie, iż po latach paru Roman musiałby zawahać się przed daniem odpowiedzi rzetelnej na zapytanie: dlaczego się uczy? Zawahałby się, bo pierwszym jego popędem byłoby zawołać, że kocha naukę, ale zarazem uczułby wyraźnie, że nie jest to już prawdą, albo przynajmniej jest tylko częścią prawdy, może coraz mniejszą. Niewątpliwie, wykłady uniwersyteckie, dzieła przez profesorów do czytania wskazywane zajmowały go żywo, czasem namiętnie. Czasem czytywał, notował, uczył się przez całe szeregi dni i nocy nieustannie, za-

palczywie, do zmęczenia się ostatecznego. Niewątpliwie, przeszczerzenie i głębie przez naukę odsłaniane zaciekawiały go i pociągały. Jednak zarazem coraz częściej ogarniały go rozmyślenia: czy praktycznie postąpił obierając sobie gałąź nauki tę, nie inną? Czy gdyby był obrał inną, nie doszedłby łatwiej i rychlej do celu, to jest do stanowiska niezależnego, obiecującego przyszłość coraz niezależniejszą i szerszą? Czasem zdawało mu się, że tak, czasem, że nie, i od tego, jaką odpowiedź na te pytania znajdował w rozważaniach własnych lub w przykładach przez otoczenie dostarczanych, zależał przez czas jakiś stopień jego zapалу do nauki. Jakkolwiek bądź, uczył się, pracował, przez co niekiedy na dość długie dni i tygodnie oddalał się od domu i świata opiekunki możnej i dobrotliwej. Jednak powracał do nich, zrazu dla względów przyzwoitości i wdzięczności, potem dlatego że je lubił, na koniec dlatego że już obejść się bez nich nie mógł. Jednak zarazem mógł wyrzec się wielu rzeczy, jeżeli posiadanie ich było przeciwnym pewnej kategorii jego uczuć lub wyobrażeń. Z natury rozrzutna, dla niego szczególnie hojna baronowa zamarzyła o przerobieniu jego skromnej izdebki studenckiej na apartamencik wygodny i wytworny. Nie przyjął i po raz pierwszy stoczywszy z opiekunką i przyjaciółką sprzeczkę dość ostrą, przez długie parę miesięcy do domu jej nie powracał. Powrócił jednak. W czasie tego ostracyzmu dobrowolnego, gnany uczuciami zawstydzienia, zgryzoty, tęsknoty, nagle w nim powstającymi, rzucił się był ku współtowarzyszom, całkowicie inaczej niż on żyjącym i czującym. Ale tu stała się rzecz dla niego samego niespodziewana: nie mógł już pogodzić się z ich ubóstwem, prostotą, niekiedy prostactwem, w które ubierali się umyślnie, z surowością ich zasad, z szerokością ich myśli i zamiarów. Oni na wzajem ani myśleli szczerzyć mu krytyk, żartów, przezwisk, docinków. Po próbach dość długich zbliżenia się i zżycia opuścił ich z ziarnem goryczy i rozczarowania, po raz pierwszy może za-

padłym w serce, a które, nie wiedział jasno, czy je uczuwał do nich, czy do siebie. Było jedno i drugie. Uczuwał żal do nich, ale zarazem i do samego siebie; lekceważył ich, ale trochę i siebie. O nich myślał: „Gbury i pedanci!"; o sobie: „Wykierowałem się na gagatka i krótkowidza!" Nie zdając sobie z tego sprawy dokładnej czuł, że zaczyna krótkowidzieć. W życiu umysłowym, jakim, bądź co bądź, musiało być życie studenta, nasuwały się co chwilę przed myśl i wyobrażenie idee, teorie, zagadnienia. Szedł za nimi do kroków dziesięciu i stawał, wiedząc o tym, że można było iść do stu i więcej. Ale on stopniowo i nieznacznie, jeżeli nie nabierał wyraźnego wstrętu do dalekich zagłębiań się i dochodzeń, to przynajmniej chęć do nich tracił. Ale był nawet i wstręt niewyraźny. Ileż razy słyszał o nich: „To niepotrzebne!" albo: „To niebezpieczne!" albo nawet: „To nudne!" Robiło to na nim wrażenie prawie nieświadome, jednak żłobiące ślady w umyśle i w temperamentcie. Z pewną tedy goryczą myśląc: „Robię się gagatkiem i krótkowidzem!" powrócił do wspaniałego apartamentu znajdującego się przy jednej z najpiękniejszych ulic miasta, co przyszło mu z łatwością tym większą, że do powrotu wzywany był wielokrotnie i uporczywie. Znowu jak przedtem, ale z wprawą i zręcznością coraz większą chodził i tańczył po woskowanych posadzkach i puszystych kobiercach w salonach baronowej i jej znajomych, zarazem uczył się; uczył się tym usilniej, że gdy dokończenie studiów było bliskim, zagadnienie przyszłości stawało się nagłym. Dotąd bez wielkiej troski żył i stawiał czoło potrzebom wytwarzanym przez życie w sferze wykwintnej, bo w tej nawet sferze niewiele wymagano od młodzieńca, który studiów naukowych jeszcze nie ukończył. Na wszystko starczył dochód z małego kapitaliku, dawno już odebranego od stryja i korzystnie umieszczonego u plutokraty, który był bliskim znajomym i częstym gościem baronowej. Ale teraz co będzie? co czynić? jakie starania przedsięwziąć? gdzie znaleźć albo

umieścić początek życia nowego? Czy powrócić w strony rodzinne? Czy pozostać w ognisku, z którego mnóstwo dróg rozcodzi się we wszystkie strony?

Tu baronowa i jej najbliżsi pośpieszyli ze stanowczym rozstrzygnięciem kwestii. Wracać w strony rodzinne! Zagrzebać się na prowincji, w jakimś kącie zapadłym i nudnym! Ale gdzież tam! Byłoby to dobrowolnym wyrzeczeniem się nadziei najpiękniejszych, czymś na kształt samobójstwa, wprost — szaleństwem! Szkoda młodości, zdolności, wszystkich przymiotów wrodzonych i nabytych! Jakież stanowisko zająć może w stronach owych młody kandydat nauk prawnych? Jakiegoś chyba obrońcy sądowego poświęcającego siły, zdolności, naukę sprawom chłopskim i mieszczańskim, ponoszącego męczeństwo codzienne i nadaremne od roju trosk lichych, od ciasnoty stosunków prowincjonalnych, od nudy, pustki, może od niedostatku! To nie podobna. Ktokolwiek posiada możność zdobycia lepszego losu, na taki przystawać nie powinien. Roman wart lepszego losu i osiąść go może. Dopomogą mu w tym przyjaciele jego, zwłaszcza baronowa, która już teraz, zaraz, w tej chwili, wprawia się w ruch starań, próśb, zabiegów mających na celu otrzymanie dla młodego krewnego posady, o ile podobna najkorzystniejszej i najwięcej na przyszłość obiecującej.

Roman prawie zupełnie podzielał zdanie przyjaciół swoich: istotnie, dla mizernego życia na prowincji żałował samego siebie. Mniemał, że wartość jego przenosiła zapłatę, jaką to życie dać mu może. Zresztą, mnóstwo węzłów zadzierzgnęło się już pomiędzy nim a otoczeniem, w którym spędził lat kilka. Przywiązań nie miał tu żadnych, lecz wiele przyzwyczajeń i mnóstwo upodobań jeszcze nie nasyconych; przy tym zatracił pojęcie o możliwości dla siebie innej formy życia niż ta, którą poczytywał za bardzo wysoką i której uznawał się godnym. Drogę torowały przed nim wróżki dobroczynne,

których widocznie był ulubieńcem. Starania baronowej uwiecznił skutek najpomyślniejszy, o jakim tylko zamarzyć było podobna...

Od czasu tego pięć lat minęło w pomyślności stałej i zupełnej; Roman Darnowski przecież nie czuł się zadowolonym. Owszem, od zadowolenia dzieliła go przestrzeń daleko znaczniejsza niż przed laty kilku, niż u pierwszego początku drogi utorowanej mu przez dobre wróżki.

Wieczór zimowy kończył się już w naturze, ale w świecie rozpoczynał się zaledwie, gdy przed opuszczeniem kawalerskiego mieszkanka swego po raz ostatni stanął przed zwierciadłem. W mieszkanku małym, ale wykwintnie urządzonej zwierciadło oświetlone dwoma lampami odbiło zgrabną postać młodzieńczą i twarz, której rysy ściągłe i prawidłowe ocieniała gęstwina włosów ciemnych, a oświecały duże, szafirowe oczy. Może zachmurzały raczej, niż oświecały, bo wyraz ich był trochę posępnym. Na czole śniadawym leżała siateczka cieniutka, jakby z najcieńszych możliwie włosków upleciona. Były to pierwsze zarysy zmarszczek, na lat dwadzieścia dziewięć nieco przedwczesnych. Usta pod ciemnym wąsem zawsze pąsowe i kształtne nie uśmiechały się wesoło. Wprawdzie nie kurczyły się w bólu albo żałości, ale się też nie uśmiechały. Były trochę apatyczne, trochę kapryśnie skrzywione. We fraku i białym krawacie, leniwie wkładał na ręce białe rękawiczki. Musi iść na wieczór do baronowej. Nie chce mu się, ale pójdzie. Dziś szczególnie gdy doświadcza spleenu nieznośnego, który od pewnego czasu napada go coraz częściej, wolałby o wiele pozostać w domu i czytać tę zajmującą książkę, której białe karty świecą na biurku pomiędzy fraszkami z brązu i malachitu. Tak rzadko teraz zdarza się mu natrafić na książkę prawdziwie zajmującą, a ta jest właśnie taką. Nowa teoria naukowa, nowe poglądy na istotę fizyczną i psychiczną. To zaciekawia i budzi nadzieję, już w nim mocno omdlałą, że może istnieć na świecie coś świeższego, głębszego

i rozumniejszego nad to, co istnieje. Od dość dawna wtedy tylko czuje spokój i zadowolenie zupełne, choć chwilowe, gdy w ciszy i samotności czyta, rozważa, myśli. Tylko że im więcej myśli, tym więcej samo dno rzeczy wydaje mu się oddalonym i niedosięglym. Zwykły to objaw u człowieka, który wiele uczył się, doświadczał, spostrzegał. Zwykły i smutny, bo płytkość i krótkość wszechrzeczy ludzkich, gdy tylko jest poznana, sączy w serce smutek i zniechęcenie, które pod nawalem zajęć i wrażeń milkną często, lecz tylko dlatego, aby przy lada sposobności odezwać się z siłą wzmożoną. Mniejsza z tym zresztą! Wolałby jednak pozostać w domu i czytać tę książkę, niżeli iść na wieczór do baronowej, gdzie nie znajdzie najpewniej nic nowego ani szczególnie przyjemnego. Wszystko i wszystkich tam zna jak swoje pięć palców, nawet lepiej, bo o anatomii palców ma dość słabe wyobrażenie, zaś tam wszystko i wszystkich poznał do dna, do głębi. Jeżeli już zresztą wyjść z domu i iść gdziekolwiek, z większą ochotą poszedłby do tej sali, w której od dwóch miesięcy śpiewa ta szalona Irma. Płomień, wulkan nie kobieta, harfa ze strun wprawionych w taniec szalony przez namiętności nie znające pokoju ni granic. Śliczna przy tym. Filuterna, zgrabna, wabna jak sto szatanów. Dobra zresztą dziewczyna. No, dobra — to za wiele dla tej bestyjki, ale przynajmniej szczerą. W ogóle światek, do którego należy Irma, wydaje mu się lepszym i nawet przyjemniejszym od wielkiego świata przez to, że jest szczerym. Tu przynajmniej wiadomo, co o kim trzymać, bo każdy przedstawia się jasno i otwarcie takim, jakim jest, i tym, czym jest, przy czym wesołości nie tłumi i przyjemności nie tamuje żaden woal. Tam za woalami, pchu! to samo albo nie wcale oprócz nudy. Tylko woale piękne lub świetne, i ten szczęśliwy, kto jest za mało bystrym albo nie dość przybliżonym, aby dostrzec, co za nimi. Niedawno czytał traktat Carlyle'a o znaczeniu sukien moralnym i towarzyskim. Z książką tą spędził parę wieczorów bardzo przyjem-

nych. Czytając ją myślał i teraz myśli, że autor jej był wynalazcą bardzo dowcipnym. Bo niewielu ludzi domysła się, jak ogromną rolę odegrywa w ludzkości rzecz z pozoru tak pospolita, jak suknia. Trzeba tylko zrozumieć ten wyraz w całej jego ogromnej rozciągłości. Wszystko zależy od sukni. Baronowa Lamoni i Irma, szansonistka, tylko dlatego zajmują w świecie stanowiska zupełnie odmienne, że trafiały urodzenia i losu przyrodziały je w suknie odmienne. Same w sobie, niezależnie od swoich sukien, są zjawiskami zupełnie jednej natury, tylko Irma jest zabawniejszą, bo szczerzą. Niedługo byłby oburzył się na porównanie takie, ale teraz, ba, ba! wie dobrze, jak wyglądają farbowane lisy. Gdyby nie wiedział! Może wiele dałby za to, aby nie wiedzieć, ale wie, i na to rady nie ma.

Usiadł na otomanie stojącej w rogu malutkiego saloniku i gryząc w zębach zgasłe cygaro myślał, że to jego mieszkanie, zupełnie jak ten świat, w którym życie mu upływa, pełne liczmanów, które udają dukaty. Na pierwsze spojrzenie wszystko tu barwne, puszyste, błyszczące, kosztowne, ale w rzeczywistości tandeta i tanizna udające wykrint i kosztowność. Bardzo zręcznie zastosowany tu został wynalazek świecących lichot. Pierwszą przyczyną powstania w świecie tego wynalazku było połączenie środków bardzo miernych z wymaganiami pewnych środowisk i upodobań. Gdzie szanowanym i lubionym może być tylko bogactwo, tam każdy przywdziewa suknię utkaną choćby z jego pozorów. On uczynił tak, jak w jego środowisku czynią wszyscy. Gdyby chciał być pod tym względem oryginalnym, musiałby z góry wyrzec się wszystkiego, co stanowi powodzenie. Przy tym brak estetyki w otoczeniu, choćby takiej, liczmanowej, byłby dla niego dotkliwym; lubi rzeczy piękne, a w ich braku, takie choćby, które zręcznie udają piękność. Prawdę mówiąc, na tych brązowych lichtarzach, przyciskach, ramach, które świecą jak złoto, tyle jest złota, że za jego cenę ostatni nawet biedak nie utrzymałby

długo nędznego życia. Tkanina okrywająca otomanę, na której siedzi, z dala podobna do puszystego pluszu, jest pajęczyną, której nietrwałość i szorstkość przykrywa trochę jedwabiu. Malachitowe cacka przyozdabiające biurko mają pełno szczerb i uszkodzeń, które tylko dzięki zręczności ustawienia są prawie niewidzialnymi. Piękne zwierciadło z konsolą i lampami porcelanowymi nabył wypadkiem... Ach, te wypadki, wyprzedaże, anonse dziennikarskie, którym zawdzięczał znaczną część elegancji napelniającej to mieszkanie, zbrzydły mu do stopnia wstrętu i ohydy! Bo w gruncie rzeczy jest to komedia, którą odegrywa przed ludźmi i przed samym sobą. Ale inaczej nie podobna. Wynagrodzenie, które za swoją pracę otrzymuje, jakkolwiek w stosunku do wieku i zasług jego bardzo znaczne, jest w porównaniu z jego potrzebami bardzo mizernym. Potrzeby te z powodu środowiska, w którym żyje, i upodobań, które nabył, są tak wielkimi, że środki posiadane żadnym sposobem zadowolnić ich nie mogą w zupełności, jeżeli zaś w części zadawalniają, to tylko dzięki staraniom, zabiegom, wypadkom, wyprzedażom — liczmanom ukazywanym jako dukaty, słowem, komedii nudnej, nużącej i której się wstydzi. Cóż więc dziwnego, że od lat paru doświadcza niekiedy ataków zniechęcenia, rozczarowania, smutków gryzących i posępnych! Z przyczyn ich nie zdawał sobie dotąd sprawy dokładnej, ale główna leży na wierzchu. Może jedyna. Bo czegoż więcej mu niedostaje? Gdyby posiadał większą swobodę i szerokość życia, których užyczyć mogą większe środki materialne, byłby znowu, jak dawniej, wesołym i z losu swego zupełnie zadowolonym. Pragnie także mieć większe upewnienie co do przyszłości. Od lat pięciu przebywa na jednym miejscu. To za długo. Pomimo że w pracy biurowej nie znajduje nic wcale ponętnego, że owszem, wydaje mu się ona suchą, nudną i prawie nic z siebie nie wydającą, usiłuje być urzędnikiem wzorowym, pochlebia sobie, że jest takim, i wie, że za takiego poczytują go zwierzchnicy.

Jednak ani o krok nie posunął się jeszcze naprzód. Trwa to za długo i niepokoić go zaczyna. Może być bardzo, że jeszcze przez całe lata przyjdzie mu biedę klepać, bo trzeba to sobie powiedzieć bez ogródek, że takie życie, jakie teraz prowadzi, jest klepaniem biedy, odrobinę pozłoconej, jak te lichtarze powleczone warstewką pozłoty, jednak biedy. Teraz, na przykład, ta Irma działa na niego jak szampan i gdyby miał środki znaczniejsze... Ta sama historia, co w roku zeszłym z Aurorą, wołyżerką cyrkową, którą mu odbił brzydał ospowaty i garbaty, ale milioner...

Nagle porwał się z otomany i parę razy przebiegł szybko salonik.

— Pfu! o czym ja myślę i nad czym biadam! Jeszcze trochę, a nabiorę do siebie obrzydzenia takiego, że chyba w łeb sobie palnę, aby przynajmniej z jednej poczwary świat oczyścić!

Istotnie, uczuł do siebie obrzydzenie, złagodzone wkrótce rozwałą, że jednak w trwodze i trosce o przyszłość nie chodziło mu naprawdę o Aurorę lub Irmę, ale o kawałek chleba, o pewny kawałek chleba, i tyle przynajmniej suty, aby nie potrzebował liczyć się jak sknera z każdym przełkniętym kąskem. Gdyby w karierze posunął się naprzód i posiadał egzystencję szerszą, swobodniejszą, pozbyłby się najpewniej smutków i nieukontentowań, które go teraz napadają jak babskie spazmy. Ożeniłby się zapewne i życie wypełnione uczuciami rodzinnymi, ujęte w karby obowiązków przyniosłoby mu sumę zadowolenia, zupełnie wystarczającą. Myśl o ożenieniu przychodziła mu do głowy nie po raz pierwszy. Uczuwał potrzebę przywiązania się do kogoś i posiadania obok siebie istoty miłej i przywiązanej. W samotności i w świecie bywało mu coraz częściej zimno i pusto. Mętnie wyrozumiewał, że chłód pochodził z serca, które lubiąc mnóstwo rzeczy nie kochało nic i nikogo. Nie wiele zastanawiał się nad tym, lecz nierzadko, choć przelotnie myślał, że musi

przecież mieć kiedyś kogoś kochanego, kochającego, prawdziwie bliskiego, swego. Ale były dwie przeszkody. Naprzód, sprzeciwiały się temu stanowczo warunki materialne, dla niego jednego nawet nie wystarczające. Następnie, w wyobraźni jego, kędyś u jej szczytu, jakby pod jej niebem, unosił się typ kobiety, który mógłby obudzić w nim tklivość i ufność, których pokłady nienaruszone leżały na dnie jego serca, wzruszanego często, lecz płytko i nietrwale. Nie określał przed sobą tego typu w rysach jasnych i stałych; ale wiedział, że musiało to być coś dziewiczego i słodkiego, rozumnego i prawego, coś z licem, jakby wyśnionym niegdyś, bladawym, wrażliwym, z parą oczu szarych, dobrych, czasem gorejących, a czasem lżą oszklonych. Kobiety, która by taki typ urzeczywistniała, nie było w otoczeniu jego. Raz tylko, niegdyś, przyśniła mu się i potem nigdy już takiej nie spotkał. Nic to; gdyby tylko polepszył się los jego, gdyby warunki życia stały się szerszymi, a przyszłość pewniejszą, rozejrzałby się po świecie, może by znalazł taką i stał się szczęśliwym. Bo co teraz, to czuje się tak znudzonym, stęsknionym, a często i niespokojnym, jakby mu brakowało czegoś, co jest dla człowieka najważniejszym, najkonieczniejszym...

Z tym wszystkim godzina już późna i do baronowej na wieczór jechać musi. Nie widział jej od paru miesięcy. Odbywała wycieczkę w strony rodzinne, swoje i jego, gdzie miała do załatwienia jakąś sprawę majątkową: odbierała jakiś spadek, sprzedawała jakiś folwark, czy coś podobnego. Niewiele obchodziła go przyczyna, dla której puściła się w tę dość daleką podróż, i nie dowiadywał się o niej bardzo. Odkąd wróciła, nie widział jej jeszcze. Był u niej parę razy, ale w domu nie zastał; oddawała wizyty powitalne, krzątała się około urządzania dzisiejszego wieczoru, wynagradzała sobie żalosaną stratę czasu poniesioną przez dwumiesięczną nieobecność w stolicy. Śmiech go brał na myśl o tym, co ta kobieta robić mogła na wsi, przez całe dwa miesiące! Toż to musiały być

desperacje i nudy śmiertelne! Wczoraj otrzymał od niej bilecik zapraszający, z przypiskiem, który go zaciekawił: „Mam dla ciebie nowinę bardzo ważną i pomyślną; ale nie dowiesz się o niej gdzie indziej jak tylko w moim małym saloniku, na kozetce, którą znasz, za parawanikiem chińskim, który lubisz. No, spodziewam się, że mi podziękujesz, bo nowina piękna. Już niedługo, a będziesz mógł mieć sam tyle parawaników chińskich, ile tylko dusza zażąda!” Przebiegłszy oczyma ten dopisek, zrazu machnął ręką i pomyślał: „Pewno jakieś głupstwo!” Bo jej ważne nowiny zawsze były w tym rodzaju: „Wiesz? urządzamy kulig o dziesięć wiorst za miasto” albo: „W operze śpiewać będzie ten sławny Tromtadroni!” albo: „Ta M. czy N. zakochała się w tobie, aż głowa jej się kręci!” A jego te kuligi, Tromtadrony i kręcenie się głowy M. albo N. obchodziły najczęściej tyle, ile śniegi zeszłorocznej zimy. Jednak tym razem było chyba coś innego, bo coś znaczy oznajmienie, że będzie mógł wkrótce posiadać tyle parawaników chińskich, ile tylko dusza zażąda. Parsknął śmiechem. Ogromnie komicznym wydało mu się wyobrażenie o duszy żądającej parawaników chińskich. Alboż to dusze żądają rzeczy w tym rodzaju? Zresztą, prawda, są i takie, bardzo zabawne i może najszcześniejsze!

Zadzwoił, chłopakowi niedorośłemu, który wbiegł na odgłos dzwonka, rozkazał futro sobie podać i drzwi mieszkania na klucz zamknąć. Nie miał lokaja; pomimo pensji znacznej nie był w stanie go opłacać. Usługiwał mu na zapotrzebowanie syn stróża tej kamienicy pokaźnej, ozdobnej, przy jednej z ulic głównych stojącej, w której znajdowało się jego mieszkanie, także pokaźne, ozdobne, choć przez niego samego silnie krytykowane.

Na wschodach baronowej, szerokich, rzęsiście oświetlonych, dywanami wysłanych, zobaczył dwie kobiety, które wyprzedzając go nieco w białych okryciach wstępowały po stopniach wschodów powoli, równo, jakby po strudze światła

płynęły w górę. Poznał je zaraz, poskoczył i prawie w mgnieniu oka obok nich się znalazł. Natychmiast też rozpoczęła się rozmowa żywa i wesoła, w której słówka, uśmiechy, spojżenia nasuwały przypuszczenie „kręcenia się głowy“. I naprawdę, wysoka brunetka z rysami trochę ptasimi i gwiazdą brylantową w czarnych jak noc włosach była tą M., o której niedawno baronowa oznajmiała krewnemu nowinę taką: „Wiesz? M. kocha się w tobie, aż jej się głowa kręci!“ Patrząc w tej chwili na Romana można było zrozumieć to „kręcenie się“ za sprawą jego głowy tej i innych. Smutki, tęsknoty, niepokoje, rozmyślenia zamknął na klucz w mieszkaniu opuszczonym i nie był teraz niczym innym jak ładnym, wytwornym chłopcem, uradowanym z miłego spotkania, rumianymi usty uśmiechającym się do czarnych oczu z upodobaniem patrzących na niego spod brylantowej gwiazdy. Było to zupełnie szczere. Bardzo widoczna sympatia kobiety powabnej i zajmującej w świecie stanowisko dość wysokie sprawiała mu przyjemność podwójną. Lubił patrzeć w jej czarne, ogniście oczy i lubił, gdy widziano, że ona mu pozwala patrzeć w nie inaczej niż wszystkim innym. Zrobiło się mu wesoło i przyjemnie. U samych drzwi baronowej właścicielka czarnych oczu i brylantowej gwiazdy, jakby nagle przypominając sobie o czymś, żywo przemówiła:

— Wie pan o nowinie?

Pomyślał, że stanowczo był to dla niego dzień nowin. Ona mówiła dalej:

— Od dni paru bawi w naszym mieście pan Marceli Domunt, ten inżynier i aferzysta... Pewno dziś będzie u baronowej... Był wczoraj z wizytą u mnie... Bardzo przyjemny. Podobno nabab zrobił się z niego...

Weszli do przedpokoju. Marceli Domunt! Dawny znajomy i prawie kolega szkolny, choć znacznie od niego starszy. Pamięta go dobrze. Nabab! Czy tak się wzbogacił? Prawda! słyszał już coś o tym... Ciekawym będzie zobaczyć znowu

tego człowieka, tak rozumnego i zręcznego, że w czasie względnie krótkim potrafił stać się nababem!

Amfilada salonów gorzała od światła, mieniła się barwami ubrań kobiecych i męskich, wrzała gwarem głosów przyciszonych, ale licznych. Lokaje roznosili na tacach ogromnych herbatę z mnóstwem dodatków, które nie tylko smak, ale i wzrok nęcić mogły, takie to wszystko było ładne, ładnie ułożone, przyozdobione srebrem, kryształami, karmelem naśladowującym bursztyn. Na sprzętach najrozmaitszych: niższych, wyższych, ciężkich, leciuchnych, okrągłych, powyginanych, siedziały grupy kobiet i mężczyzn większe, mniejsze, podobne do klombów rozsianych po przestrzeni kąpiącej się w różowatobiałym świetle gazowym. Jak słońce w kropkach rosy stojącej na kwiatach, światło to zapalało miriady połysków na jedwabiach, w złocie, w brylantach, w oczach. Obnażone ramiona kobiece przybierały w nim pozór marmurów śnieżnych lub bladoróżowych. Długie suknie, jak wody o barwach bladawych, falowały po błyszczących kwadratach posadzki albo po fantastycznych wzorach kobierców. Zwisające od sufitów snopy i gwiazdy płomyków przeglądały się w zwierciadłach, które ich odbicia przesyłały innym, mnożąc je tym sposobem w nieskończoność daleką i olśniewającą. U okien osłoniętych draperiami ciężkich firanek na wysokich łożdżach strzelały śnieżne kielichy datury; nad gajem hiacyntów dziwne orchidee unosiły się na kształt roju pszczoł i motyli, pasiflory pełzały od okna do okna rozkładając na amarantowych adamaszkach i błękitnych pluszach swoje liliowoczerwone gwiazdy. Jaskrawozłote ramy prowadziły wzrok do pejzaży sielskich, górskich, morskich, do postaci idyllicznych i rycerskich, tu i ówdzie ukazujących się na ścianach w świetle obfitym. W jednym z salonów widać było klomb zielonych roślin przysyłający białą statuetkę, dzieło sztuki wyszłe spod dłuta znakomitego. Nad stołami wznosiły się wazy sewrskie, japońskie, wspaniałe postumenty lamp

z malachitu, z lapis-lazuli, ze starego brązu. W gwarze rozmów, przypominającym grzmot nieustannie toczący się w oddaleniu wielkim, słychać było rytmiczne szelesty zwijanych i rozwijanych wachlarzy, brzęki ostróg, dźwięki srebra uderzającego z lekka o porcelanę, niekiedy śmiechy głośne, ale krótkie, podobne do rakiet wystrzeliwujących z szemrzącego płomienia ogni sztucznych. W ostatnim salonie, daleko, zda się, daleko, za morzem światła, gwaru i kwiatów, ktoś grał na fortepianie.

U drzwi pierwszego z salonów witała przybywających gości jasna blondynka średniego wzrostu, trochę otyła, na pierwszy rzut oka bardzo piękna, w aksamitnej sukni i piórach strusich zdobiących prawie popielate włosy. Towarzyszył jej mężczyzna bardzo niemłody, bardzo bladej, bardzo łysy, mający minę Jowisza mocno sfatygowanego swoją chwałą i potęgą. Kiedy Roman zginał się przed gospodynią domu ukłonem tak głębokim i ceremonialnym, że prawie dworskim, ona nieznacznie pogroziła mu palcem. Nie pytał za co. Od tygodnia już była tu z powrotem, a nie widzieli się jeszcze z sobą. Przychodził dwa razy i w domu jej nie zastawał. Nic to. Powinien był przyjść razy dwadzieścia. Korzystając z chwilowej przerwy w nadechodzeniu gości pochylił się nieco ku niej i ze znaczącym spojrzeniem zapytał:

— Nowina?

Z bliska twarz jej przypominała porcelanową patereę z dwoma bladymi różyczkami na tle olśniewająco białym. Po tej martwocie rozplynęła się jednak uciecha promienna.

— Wyśmienita! — odpowiedziała z cicha. — Ale widzisz przecie, że w tej chwili nie mogę... Potem, przy sposobności... Teraz idź sobie w świat, baw się dobrze i baw innych...

Odchodząc myślał, że stanowczo za wiele bieli się i różuje. Czyni to od dawna, ale coraz niezręczniej. Trop de zele. Nic dziwnego. Upiększenie, przedtem lekkie i od nie-

chcenia używane, stało się teraz środkiem ratunkowym, chwytanym całą garścią. Może też i naprawdę żałośnie wyglądałaby bez tej emalii. Rozmyślania te przerwało mu spotkanie kilku kolegów i przyjaciół, którzy wciągnęli go do ożywionej rozmowy. Rzecz szła o cyfrę wynagrodzenia, którą otrzymać miał operzysta znakomity za kilka wystąpień w teatrze miejscowym. Kolosalność jej budziła w tym gronie młodzieży podziw zmieszany z odrobiną zawiści. Przyznawano powszechnie, że wielcy śpiewacy są teraz prawdziwymi panami świata i najszczęśliwsi z ludzi. Pieniądze i oklaski. Wielkie pieniądze i wieczne oklaski. Oni to rozwiązali kwestię bytu lub niebytu szczęśliwości ziemskiej! Roman wtrącił, że do tej szczęśliwości trzeba by jeszcze włączyć pierwiastek rozkoszy artystycznych sprawianych przez sztukę; ale parę głosów odpowiedziało na to śmiechem. Sztuka! ależ ci panowie ani myślą być tak wzniosłymi. Jest to rzemiosło takie, jak każde inne, a tylko stokroć zyskowniejsze od innych. Wszystko zresztą zamienia się teraz w rzemiosło, mniej lub więcej zyskowe. Rozkosze sztuki, nauki i różnych tam innych rzeczy podobnych to archaizmy...

— I parawaniki! — wtrącił Roman.

I parawaniki, potwierdzono, za którymi odbywają się wściekle gonitwy do gór złotych. Nie podobna też, aby było inaczej, bo w społeczeństwach cywilizowanych wymagania od życia tak wzrosły, że zaspokoić je mogą naprawdę tylko góry złota. Sprawia to zresztą ludzkości korzyść oczywistą, bo potrzeby ogromne sprowadzają wysilenia ogromne, z których powstaje postęp na wszelkich polach... Tu rozmawiające kółko zwróciło uwagę na kilku świeżo przybywających gości. Ten niski, przygarbiony nieco człowieczek to lekarz z ogromną sławą; już też podobno pół miliona z górą ulokował na zagranicznych bankach. Wiwat nauka! Ale pół miliona ze swoją górą i nauka bardzo intratna niskie ukłony składają przed kimś, kto podobno nie ma wielkiego majątku,

lecz jest cały okryty oznakami wielkich dostojństw. To znowu kariera niezwykła: szybka, świetna, po prostu fajerwerkowa. Nie przeszkadza to jej kłaniać się z kolei niewymownie grzecznie i słodko przed jednym z najwyższych dygnitarzy państwa plutokratycznego. Ten to już po prostu jest jednym ogromnym trzosem złota! Umie też żyć! Kto bywa w domu jego? Prawie wszyscy rozmawiający bywali tam, albo przynajmniej przedstawiali się, z nadzieją bywania. Co za zbytek szalony, a? Ten salon Louis XIV kosztuje go podobno tyle, ile niejeden pałacyk wcale ładny. Teraz kazał sobie malować plafon do przedsionka, za który malarzowi ze sławą europejską zapłaci sumy bająnskie... I tak dalej, i tak dalej... Roman wraz z innymi przeglądał wchodzących, wymieniał nazwiska i cyfry, patrzył na ukłony składane przez miliony tytułom, przez kariery majątkom, uśmiechał się, nawet śmiał się czasem, utrzymywał, że inaczej być nie może i że to bardzo dobrze, korzystnie dla postępu, oświaty, ogłady, dobrobytu, przemysłu. Oczy błyszczały mu coraz mocniej, rysy zaostrzały się i powlekały wyrazem zgryźliwości. Bo pomimo wesołego nieraz śmiechu i teorii wygłaszanych ze szczerością, w którą sam wierzył najmocniej, jakaś żmijka okręcała się mu dokoła serca i szczypała je z lekka, lecz dotkliwie. Zupełnie pomimo woli myślał, że jednak on bardzo już długo na jednym miejscu siedzi i bardzo wiele czasu traci, że mu ogromnie jeszcze, niezmiernie daleko do tych dóbr, do tych szczytów, do tych szczęśliwości, o których wszyscy dokoła mówią i które dokoła obudzają zachwyt zmieszany z żądzą i zawiścią.

Pomimo jednak żmijki bawił się dobrze i bawił innych. W tych salonach pływał jak ryba w wodzie. Gdyby zastanawiał się nad sobą, przyszedłby do przekonania, że nie jest jednym człowiekiem, ale dwoma ludźmi: tym, który przed godziną czuł się znużonym, rozczarowanym, głęboko smutnym, i tym, który teraz z rozkoszą uczuwa piękność, mięk-

kość, wykwił otoczenia i doświadcza bardzo przyjemnych wrażeń flirtując z czarnymi oczyma, zalotnie i ogniście spoglądającymi na niego spod brylantowej gwiazdy. Bo w klombie sukien jedwabnych, fraków czarnych, obnażonych ramion i wachlarzy podobnych do poruszających się ze szmerem skrzydeł olbrzymich motyli panował flirt lekki, filuterny, dowcipny, u spodu zdjęty dreszczami wzruszeń. Jedno ze skrzydeł motyli, utkane z gazy haftowanej złotem, poruszone ręką migoczącą węzami bransolet, rzuciło na pochylonego ku niemu Romana krótkie powiewy chłodu i wzmożonego zapachu perfumy. Było to podobne do rytmicznie spływających mu na twarz pocałunków przelotnych i wonnych. Przy tym wątek rozmowy, zadzierzgnięty już na wschodach, snuł się nieustannie, złożony z fraszek powszednich, prawie bezmyślny, lecz przybierający od gry rysów i intonacji głosów znaczenie wcale odmienne od tego, które posiadały słowa. Było to coś podwójnego i zamaskowanego, jakaś gra w haczyki delikatne i zaostrzone, które to przyciągały, to odpychały wyobraźnię, ciekawość, zmysły. Jednak właściciele czarnych oczu i brylantowej gwiazdy niedostawało czegoś, co by tę grę uczynić mogło zupełnie zajmującą, bo nie przeszkadzała ona Romanowi czynić spostrzeżeń, że rysy jej twarzy były zbyt ostre i zbyt przypominały ptaka z profilu widzianego, że dokoła ust jej z piękną linią i barwą tworzył się niekiedy wyraz kaprysu, a w oczach ognistych za płomieniem wznieconym przez namiętność i zalotność panowała pustka absolutna. Wkrótce, korzystając z poruszenia nadanego klombowi przez nadejście kilku osób nowych a odejście innych, powstał i odszedł. Odchodząc myślał, że stanowczo nie jest to jego ulubiony typ kobiety. Woli o wiele Irmę. Ta i tamta są zarówno ładnymi bestyjkami, ale tamta ładniejsza i zabawniejsza, tylko... tylko zbyt kosztowna! Dla niego zbyt kosztowna, bo w tym zebraniu znajdowało się mnóstwo takich, którzy bez

najlżejszej trudności mogliby osiąść ten przedmiot wysokiego zbytku.

Do takich należał zapewne gość w tej chwili przybywający, spóźniony, ale przez wiele osób witany z pośpiechem i uprzejmością, które przekraczały miarę zwyczajną. Był to mężczyzna wysoki i zbudowany silnie, z twarzą energicznie zarysowaną, z dużą, rudawą brodą i połyskującym u piersi godłem, na którym srebrny młotek krzyżował się z takąż kielnią. Roman od pierwszego rzutu oka poznał Marcelego Domunta, znanego od dzieciństwa, nie widzianego od lat wielu. Inżynier i przedsiębiorca, jeden z najzuchwalszych i najszczęśliwszych argonautów współczesnych, dziś już prawie milioner, w przyszłości niezawodnie nabab. Dlatego zapewne otoczyło go od razu tak wiele osób, że Roman uczuł wstręt do przebijania tego tłumu. Niech tam! przywitają się z sobą potem. Z daleka tymczasem patrzył na tryumfatora. Był wesołym i mównym, ale wydawał się roztargnionym. Wzrok jego nieustannie uciekał od otaczającej rzeczywistości i cofał się jakby do wnętrza mózgu, gdzie miał zapewne bardzo wiele do widzenia, sprawdzania, rachowania. Zresztą, bliski krewny pani domu, znajdował się tu jak u siebie, pewny siebie, swobodny, wcale nie wyniosły ani dumny, lecz doskonale świadomy tego, że zrobił wiele, znaczy wiele i wolno mu wiele. Bardzo rychło porwało go grono mężczyzn niesłuchanie widokiem jego uradowanych i poprowadziło w głąb apartamentu ku stołom kartowym. Za nim podobny do faliściej ścieżki wodnej, którą na powierzchni rzeki tworzy strumyk tylko co do niej wpadły, popłynęła struga uwag i wiadomości z cicha zamienianych. Szczęśliwy człowiek! Rozumny, biegły w czynnościach swoich, niesłuchanie bystry, nade wszystko jednak szczęśliwy! Na jedną stratę otrzymuje dziesięć zysków, zawsze bardzo znacznych. Ostatnie przedsiębiorstwo udało mu się kolosalnie; zarobił na nim sumę ogromną. Wprawdzie, nie można nigdy wiedzieć na pewno,

jakim będzie koniec takich ludzi. Król albo cygan! Ten przecież stanowi chyba wyjątek. Niesłuchanie ryzykowny, ale zarazem przebiegły i zapobiegliwy. Podobno jest tu teraz po to, aby nabyć w stolicy dwa ogromne domy, których już nigdy nie da na stawkę. Gdyby one tylko ostatecznie mu pozostały, jeszcze mógłby wcale nieźle figurować w świecie. Ale gdzież tam! On się jeszcze dobije nie wiedzieć czego. Nie ma pełnych lat czterdziestu, a gdzie już nie był, czego się nie podejmował i co mu się nie udawało! Tęga głowa i tęgi charakter! Takich teraz przede wszystkim potrzeba światu. Jest człowiekiem prawdziwie współczesnym, stąd to powodzenie szybkie i szalone. Kobiety ubolewały, że indywiduum tak zajmujące, inteligentne i zapewne przyjemne zasadzono do kartowego stołu. Ktoś dostarczył informacji, że Marceli Domunt towarzystwa dam nie bardzo lubi; jest zwykle zanadto zmęczonym pracą, aby miał znowu męczyć się rozmową. Ożenił się już zresztą przed paru laty, a prosty flirt nie przedstawiałby dla niego żadnego interesu poważnego. Dowcipnisie utrzymują, że nawet z żoną spędza dwa dni na rok, przez resztę czasu znajdując się w podróży i miejscach bardzo oddalonych, w których prowadzi swoje roboty. Gra w karty daje mu wytchnienie i rozrywkę nie nużącą, ale i wśród niej objawia charakter sobie właściwy. Grywa niezmiernie śmiało i wysoko. W takim też tylko zebraniu, jak obecne, znaleźć się mogą odpowiedni dla niego partnerzy.

Roman słuchał tych wszystkich wiadomości i uwag z ciekawością bardzo żywą, bo przecież, niegdyś, znał dobrze ich bohatera, jako też jego miejsce rodzinne i rodzinę. Kędyś, stąd bardzo daleko, na rozłogu pól płaskich, pod ciemnym pasem boru, stał dom nieduży, białym tynkiem powleczony, z gankiem opartym na czterech białych słupach, z dużą szybą stawu w ogrodzie cienistym. Nazywało się to Kaniówką i było starym gniazdem rodzinnym, z którego wyleciał ten orzeł. Miejsce to Roman widział w tej chwili, jakby w oddaleniu

ogromnym i jakby w mgle oddalenia i zapomnienia. Niegdyś przecież znał je dobrze. Domuntów było kilku. Ten najstarszy. Ciekawa rzecz, co stało się z innymi? Oto skąd wyszedł, a dokąd zaszedł! Powiodło mu się. To dopiero powodzenie prawdziwe i duże. W porównaniu z nim, czymże jest los Romana? Drożyną wążutką i biegnącą po monotonnej równinie. Lata jeszcze minąć mogą bez wprowadzenia jej na wzgórze jakiegokolwiek, a o takich szczytach, jak ten — marzyć mu nawet nie podobna! Stał we framudze okna, odosobniony, zamyślony i z przykrością uczuwał znowu żmijkę, która szczypała go w serce daleko dotkliwiej niż przedtem.

Z zamyślenia obudziło go lekkie dotknięcie wachlarza. Baronowa wsunęła mu rękę pod ramię i szła z nim przez długi szereg salonów spotykając po drodze ukłony głębokie, spojrzenia pokorne, słówka pochlebne i rozrzucając w zamian skinienia głową, uśmiechy, nieskończenie rozmaite ruchy wachlarza. W jednym z salonów sławny i modny artysta zasiadł do fortepianu. Gospodyni domu mogła dość swobodnie rozporządzać się czasem, przez który trwać miał koncert skupiający dokoła siebie ciekawość i uwagę wszystkich obecnych, z wyjątkiem tych, którzy grali w karty. Była rozpromienioną i prawie rozswawoloną od radości. Wieczór ten był jednym z najświetniejszych, jakie wydała kiedykolwiek. Może nigdy jeszcze nie zgromadziło się u niej tyle, ile dzisiaj, znakomitości, chwał, potęg różnego rodzaju. Kobiety najpiękniejsze i najmodniejsze; mężczyźni najbogatsi i najdostojniejsi. Bawiono się też wybornie; znudzenia w towarzystwie, niezręczności w przyjęciu — ani śladu. Trzeba mieć jej głowę, aby w tydzień po powrocie z podróży urządzić wielki wieczór tak znakomicie. Toteż wszyscy oddają sprawiedliwość jej geniuszowi w tym kierunku. Nasłuchiwała się mnóstwa komplementów najprzyjemniejszych w świecie, bo wychodzących z ust niebylejakich. Trzeba też szczęścia, aby

zdobyć do grania tego zachwycającego Brombirnknopfa! Bóg tylko i ona wiedzą, ile ją ta zdobycz kosztowała starań i pieniędzy. Kazał sobie zapłacić sumę bajeczną, ale za to nikt najpewniej mieć go nie będzie na swoich wieczorach oprócz niej i może jeszcze paru osób takich, które zawsze wszystko mają. Nic też dziwnego, że takie tryumfy i powodzenia odmłodziły ją o lat kilkanaście. Formalnie jubilowała. Radość i tryumf świeciły w jej oczach i rozpięły pierś obnażoną, falującą oddechem szerokim, głębokim. Mową szybką, figlarną, prawie szczebioczącą powierzając towarzyszowi uczucia tej radości i tego tryumfu weszła z nim do saloniku ustronnego, oświetlonego jedną tylko lampą palącą się w klombie palm rozłożystych. Niedaleko klombu niski parawanik przegradzał dwa głębokie, w tył odgięte fotele od grupy sprzętów innych. Śliczny parawanik chiński, ze smokami złotymi, oprawionymi w bambusowe pałki.

— Dlaczego tu koniecznie? — śmiejąc się zapytał Roman.

— Taki już mój kaprys — odpowiedziała z filuternością dwudziestoletniej kokietki, ale spoważniała zaraz i gdy oboje usiedli na fotelach, natychmiast opowiedziała mu nowinę przyrzeczoną. Roman zaciekawiony, lecz nie dowierzający, słuchał zrazu z lekceważeniem trochę przybranym, a trochę rzeczywistym; lecz po kilkunastu słowach baronowej bardzo spoważniał, a zaraz potem rozpromienił się prawie takąż radością, jaką ona promieniała. Istotnie, nie bez słusznej przyczyny wzywała go tak nagłąco i prowadziła przez wszystkie salony za parawanik chiński. W parę dni po powrocie z podróży miała zręczność stoczenia długiej rozmowy z dygnitarzem wiadomym i — otrzymania od niego obietnicy uroczystej, którą gdy powtórzyła, smok złoty w bambusowych pałkach drgnął i zamigotał pod światłem lampy padającym zza pierzastych liści palmowych. Była to obietnica, raczej przyrzeczenie stanowcze, oddania Romanowi pewnej posady, niespodziewanie wysokiej, świetnie opłacanej, otwierającej dla przyszłości

perspektywy dalekie i piękne. Nie był to krok, ale skok naprzód. Ona jedna była w stanie coś podobnego wyszperać i wyjednać, bo trzeba na to oprócz stosunków, sprytu kobiecego i gorliwości prawdziwie przyjacielskiej. Są jednak w tym ulepie dwie krople gorzkawe: jedna ta, że posada wolną będzie ledwie za miesiący kilka; druga ta, że znajduje się stąd daleko. Półtora tysiąca wiorst, czy trochę nawet więcej. O te kilka miesięcy mniejsza i trzeba będzie tylko przez czas ten bronić się z całej siły, aby nie zapomniano nas i danej nam obietnicy. Gorzej z wyjazdem w strony tak odległe, który jego może trwożyć nieco, ją bardzo zasmuca. Istotnie, mówiąc o tym posmutniała. Że też to nigdy nie w życiu nie złoży się zupełnie dobrze, a w wypadku nawet najpomysłniejszym tkwić musi jakiś ćwiek bolący! Jednak cóż robić! Nie jest egoistką i radzi mu, aby zdecydował się na przyjęcie tej zmiany położenia razem z jej niedogodnościami. Nie ma zresztą w tym nic strasznego. Nie zamieszka w żadnym kącie zapadłym i dzikim, ale w mieście dużym, bogatym, ruchliwym i z wielu względów bardzo ciekawym. Ona tam kiedyś przepędziła parę tygodni u znajomych. Bazar wszechświatowy nie miasto. Można tam bawić się wybornie i w całym znaczeniu żyć dobrze. Zachodzi tu na koniec ta jeszcze okoliczność szczęśliwa, że paru jej dawnych przyjaciół teraz właśnie zajmuje w tym mieście stanowiska dominujące. Roman przedstawi się im z listami od niej i tym sposobem zajmie od razu w tamtejszych kołach towarzyskich miejsce wygodne i przyjemne. Cóż? Nie potrzebuje nawet zapytywać, jak mu się podobała jej nowina, bo widzi to z wyrazu jego twarzy.

— Zadowolonym jesteś, prawda? ucieszonym nawet! Nie dziwię się, bo naprawdę masz z czego się cieszyć! Wolałabym jednak, aby wiadomość o tym, że musisz stąd wyjechać, trochę cię zasmuciła. Dziesięć lat widywaliśmy się prawie co dnia... przyzwyczaiłam się do ciebie jak do... do brata! Dziesięć lat... o Boże! Jakże wszystko przemija!... Ale nie jestem egoistką.

Pracowałam dla ciebie wbrew interesowi własnemu. Podziękuj mi!

Serdecznie i z wdzięcznością rzetelną ucałował obie jej ręce. Istotnie, oddała mu znowu przysługę ważną; znowu popchnęła naprzód wóz jego losu. Ją to podziękowanie, w połączeniu z myślą o jego wyjeździe, tak rozrzewniło, że oczy jej zwilgotniały.

— Zdenerwowaną jestem — szepnęła — miałam w tych dniach zgryzotę wielką, wprost nieszczęście...

— Jakie? — z pośpiechem zapytał Roman.

— Później ci to opowiem. Gdy wszyscy się rozjadą, zostaniesz u mnie na pół godziny. Przypuszczam, że długo trwać to nie będzie. Wieczera skończy się za godzin parę, a zaraz potem rozejdą się i rozjadą. Wtedy opowiem ci, co mię spotkało...

— Może Bruno zgrał się znowu w karty, albo madame Marie spotkało cokolwiek złego?

Trochę żałośnie, trochę gniewnie skinęła ręką.

— Nie — rzekła — ty wiesz, że ja od swoich dzieci nie spodziewam się już niczego dobrego! Bruno jest zgubionym chłopcem i gdyby nie wzgląd na mnie, od dawna już wypędzono by go z pułku, o Marii wiem mało, bo pisuje do mnie wtedy tylko, kiedy pieniędzy potrzebuje. Zgryzotę miałam z innego powodu wielką... potem ci powiem... Cóż to? Brombirnknopf grać przestał! Nie, znowu zaczyna! To dobrze; jeszcze kilka minut posiedzę tu i odpocznę... Takie przyjęcia nużą ogromnie... Ale co za przyjemność, kiedy udają się tak, jak dzisiaj. Dlaczegoż nie zapytujesz, jak bawiłam się przez te dwa miesiące?... Ach, mój drogi, trzeba moich stalowych nerwów, aby wytrzymać takie nudy! Ale interes załatwiłam, mnóstwo krewnych i dawnych znajomych widziałam... Byłam kilka razy i w Darnówce...

Roman żywym ruchem twarz ku niej obrócił.

— Cóż się tam dzieje?

— Nic szczególnego nie dzieje się w Darnówce; wszystko

tam po dawnemu: stary dom, stare meble i stare zwyczaje. Oboje Darnowscy też postarzelili...

— Stryj... jakże tam? zdrów jeszcze?

— Pan Romuald? ależ naturalnie! Posiwiiał i wyłysiał, ale zdrów jak rydz, silny jak dąb, powiem ci otwarcie, trochę ja-koś... sprościał, a może tylko tak mi się wydaje, bo odwykłam już od nich wszystkich i od ich manier... Żona jego, tak jak dawniej, chorowita i wiecznie utyskująca... Stefan wyrósł na pięknego chłopca, ale dzikus jakiś, bez żadnej elegancji ani ambicji... Kiedy mówiłam mu, że daremnie siedzi jak grzyb na wsi, bo mógłby w świecie karierę zrobić i życia lepiej użyć, śmiał się tak, jak gdybym od rzeczy plotła. Oni tam zresztą wszyscy tacy. Irenę chciałam zabrać z sobą...

— Jaką Irenę?

— A tę wychowanicę twego stryja... przecież jest trochę i moją krewną...

— Więc ona jest w Darnówce?...

— Ani myśli być gdzie indziej...

— Nie wyszła za męża?

— Cóż cię to tak bardzo zainteresowało? O Boże! Aż ci oczy błyszczeć zaczęły! Prawda! kochałeś się w niej podobno! Szkoda było fatygi, mój kochany, bo to gęś... Ma to nawet pozór czegoś... czegoś lepszego, ale w gruncie jest niczym więcej tylko gęsią... Byłam na nią bardzo obrażoną, bardzo... jakże? nie chciała jechać ze mną! ale potem machnęłam ręką i przy pożegnaniu chciałam jej darować na pamiątkę bransoletkę z brylantami... Wyobraź sobie, że nie przyjęła, za nic w świecie przyjąć nie chciała... Powiada, że jej takie rzeczy są niepotrzebne. Czy słyszałeś? Komu to na całym świecie brylanty mogą być niepotrzebne? No, czy nie gęś?...

— Czy pytano się tam o mnie? Czy stryj rozgniewany za to, że od dawna już nie pisuję? Jakże Stefek?...

Ale baronowa zamiast odpowiadać na pytania, które tłumnie i zarazem nieśmiało jakoś cisnęły się mu na usta, za rękę

go pochwyciła i wachlarzem wskazując drzwi przyległego salonu zaszeptała:

— Wstał od kart! widzisz? stoi sam jeden... ze szklanką orszady... on zawsze na wieczorach orszadę pije... teraz jest doskonała pora, abyś podszedł do niego i podziękował... trzeba koniecznie, abyś dziś, natychmiast mu podziękował...

Roman, jak ze snu obudzony, spojrzał w kierunku wskazywanym. Przez drzwi otwarte i zasłaniające je do połowy draperie portiery widać było część salonu, w którym kilkunastu mężczyzn siedziało przy stołach kartowych. Jeden z nich wstał przed chwilą i trochę odosobniony, od gorąca i może wrażeń gry silnie zaczerwieniony, drobnymi haustami przełykał ochładzający napój. Na niego to baronowa wskazywała wachlarzem szepecząc:

— Byłeś mu przecież przedstawionym u mnie zeszłej zimy... Pamięta cię, mówił mi, że pamięta... Trzeba koniecznie, abyś za obietnicę podziękował... On ma pamięć bajeczną! Teraz chwila bardzo sposobna... zaraz znowu usiądzie i grać zacznie... No, czemuż nie idziesz? O Boże, idźże już! podziękuj! poleć się pamięci! postaraj się wpaść w oko... Idźże!

Roman siedział jeszcze przez chwilę wahając się czy namyślając. Wiedział, że baronowa miała słuszość, że koniecznie trzeba było podziękować i polecić się pamięci, niemniej doświadczył uczucia tak przykrego, że z trudnością i powoli podniósł się z miejsca.

— Idźże prędzej! — szeptała baronowa — a to siądniesz znowu do grania i stracisz sposobność...

Odszedł, ale powoli. „Wszystko tam po dawnemu, stary dom, stare meble, stare zwyczaje... Ciekawym, czy on gniewa się za to, że nie pisuję?“

Powoli idąc spostrzegł u ściany saloniku przedmiot bardzo szczególny, którego dawniej tam nie było. Na marmurowym postumencie trumienka szklanna... ależ tak, nie myli się... formalna trumienka ze szkła, a w niej coś szaro-czerwono-

nego... Co za historia? Czy po główkach trupich zapanowała moda ubierania salonów trumienkami? Ale nie ma czasu myśleć o tym. Już wchodzi do salonu, w którym grają... „Nie przyjęła bransolety z brylantami; powiada, że jej takie rzeczy niepotrzebne! Dlaczego dotąd za mąż nie wyszła? Zeszpełniała pewno, może ospeł...”

Już stanął przed nim i składając ukłon bardzo głęboki ośmiela się przypomnieć pamięci jego, że był mu zimy zeszłej przedstawionym. Odpowiedzi krótkiej, ale uprzejmej słucha z rękami w dół opuszczonymi i głową pochyloną, po czym kłaniając się jeszcze głębiej niż przedtem pozwala sobie dziękować za obietnicę otrzymaną za pośrednictwem pani baronowej Klary Lamoni. Znowu odpowiedź, nieco dłuższa, dla której wysłuchania skupia się cały prawie nabożnie, a po której wysłuchaniu składa ukłon trzeci, głębszy jeszcze od dwu poprzedzających, i rozzuchwala się do stopnia takiego, że osobę swoją i obietnicę jej udzieloną poleca pamięci... Teraz słyszy upewnienie, że cokolwiek przyrzeczonemu zostało przez tego, z którym rozmawia, zapomnianym być nie może, i dziękując za to upewnienie kłania się znowu, ale milczy, bo słucha jeszcze kilku słów bardzo pochlebnych o pani baronowej Lamoni, za które kłaniając się spostrzega uśmiech życzliwy, odgaduje, że wpadł w oko, i kłania się, jednocześnie z otrzymywanym gestem ręki, bardzo miłym, za który kłania się po raz ostatni już i tylko plecami, które znikają za wysoką poręczą krzesła stojącego przy stole kartowym.

Wyprostował się z twarzą oblaną aż po brzegi włosów rumieńcem ognistym, zamienianym zwolna przez bladość niezwykłą, na której tle odbił się ciemny zarys zmarszczki pomiędzy ściągniętymi brwiami. Z tą zmarszczką i ze spuszczonej powiekami patrzył przez chwilę w ziemię tak pilnie, jakby z wytężeniem przypatrywał się czemuś leżącemu na posadzce. Gdy podniósł wzrok, spotkał się z utkwionym w niego spojrzeniem Marcelego Domunta. Ze złożonymi kar-

tami w jednym ręku, drugą kreśląc cyfry na zielonym suknie, wysoki, silny człowiek, z rudawą brodą i srebrnym godłem u piersi, patrzył na niego oczyma jasnymi, zimnymi, przyzwyczajonymi patrzeć daleko i widzieć dokładnie. Spuścił wzrok na zielone sukno i zaraz znowu skierował go ku Romanowi. Te jasne, chłodne, rozkazujące oczy zdawały się dziwić temu, że czegoś rozpoznać nie mogą. Powtórzyło się to parę razy. Z czoła Romana zniknęła zmarszczka; z uśmiechem zbliżył się do powstającego od kartowego stołu i wyciągając rękę przemówił:

— Przypominasz mię sobie, Marceli, ale nie poznajesz...

Chwilę jeszcze Domunt patrzył na niego uważnie, w milczeniu, aż przemówił spokojnie:

— Roman Darnowski.

Chłodowi spojrzenia i spokojowi głosu sprzeciwiła się siła, z którą uściśnął mu rękę; czuć w niej było nieco wzruszenia. Partia, w której brał udział, była skończoną; usunęli się obaj we framugę wielkiego okna i przez kilka minut zamieniali szybkie zapytania i odpowiedzi. Na obie ich twarze wystąpił wyraz ożywienia niezwykłego.

— Jakże ci się powodzi?

— Bardzo dobrze! O twoje powodzenie nie pytam, bo wszyscy wiedzą, że...

— Tak, tak! bywałem na wozie i pod wozem; ale teraz stanowczo jestem na wozie... Widziałem, z kim rozmawiałeś przed chwilą... Winszuję... Musisz mieć piękne stosunki...

— Mam je istotnie; a ty podobno dobijasz do miliona..

— Co to znaczy! w świecie terazniejszym, aby odznaczyć się, trzeba dobić przynajmniej do dziesięciu; czy mieszkasz tu stale?

— Tak; a ty gdzie?...

— Na całym świecie. Ożeniłeś się?

— Nie. Chudopachołek jeszcze ze mnie, a dla założenia rodziny wiele trzeba!

— Masz słuszość. Idylle w książkach tylko ładne i to niebardzo! Co do mnie...

— Ożeniłeś się przed dwoma laty, słyszałem.

— A tak! I Bóg wie, po co to uczynilem, bo żony swojej prawie nie znam. Zaraz po ślubie spadła na mnie konieczność podróży ogromnej. Powracam z głębin Azji...

— Na długo?

— Na miesiąc. Tu jestem od tygodnia dla interesów. Potem wpadnę do żony i dalej, nad Morze Czarne...

— Lubisz podróże!

— Gdzież tam! obrzydły mi jak piekło potępionemu, ale muszę. Na to życie... Czy dawno byłeś w naszych stronach?

— Dziesięć lat tam nie byłem.

— A ja dwanaście. Chciałbym nieraz, ale czasu nie mam...

Dużą, białą ręką przeciągnął po gęstej, kasztanowatej brodzie; zaśmiał się.

— To szczególne! Odkąd rozmawiam z tobą, nie tylko ciebie widzę, ale także Kaniówkę, mamę, siostry, sokory nad naszym stawem. Do mamy pisuję czasem i otrzymuję listy od niej, częściej od sióstr...

— A twoi bracia?

— Rozmaicie. Z dwoma widuję się niekiedy, w przelocie, i rad z nich jestem. Dobrze się sprawiają, kariery robią niezbyt świetne wprawdzie, ale na ich zdolności wcale nieźle. Jednego zresztą sam wywindowałem na jaką taką górę; ale z Kaziem... pamiętasz Kazia?

— Wyśmienicie... rówieśnik mój! Ty, Marceli, byłeś już dla mnie powagą, tamci dwaj — dzieciakami, z Kaziem żyliśmy za pan brat w domu i w szkole...

— Otóż to! Widzisz, jak to bywa! Taki zdolny, miły chłopak i źle z nim jest, ale to bardzo źle! Pośliznęła się mu noga! Awantura fatalna, powiadam ci, że fatalna...

— Gdzież jest teraz?

— W Kaniówce... Dziewięć lat był w Berlinie, a teraz jest

w Kaniówce. Pewien tam dom bankowy krach zrobił i on z nim... Ale to się da naprawić... to się musi naprawić. Mama uwiadomiła mię o wszystkim, pisałem, aby do mnie przyjechał. Już ja to na siebie biorę... wszystko naprawię i wykie-
ruję go na człowieka...

— Uważam, że nie zerwałeś stosunków z rodziną!

— Po cóż miałbym je zrywać? Ale co prawda, są one cieniutkie jak włoski. Kiedy się ludzie z sobą nie widują... Myślałem czasem, że może bym już mamy nawet nie poznał! Bo co siostr, to najpewniej... jedna postarzała, druga wyrosła, trzecia podrosła beze mnie... Co robić? Na to życie! A ty tam masz jeszcze kogo?

— Rodziców nie mam od dawna, rodzeństwa nie miałem nigdy!

— Aha! więc z dawnym życiem aus! Tak najlepiej. Im mniej rozmaitych węzłów łączy człowieka z innymi ludźmi, tym on jest swobodniejszy i z tym szerszym rozmachem może żyć i pracować...

— Z taką zasadą ożeniłeś się?

— A no! Czy ja wiem... Zasady — to jedno, a ułomność człowieka — to drugie. Zakochałem się.

— Dużo wziąłeś?...

— Posagu? Ani szeląga. Guwernantką była, skądciś tam, z naszych stron sprowadzoną... Biednusięńkie to było, smutne, dobre, ciche, milutkie... Tam, gdzie była, siedziałem przez całą zimę... dla interesów... Patrzałem na nią, patrzałem i raz, dwa, trzy, ożeniłem się. Ot i cała historia! A teraz, przez dwa lata, byłem z nią wszystkiego razem może ze sześć tygodni... Syna to jeszcze wcale nie znam...

— Syna już masz!

Zaśmiał się tak szeroko, że zza bujnego wąsa ukazał się szereg zębów zdrowych, silnych, białych jak kość słoniowa.

— Mam! — odpowiedział.

I śmiejąc się jeszcze mówił:

— To mój niepoznawalny... bo od roku już dążę do poznania go i dopiąć tego nie mogę. Teraz miałem już wprost tam pojechać, aż tu traf! przynoszą mi jak na półmisku interes bardzo świetny... dwa domy za bezcen i z wielką przyszłością!... Takiej afery opuścić nie podobna, to rzecz kapitalna... Znowu więc sentymenty na stronę! Co robić? Na to życie!

Głodził dłonią brodę, zamyślił się i machinalnie powtórzył parę razy:

— Życie... życie...

Wzrok jego już zaczynał cofać się w głąb mózgu, gdzie przewijało się mnóstwo myśli obcych temu, co go otaczało. Z roztargnieniem, które było połowiczną obecnością na miejscu, na którym stał i rozmawiał, a połowiczną w tych, gdzie wznosiły się domy, które kupował, mówił jeszcze:

— Tułacze życie... i niech diabli wezmą, jakie kłopotliwe! Mam w głowie furę pomysłów, na plecach furę zajęć... Trzeba siebie tego w garści trzymać, aby nie oszaleć, na szczęście nerwy mam żelazne... Ogniska rodzinnego nie znam... już i zapomniałem, jak wygląda spokojność albo swoboda... Gdzie tam! ani jednego dnia swobodnego, takiego, który by całkowicie do mnie należał! No, kiedyś się to przecie skończy...

— Kiedy? — zagadnął Roman.

— Czy ja wiem! jak postarzęję! Powrócę wtedy do Kaniówki... która już jest prawie zupełnie moją, bo dwóch braci spłaciłem... Ale to na starość... Spokojność, swobodę, gniazdo rodzinne, życie rodzinne, na koniec życia... pour la bonne bouche. Tymczasem, trzeba pracować, trzeba pracować...

— Aby do dziesięciu dobić? prawda?

Zaśmiał się.

— A no! zapewne, czemuż by nie? jeżeli tylko można... Na tym świat teraz stoi...

— Spodziewam się, że mię odwiedzisz...

Zmieszał się, pomyślał trochę.

— Wątpię; chciałbym bardzo, ale wątpię. Nie przedsta-

wisz sobie nawet, ile mam do czynienia. Tydzień już tu bawię, a jeszcze nie zrobiłem połowy tego, co trzeba... Wizyt oddaję mnóstwo, ale takich tylko, które są potrzebne, rozumiesz? dla interesów. U baronowej bywam, bo krewna bliska i... baron jest mi potrzebnym...

— Wzgląd drugi ważniejszy zapewne od pierwszego... — uśmiechnął się znowu Roman.

Domunt jakby obudził się ze snu.

— Ale nie! Proszę cię, nie bierzże mię znowu za takiego już materialistę... Owszem, owszem, chciałbym nieraz bardzo, ale czasu nie mam... czasu nie mam... Do ciebie, na przykład, wpadłbym z rozkoszą, choć na chwilę... a gdybyśmy tak zeszli się na cały wieczór, we dwóch... o dawnych czasach, o Kaniówce, o różnych tam rzeczach naszych pogawędzić... dobrze by było, co? Może i ukradnę kiedy parę godzin! Ale nie, nie, nie będę mógł, z pewnością nie będę mógł... Czasu zabraknie... Żałuję bardzo, ale czasu mi zabraknie... Co robić? Na to życie!

— Co robić! — powtórzył Roman — któż by się spodziewał, że ty także, Marceli, wyraz ten powtarzać musisz...

Zadziwił się bardzo.

— A toż czemu, mój drogi! Więcej niż ktokolwiek, wierzaj mi, więcej niż ktokolwiek inny powtarzać go muszę! Nie wolnikiem jestem... Do ciężkiej taczki zaprzężonym... Gdyby mi się udało choć jeden cały tydzień z żoną spędzić, mego niepoznanego poznać i uścisnąć — rad byłbym... potem znowu marsz... na drugi koniec świata... Ahaswerus!

— Argonauta! — poprawił Roman.

Domunt głowę podniósł.

— A no tak, jeżeli chcesz, argonauta!... Czyż kiedykolwiek ludzie robili co innego oprócz pływania po runo złote? Wszystko do tego dąży, mój kochany, wszystko! Runo złote pod postaciami rozmaitymi! Stąd królestwa, wojny, wielkie miasta, odkrycia, wynalazki...

— Miłość — z lekką ironią wtrącił Roman.

— Naturalnie, o tyle cenna, o ile rozkoszy dostarcza... Potęga, rozkosz — dwie osie świata... i potrzeba jej światu coraz więcej, coraz więcej, coraz więcej... Dziś więcej niż kiedykolwiek, i do tego przystosować się trzeba koniecznie, bo inaczej krach! zguba! Trudno czasem, ciężko, głowa pęka... ale trzeba... Na to życie!

W salonach zapanował ruch wielki. Powstawano z miejsc i łączono się w pary, które łańcuchem długim, krętym, szeleszczącym jedwabiami, szemrzącym rozmowami skierowywały się ku ogromnej, na oścież otwartej sali jadalnej. Wkrótce Domunt i Roman, ze zwieszonymi u ich ramion istotami strojnymi i świetnymi, zajęli miejsca w tym łańcuchu, dość daleko od siebie, bo Domunt, już prawie milioner, znajdował się bliżej jego początku, Darnowski, jeszcze skromny urzędnik, bliżej końca.

W parę godzin później wielki apartament baronowej był już pustym i prawie zupełnie ciemnym. Do saloniku z parawanikiem chińskim i lampą palącą się pomiędzy palmami lokaj wniósł na tacy dwie filiżanki mocnej herbaty i postawiwszy je na stole odszedł, cicho stąpając po kobiercu.

— Może napijesz się herbaty, Romanie; po takim zmęczeniu to orzeźwia... Czuję się bardzo zmęczoną. Jestem nadzwyczajnie rada z dzisiejszego wieczoru, udał mi się, jak może nigdy... ale czuję się bardzo zmęczoną... Czy widziałeś, jak przy wieczerzy podziwiano moje kosze poziomek i czereśni... w tej porze je mieć, to niełatwo! Księżna powiedziała mi dziś, że nikt nie ma takich pięknych kwiatów, jak moje; szczególnie pasiflora wprowała ją w zdumienie... Ale czuję się zmęczoną i wiesz co? teraz, gdy wszystko już minęło, udało się, dzięki Bogu, ucichło, znowu mi płakać chce się... Nie ma już mego biedaka! Mogę rozrywać się i bawić, jak mi się podoba, nie wskrzesi to go ani na chwilę! Biedny, kochany, dobry mój kakaadu, nie wstanie on już nigdy, nie przemówi! Chodź, zobacz, popatrz trochę na tego nieboszczyka mego!

Poprowadziła go do stojącej na marmurowym postumencie trumienki szklanej, w której pod wieczkiem przezroczystym i w brąz oprawnym, na białych atłasach i koronkach leżała papużka nieżywa, z czerwonymi skrzydłami, z szarym czubem nad głową, z garbatym dziobem, żałośnie opadłym na pierś puszystą.

— Zabalsamowany — szepnęła baronowa. — Kiedym wróciła, żył i był zdrow zupełnie; nawet podskakiwał, podlatywał, gawędził ze mną nieustannie, jakby nie posiadał się z radości, że zobaczył mię po niewidzeniu długim. I tak było najpewniej, bo był ogromnie, szalenie przywiązany do mnie. Nazajutrz, nagle, nie wiedzieć od czego, zachorował i w kilka godzin... w kilka godzin...

Nie mogła dłużej powstrzymać się, przyłożyła chustkę do oczu zwilżonych, ale zaraz szepnęła dalej:

— Ty go nigdy bardzo nie lubiłeś i z bliska nie znałeś! Gdybyś wiedział, jakie to było miłe, rozumne, przywiązane stworzonko. Nade wszystko przywiązane! Biedny, dobry mój kakadu! Sześć lat go miałam, ileż godzin spędziliśmy we dwoje tylko, w tym samym pokoju. Bawił mię i — pocieszał! Gdy umarł, powiedziałam sobie zaraz, że pozostanie tu na zawsze, kazałam go zabalsamować, zrobić tę trumienkę i niech sobie śpi tutaj, pod moim okiem, a w testamencie napiszę... muszę przecież kiedykolwiek napisać testament... aby go razem ze mną... ze mną...

Znowu łoży cisnące się do oczu mowę jej przerwały. Z chustką przy oczach umilkła.

Roman spoglądał to na zwłoki papużki nieruchomo spoczywające pod szklanym wieczkiem na białym atłasie, to na kobietę trochę otyłą, w białej mantyli zarzuconej na gors obnażony, z ogromnym trenem aksamitnym, który leżał za nią na wzorach kobierca, z pękiem piórek strusich we włosach bardzo jasnych i szmatką batystu przy oczach. Śmiać mu się

chciało i litość go brała. Z uśmiechem powściąganym, ale to-
nem pocieszającym mówić zaczął:

— Ale jakże można! jak można tak bardzo martwić się
z powodu tak błahego! Stworzonko było... przypuśćmy... bar-
dzo miłe... ależ czy podobna, aby strata jego przyprawiać mo-
gła o taki smutek... o łzy...

Nie mógł dłużej mówić, bo czuł, że się roześmieje i że wo-
bec kobiety płaczącej byłoby to nieprzyzwoitym, albo nawet
i niedobrym. Ona jednak w dźwięku głosu dosłyszała śmiech
tłumiony i odejmując chustkę od oczu spojrzała na niego
wzrokiem oschłym nagle i błyszczącym.

— Śmiesz się! Masz mię za wariatkę! Nie rozumiesz, jak
można tak pokochać papużkę, aby po niej gryźć się i płakać!
Zapewne! Dobrze ci to mówić, kiedy jesteś sam szczęśliwy
i masz jeszcze wszystko przed sobą! Ja cóż? Co ja mam? jakie
moje życie? Co mię czeka?

Szybko postąpiła kilka kroków, usiadła na jednym z ulu-
bionych foteli, wzięła ze stołu filiżankę herbaty, a drugą Ro-
manowi podawała:

— Usiądź przy mnie i napij się herbaty... Mam podniebie-
nie spieczone i gardło wyschłe od gorąca i mówienia... Wcale
niepotrzebnie dziwisz się, że ja tak bardzo żałuję mojego ka-
kadu, i gdybyś kiedykolwiek zastanowił się nad moim życiem,
zrozumiałbyś pewno, że to nie jest żaden idiotyzm... Ale któż,
choćby i najlepszy, zastanowi się kiedy nad czym życiem, zaj-
rzy do czyjego serca? Gdzie tam! Każdy dla siebie tylko żyje,
już ja to wiem bardzo dobrze. I ty tak samo... Choć nieraz wi-
działeś i słyszałeś różne rzeczy, choć i sama ci o nich mówi-
łam, masz mię za kobietę szczęśliwą, prawda? Naturalnie, je-
stem bogatą, na stanowisku, mam wygody, zbytki, stosunki...
czegoż więcej potrzeba? Otóż widzisz, potrzeba, potrzeba...

Porywczym ruchem postawiła na stole filiżankę w połowie
wypróżnioną i splatając na kolanach ręce drobne, pełne pierś-
cieni, od ciasnych rękawiczek i gorąca zaczerwienione, mówiła

prędko, prawie gorączkowo, że przecież Roman wie bardzo dobrze, jakim jest jej życie domowe, ile musi znosić i jak nie ma żadnej pociechy od męża ani od dzieci. Baron zaniedbuje ją od niepamiętnych już czasów, a czyni to nie tylko dla dyplomacji, którą wszyscy poczytują za jego jedyną pasję. Myli się każdy, kto myśli, że metresy barona są dla niej tajemnicą. Miał je, ma i mieć będzie, wie o tym dobrze i nie byłoby to dla niej udręczeniem żadnym, gdyby nie sprawiało upokorzenia... Upokarza to ją, ale i o to mniejsza! Z baronem od bardzo dawna zamieniają sześć słów na dzień i ani on, ani ona nie doświadczają do rozmów obszerniejszych ochoty najmniejszej. To bardzo dobrze... to nawet daleko lepiej, niż gdyby ją, broń Boże, amatorami swymi albo towarzystwem swoim prześladował. Ale trzeba czegoś w zamian? Nieprawdaż? trzeba koniecznie czegoś w zamian...

— Świat, zabawy, hołdy, znaczenie — spróbował wtrącić Roman, ale ona zamachała szmatką batystu, jakby od much się opędzała.

— Pewno, naturalnie, jakże inaczej! Bez tego to już chyba wprost do rzeki albo paczkę zapalek w herbacie wypić! To tylko jeszcze daje możliwość życia, ale są chwile, godziny, dni, w których nie wystarcza. Dzieci! Aha! Miła pociecha! Znasz dobrze Brunona i Marię, cóż? pomijam charaktery... pasje i nałogi niepomiarkowane Brunona, interesowność i lekkomyślność Marii, ale czy oni mię szanują? czy oni mię kochają? Powiedz sam, Romanie, znasz ich, wiesz o wszystkim, powiedz sam, czy oni mię choć trochę szanują i kochają? czy choć trochę...

Rączki silnie splecione, czerwone, pierścionkami połyskujące wyciągała przed siebie i oczy, które znowu łzami nabiegły, wlepiła w Romana z wyrazem zapytania naglącego. Spuścił powieki, milczał. Wobec oczywistości jak dzień jasnej kłamać nie śmiał. Tak, były to dzieci nie kochające i nie szanujące matki. Może tam zresztą kochały i szanowały cokolwiek

na świecie, ale że nie matkę, to nie ulegało wątpliwości. Wiedział, że tak było i — dlaczego tak było. Nie mógł przecież mówić jej tego; milczał.

— A widzisz, widzisz, nie zaprzeczasz, milczysz, wiesz dobrze, że jestem matką najnieszczęśliwszą i że z dzieci nie mam pociechy żadnej... Zresztą, prawie ich nie widuję. Maria z mężem w Paryżu, Bruno... ach, Bruno, nawet na moje wieczory przychodzić nie chce, bo mu weselej w klubie i przyjemniej z tą baletnicą, z którą popisuje się przed całym światem, nawet w obecności mojej. Cóż tedy pozostaje...

— Zawsze to samo — wtrącił Roman — pozycja, przyjemności towarzyskie, zadowolenia takie, jak na przykład z wieczoru dzisiejszego...

Nieruchomy wzrok wlepiając w kobierzec, głową wstrząsała.

Wyrazy tłumnie cisnęły się jej do ust, ale wahała się z ich wymówieniem. Skurczyła się jakoś, przygarbiła, w rękach miała chusteczkę od łez wilgotną. Na koniec wyszeptała:

— Dopóki się jest młodą, wszystko dobrze... za jedną boleść dziesięć pociech, za jedną łzę sto uśmiechów... ale ja... nie jestem... nie jestem... no, trzeba to sobie raz powiedzieć, nie jestem już... pierwszej młodości.

Roman pomyślał, że wszystkie możliwe młodości już dla niej przeminęły; ale patrzył na nią uważnie. Było w niej dlań coś, co go zaciękawiało i niepokoić zaczęło. Przepłynąwszy Rubikon wyznania, że „nie jest już pierwszej młodości“, zwierzała się dalej, a im dłużej mówiła, tym wyraźniej przed oczyma Romana zachodziła jakaś metamorfoza, stawał się jakiś tajemniczy akt życia, którego znaczenia jeszcze nie mógł zrozumieć dokładnie. Przyznawał w myśli, że uskarżała się nie bez słuszności. Mówiła nawet rzeczy, które jemu samemu nieraz już na myśl przychodziły.

Świat, zabawy, towarzystwa... ależ to tylko nałóg, jak każdy inny! Ludzie upijają się rzeczami rozmaitymi: winem, nar-

kotykami, hołdami, to już zależy od gustu i możliwości. Ale wszystko jedno; po każdym upiciu się następuje wytrzeźwienie, i wtedy co? człowiek poznaje swoją nędzę. Bo czyż nie jest nędzą to konieczne przemijanie wszystkiego tego, co byśmy chcieli rękoma i nogami przy sobie utrzymać? Młodość przemija, ludzie i uczucia przemijają... Tak zdaje się niedawno, niedawno jeszcze przyjechała do stolicy z baronem Lamoni, młodziutka, tryumfująca, po prostu pijana swoim losem, niespodziewanie wielkim... jednak od tego czasu ileż zmian zaszło w niej i w koło niej! Pierwsza jej młodość minęła... i prawie wszyscy ludzie, którzy ją wtedy otaczali, przeminęli. Gdzież są ci, którym od jednego jej spojrzenia „kręciły się” głowy, którzy gotowi byli skakać dla niej w ogień i w wodę, z którymi dnie i godziny zlatywały jej, jakby na skrzydłach motyli? Poznikali jak cienie. Albo nie ma już ich wcale na świecie, albo są daleko, albo przemienili się na ludzi zupełnie innych... niby żyją jeszcze, ale tylko z nazwiska, zaś z uczuć i nawet z wyglądu są zupełnie kim innym. Ma już za sobą cały szereg takich pogasłych twarzy i radości, które nie wrócą nigdy, a które w latach ostatnich coraz częściej przychodzą jej do pamięci. Dawniej nie myślała o tym, teraz myśli ze zdziwieniem i z przerażeniem. Tout passe! Jakie to straszne słowo! Wprawdzie napływają wciąż na miejsce dawnych nowe rzeczy, nowi ludzie, ale dla niej przynajmniej, przeminionych zastąpić nie mogą, może dlatego, że są inne, a może dlatego, że ona stała się inną. Dawniej świat ją porywał, teraz ona musi gonić za światem, pracować nad tym, aby nie zostać zupełnie usuniętą spośród tych, którzy jeszcze żyją, aby choć niekiedy pochwycić jeszcze kawałeczek życia i upić się nim choć na chwilę. To fatyguje bardzo i zostawia po sobie takie medytacje, jak te, które ją teraz ogarnęły. Ogarnęły ją one dziś więcej niż kiedykolwiek pod wpływem dwu wypadków: śmierci kakadu i bliskiego wyjazdu Romana. To stworzonko było dla niej prawdziwą pociechą, bo prawdziwie ją kochało.

Człowiek potrzebuje widocznie tego, aby go ktokolwiek prawdziwie kochał. W żadnej porze życia nie podobna znajdować się ciągle w świecie i w towarzystwie, a jej teraz zaczyna być o to coraz trudniej. Są więc godziny, nawet dnie samotne. Wtedy trzeba mieć kogoś... Tym kimś był dla niej kakadu. A teraz go nie ma. Przeminął. Do Romana przywiązała się jak do... do...

Tu znowu stanął przed nią Rubikon. Właściwie chciała powiedzieć: „jak do syna“, ale nie mogło to jej przejść przez usta. Bruno wprawdzie był daleko starszym od Romana, ale to co innego. Młodzieńcowi mniej więcej obcemu dać nazwę syna... Nie podobna! Więc przywiązała się do Romana jak do... brata, przez dziesięć lat widywali się często... chociaż i on także zaniedbywał ją w czasach ostatnich, nie to, wiedziała, że jest blisko, że lada chwilę przyjść może, mogła też zajmować się jego losem. A teraz on także wyjedzie i chociaż żyć nie przestanie, dla niej go już nie będzie na świecie. Przemienie. Tout passe. Ten nieboszczyzek, który teraz w szklanej trumience spoczywa, rozrywał ją do tego stopnia, że będąc z nim zapominała nieraz o bólach, które jej sprawia ten obrzydły reumatyzm w nodze i w ręku. Nabyła go nie wiedzieć jak i kiedy, ale od lat paru dokucza jej coraz mocniej. Co ona teraz robić będzie, kiedy ją bóle te napadną, sama jedna, całymi godzinami i czasem dniami sama jedna?... Wyjeżdżać ani przyjmować wtedy nie może; żadnej demoiselle de compagnie nie chce za nic w świecie, bo nie cierpi tych istot, najczęściej wyglądających jak zmokłe kury, nudnych, zawistnych, podglądających i podsłuchujących. Chciała wziąć tę Irenę z Darnówki, ale ona nie zgodziła się na jej propozycję, i dobrze się stało, bo jakąż korzyść mieć by mogła z takiej, jak się pokazało, gęsi! Przyszła już do tego, że czasem wstając lęka się dnia, który przebyć trzeba... Tak jest biedną!

Umilkła. Roman przypatrywał się jej ciągle z ciekawością i uczuciem zaniepokojenia szczególnego. Metamorfoza, której

przez czas zwierzeń czynionych ulegała stopniowo, teraz była już zupełną. Boże wielki! Co się z nią stało? Jakąż to istotę nieznaną ma on przed sobą? Stopniowo, w miarę jak mówiła i mówiąc płakała, zsuwała się z niej suknia, w której dotąd widywał ją zawsze. Zaledwie mógł wierzyć oczom własnym świadczącym, że była to ta sama baronowa Lamoni, która przed godziną zaledwie zwieszona na jego ramieniu szła przez rzęście oświetlone salony i tłum pochylających się przed nią, uśmiechających się do niej gości, strojna, tryumfująca, jeszcze piękna, z piersią falującą od uciechy i tryumfu. Teraz w głębokim i niskim fotelu, na tle złotego smoka wyciągniętego w bambusowych ramach, wydawała się skurczoną, przygarbioną, jakby zgniecioną w swojej białej mantyli, niezupełnie okrywającej nagość gorsu i ramion. Te nagości przeglądające spo między atłasu i łabędziego puchu wobec skurczenia się i przygarbienia postaci miały w sobie coś szczególnie przykrego i rażącego. Batystowa szmatka, którą po wielekroć ocierała zwilżone policzki, uszkodziła w wielu miejscach białą emalię i wymalowane na niej róże; przez powstałe stąd szczyrby wyglądała skóra żółta, tworząca pomiędzy resztkami emalii plamy mające pozór chropowaty i brudny. W dole policzków i u podbródka utworzyło się kilka głębokich fałd i dołków, a brylant spinający dwa sznury wielkich pereł migotał we wgłębieniu, które powstało na szyi. Powieki od niespania i płaczu zaczerwienione i opuchłe z trudnością podnosiły się nad oczyma przygasłymi, na których białka wystąpiły siatki czerwonych żyłek. Nad tą postacią biedną i twarzą okaleczoną we włosach bardzo jasnych kępka piórek czarnych, rozluźniona, rozchwiana, przypominała zmokłe na deszczu i przez wiatr rozrzucone czubki ptasie. Skończywszy mówić baronowa pochyliła głowę tak nisko, że dwa piórka rozkołysane wysunęły się naprzód i zawisły nad samym jej czołem. Stała się w tej chwili bardzo podobną do kakadu spoczywającego w szklannej trumience, z dziobem u piersi i rozczochną nad nim kępą pierza.

Roman doświadczał uczuć litości i żalu. Jakkolwiek bądź, miał dla tej kobiety przywiązanie niejake i bardzo szczerą wdzięczność. Więc z prawie synowską czułością ucałował jej ręce wymawiając jakieś słowa pociechy, o których wiedział sam, że nie mają żadnego sensu, bo od kilku chwil już myślał, że pociechy prawdziwej i skutecznej nie ma dla tej nędzy. Jako nędzy? Baronowa Klara Lamoni — i nędza? Tak; i nad wszystkimi uczuciami obudzonymi w nim przez jej widok panowało to uczucie, że był świadkiem aktu życia przed jego oczyma i w parę kwadransów dokonanego; aktu życia, w którym zza woalu, zza sukni, zza maski ukazała się jego prawda! Jakaś prawda życia tajemnicza, niepokojąca, sroga ukazała mu się zza znikłej damy światowej, bogatej, szczęśliwej, w postaci tej biednej, skurczonej, chorej, smutnej babiny. Prawda życia? jaka? Byłaż by nią powszechna nędza ludzka, wiecznie żyjąca, wszędzie zaczajona, skacząca ludziom na plecy nawet zza najładniejszych w świecie parawaników chińskich?

W kwadrans potem jechał do domu przez ulice jeszcze ludne, ożywione, zalane potokami elektrycznego światła. Ta późna godzina nocna była porą opuszczania klubów wielkich, restauracji modnych, zabaw publicznych i prywatnych. Środkiem ulicy mknęły i krzyżowały się z sobą roje sań mniejszych i większych; pomiędzy nimi ogromne i ciężkie karety toczyły się na kołach skrzypiących po twardym jeszcze śniegu. Gdzieś tam chodniki roily się od przechodniów biegnących, śpieszących; za szeregami okien oświetlonych widać było festony firanek i przemykające cienie tańczących par ludzkich. Tony muzyki, głuche i niewyraźne, z jakąś czasem jedną nutą głośną i przenikliwą wpadały w hałas, sprawiany przez niezliczone drobne dzwonki, przez brzęki uprzęży, turkoty i skrzypy kół, szelesty stąpań gromadnych i śpiesznych. Nieskończone szeregi latarni gorzały światłami białymi i czerwonymi; wicher miotał w koło nich mgłę drobnego szronu porywanego z drzew i da-

chów, leciał ulicą, z gwizdem uderzał się o domy, biczami ostrymi smagał twarze i na usta kładł słoność przynoszoną z bliskiego morza.

Roman z twarzą wtuloną w kołnierz futrzany mknąc na małych sankach, które skrętami wężowymi przewijały się wśród mnóstwa innych, rozpoznając jak we dnie rysy mnóstwa krzyżujących się z nim twarzy, wzrok zatapiając w niedoścignionych galeriach światła, uchem wylawiając z gwaru ulicznego przeszywające go niekiedy nuty muzyczne, stuki hałaśliwe, wykrzyki ostre, myślał, że jest kropelką strumienia, który wartko i popędliwie toczy się w żyłach organizmu zdjętego gorączką. W dzień i w nocy, bez przestanku i spoczynku, strumień ten kipi i toczy się — ku czemu? do jakiego portu? ku jakiemu ujściu? Przyszły mu na myśl słowa Domunta: „Runo złote pod postaciami rozmaitymi; stąd królestwa, wojny, wielkie miasta, wynalazki i — miłość także, bo i ona daje rozkosz, a potęgą i rozkosz — to oś świata, i potrzeba jej światu coraz więcej, coraz więcej, coraz więcej!”

Smutno mu było; nie mógł pozbyć się obrazu biednego kaku, który tylko co był wielką panią świetną i uwielbianą, a przed jego oczyma przemienił się na papużkę skurczoną i zbiedzoną, z brylantem migocącym we wgłębieniu szyi starej, z czubkiem żałośnie zwieszonym nad maską popękaną i łzami zmoczoną. Czy to ku takim portom i ujściom toczy się ten strumień wartki i kipiący, którego on jest kroplą? Znowu głos Domunta zabrzmiał mu w uszach: „Co robić? Na to życie!”

— Na to życie! — powtórzył i myślał dalej:

„Na to! na co? na co życie? Właściwie, na co życie?”

Sanki skręciły w ulicę węższą, więc jeszcze rojniejszą, hałaśliwszą, więcej zapchaną ludźmi i końmi. Roman pomimo woli podniósł wzrok w górę i długo już nie spuszczał go ku ziemi.

Nad ulicą rojną, dzwoniącą, turkocącą, grającą, nad do-

mami wysokimi, w których gorzały rzędy oświetlonych okien, nad szeregami latarni i bijącą od nich ku górze łuną białoróżową, rozpościerało się w głębi nieskończonej niebo tak ciemne, że prawie czarne, ze stojącą na nim bardzo bladą twarzą księżyca. Łuna bijąca od latarni gazowych czyniła bardzo bladym światło niebieskiego globu. Wyglądał on jak oko łagodnie i spokojnie spoglądające na ziemię z odległości niedoścignionej, wśród niezmaconej ciszy. Otaczała go cisza niezmacona i spokój wielki wraz ze świeżością nieśmiertelną zdawał się panować na tych wysokościach niezmiernych, mrocznych, gdzieniegdzie pobłyskujących małymi gwiazdami.

Roman doświadczył znowu uczucia takiego, jakby odsłaniała się przed nim jakaś prawda życia daleka, wysoka, ale której wyrozumieć nie mógł. Czuł, że jest, że być musi, chwilami zdawało mu się, że już pochwytuje ją myślą, ale wnet umykała znowu i stawała się tak niewyraźną, jak bladym było wobec latarni gazowych światło globu niebieskiego.

I

Pociąg kolei żelaznej zatrzymał się przed stacją małą, samotnie stojącą wśród pól żółtych i przestronnych. Mężczyzna młody, wykwintnie ubrany, wyskoczył z wagonu i oko w oko spotkał się z chłopakiem wiejskim w szarej świtce, który kłaniając się zapytał:

— Czy to pan do Darnówki?

Wątpliwości być nie mogło; nikt więcej nie opuścił pociągu, który już ze świstem lokomotywy pędził dalej. Przybyły wskazał parobczakowi parę wyrzuconych na platformę skrzynek eleganckich, skórą obitych, czymś błyszczącym przyozdobionych, a w dziesięć minut siedział już na wózku zasłanym kraciastym kilimkiem, powożonym przez parobczaka w szarej świtce, zaprzężonym parą kasztanków niedużych, tłustych, z prawie białymi grzywami zaczesanymi na łby i oczy. Ekwiπαż ten przypomniał mu coś dalekiego... Ach, tak! Bardzo podobnymi końmi i z woźnicą zupełnie takim samym odjeżdżał do miasta z ostatnich wakacji u stryja spędzonych. Dziesięć lat temu, tak, dziesięć... a tyle rzeczy, tyle rzeczy dzieli go z porą ową, że sam sobie wydaje się snem. Jednak był podówczas bardzo realnym, dziewiętnastoletnim młodzieńcem, który w przeddzień zaledwie zdjął mundur gimnazjalny, a z uciechą wielką przywdział akademicki. Uciecha ta przecież w dniu odjazdu bez śladu zniknęła mu z serca. Siadając na taki sam wózek, takimi samymi końmi zaprzężony, miał wąsik tak drobny, że zaledwie widzialny, ale w oczach łzy duże i z wielką

trudnością zaledwie powstrzymywane. Gdyby nie wstyd przed samym sobą, byłby płakał... Kto wie, może nawet trochę i zapłakał po tej wiosce opuszczanej, po złotej swobodzie złotego lata, nade wszystko po pewnych oczach dużych, szarych, których spojrzenie smutne i jakby zdziwione spotkało się z jego wzrokiem wtedy jeszcze, gdy wózek odjeżdżał sprzed ganku.

No, ale doprawdy to są te same konie i ten sam woźnica!

— Słuchaj, kochanku, ile lat mają te konie?

Chłopak profilem zwrócił się ku pytającemu.

— Jednemu, panie, pięć skończyło się po Jerzym, a drugiemu sześć chyba będzie na Zielną.

Zielna! Co to takiego? Ta nazwa coś mu przypomina, coś bardzo plastycznego i zarazem niepochwytne... jakby w blasku słonecznym rozlegały się dzwony i rozlewały się mocne zapachy. Zdaje się, że jest to nazwa święta... ale co to przy jej wspomnieniu coś w powietrzu dzwoni i pachnie?

Więc konie podobne do tamtych, ale nie te same; naturalnie. No, a woźnica?

— Czy dawno u stryja mego służycie?

— Ja? Ihi! tak jakby zawsze, bom i urodził się w Darńowie. Ale co furmanem, to dopiero dwa lata będzie na Gromniczną, jak zostałem.

Gromniczna! Aha! Śnieg skrzypi pod płozami sanek, noc od gwiazd wyiskrzona, ludzie gadają o wilkach...

Więc i woźnica nie ten, co wówczas, tylko bardzo podobny. Naturalnie.

Ale pola to już z pewnością te same: równe, szerokie, zżęte, zasłane ścierniskiem żółtym, tu i ówdzie zaróżowionym przez smugi zachodzącego słońca. W tym świetle bławatki i ostróżki nabierają barw i połysków drogich kamieni; dziwnie są podobne do szafirów i ametystów rozrzuconych garściami po morzu złotym. Wózek toczy się drogą białą pomiędzy dwoma szlakami zielonymi, ciężko podskakuje po koleinach i kamieniach, z daleka mija grusze dzikie, rozproszone z rzadka po

ściernisku, gdzie zielenieją też tu i ówdzie pojedyncze lub w małe gromadki skupione głogi, berberysy, leszczyny i róże dzikie. Berberysy i róże dzikie teraz właśnie są okryte czerwonymi jagodami, a po ciemnych leszczynach migocą jasnoseledynowe centki orzechów dojrzewających.

Po paru kwadransach droga skręca na łąkę wilgotną, z ługiem niedużym, w którym jak w szkle czystym odbijają się obłoki rumiane i srebrne. Brzegiem ługu kroczy bocian z długim dziobem, na wysokich nogach. A! jest tu ich więcej! Drugi, trzeci, piąty, dziesiąty... Stoją z dziobami w trawie albo chodzą po wilgoci wypłuskającej im spod nóg kroplami wody, o czymś głęboko dumając, zapewne o odlocie bliskim w strony dalekie... Zerwą się i odlecą!

— Tak, jak ja! Odleciałem i teraz dopiero powracam — na chwilę. Odleczę znowu i kto wie, czy kiedykolwiek już powrócę? W każdym razie chyba przelotem... Tę wodę nazywają tu ługiem, ale jakże się ten ług nazywa? Wiedział niegdyś. Na łące tej bywał, strzelał do jakichś ptaków. Jakże się nazywają te ptaki? Nie pamięta, ale wie, że wieczorami grywają tu dwie orkiestry: żab i ptaków jakichś, których nazwy nie pamięta...

Wyraz orkiestra przypomniał mu cyrk, który po całorocznej nieobecności wrócił do stolicy, na parę miesięcy przed jego odjazdem. W tym to cyrku znajdowała się wołyżerka Aurora, ta, która była na niego łaskawą, dopóki w jeden wieczór nie odbił mu jej ten garbus-milioner. Gdy wróciła, widywał ją znowu. Popadł był w usposobienie takie, że musiał szukać rozrywek, upojeń... Bywał w cyrku; Aurorę spotykał i poza cyrkiem. Nagle porzucił wszystko i odjechał. Może źle zrobił. Ta Aurora... na arenie ptak, motyl, zjawisko prawie nadprzyrodzone, a za areną... No, niech ją tam! Szkarada!

Wiatr powiał od lasku, do którego zbliżał się wózek, i napełnił mu płuca świeżością lecącą od brzoź i osin, od wiecznej rosy, w której pomiędzy wilgotnymi kępami stały rozszcze-

pione na kilka pni olchy. Na olchach tu i ówdzie, jak czapki ogromne, wisiały gniazda gawronie; w brzezynie rzadkiej, czystej, gładkiej jak sala balowa tańczyły po trawie, po pniach białych, po liliowych brunelkach i bratkach słoneczne promyki, esiki i kółka.

Za brzezina, nieco z dala, pomiędzy polami i łaskami, widać jedną wieś bliską, drugą dalszą i dużą gęstwinę zieleni, z której dobywają się ku górze strzały topoli włoskich. Po tych drzewach już poznać można, że jest to dwór, ale jadący wie nawet, jak on się nazywa.

— Darnówka? Co? — zwraca się do woźnicy.

— Tak jest, panie — odpowiada chłopak i z lekka zacina batem kasztanki, które biegną tak żwawo, że spod kół wózka bić zaczynają kłęby kurzawy. W tej kurzawie, która kłębami wybija się spod kół wózka, a na ziemię opada deszczem prawie złotym, jest coś bardzo znanego: jakiś zapach piasku i gliny, jakiś powiew suchy i gorący, coś niewyraźnego, ale co nagli do rozpoznania, przypomnienia, nie wiedzieć czego... Byłoby to prawdą, że nawet kurzawy wznoszące się nad drogami snują pajęczyny prawie niepochwytne, w których jak muszki prawie niewidzialne brzęczą wspomnienia?

W pobliżu dworu ze strzelistymi topolami, na tle już rumieniającej się na zachodzie zorzy wieczornej, posuwa się powoli czarny profil konia, pług i idącego za pługiem człowieka. Śród rozległej przestrzeni jedyny to w tej chwili objaw życia ludzkiego; odpowiadają mu z oddalenia ryki bydła, piania kogucie, stuki siekiery i pieśni chłopskie, tu, ówdzie omdlewające daleko, u wiosek, nad którymi kręte dymy kreślą na błękitcie bladozłote wstęgi. Zresztą, cicho; tylko jeszcze drobne ptaki szczebioczą w gruszach na miedzy i w wierzbach przy drodze.

Ciszę przerwało głośne wołanie z pola:

— Stój, Marcinek; hej, stój! Jak się masz, Romku! Zaczekaj, kotku, nie włącz na ściernisko, bo nie dla ciebie kobierce

takie! Jam przywykł, dobiegnę, co tu robić? No, bywaj powitan, bywaj pozdrowion, co tu robić, mój drogi, dawno nie widziany chłopcze!

Pług przewrócony i para koni nieruchomych pozostały na zagonie; stary oracz, wysoki i barczysty, siwy i łysy, w ramionach okrytych rękawami białej jak śnieg koszuli dość długo trzymał młodzieńca wysmukłego, w paltocie zgrabnym i w błyszczącym jak szkło obuwiu. Potem wypuścił go z objęcia i do parobczaka siedzącego na koźle zawołał:

— Jedź do domu. Marcinek, i powiedz tam Jaśkowi, aby skoczył tu żywo i pług z pola do domu sprowadził. Ja pójdę z gościem...

Roman z ukrywanyim zdziwieniem powiódł wzrokiem ku pługowi; stary to spostrzegł.

— Dziwisz się, że znalazłeś mię przy oraniu, dawniej tego nie było, a? To prawda, bo widzisz, kotku, dawniej, co tu robić, byłem z innego ciasta, z takiego delikatnego, rodzynkami natykanego...

— Zapewne środek higieniczny... — wtrącił Roman.

Stary zaśmiał się.

— A tak, kotku, higieniczny... masz słuszość... pewno, że higieniczny, co tu robić... Higiena to dobra rzecz i bardzo rozmaita! Ale co tam o tym! Więc przyjechałeś do nas! co tu robić! przyjechałeś jednak...

Szli ku dworowi aleją nieszeroką, z dwu stron drzewami osadzoną, i wzajemnie przypatrywali się sobie starając się tego nie okazać. Romuald Darnowski niewiele zmienił się przez lat dziesięć: ten sam, co dawniej, wzrost duży i ramiona szerokie, to samo czoło wielkie i przez łysinę uczynione jeszcze większym, ta sama ognistość ciemnych oczu pod brwiami szpakowatymi, ten sam wyraz jowialny, chwilami trochę przebiegły na twarzy dużej, długiej, ogorzałej i czerstwej, chociaż bardzo już pomarszczonej. W grubych, wysokich, okurzonych butach, w surducie z siermiężnego sukna, który Marcinek podniósł

z brzegu pola i włożyć mu dopomógł, wyglądał na zdrowego, silnego rolnika, na wesołego i roztropnego prostaka. Od lat dziesięciu zmienił się niewiele; jednak Romana uderzało w nim coś, czego dawniej albo nie było, albo on tylko nie spostrzegał, a co go teraz dziwiło i trochę niepokoiło. Ta praca własnoręczna, ta odzież gruba, ta skóra na twarzy i rękach zgrubiała i ogorzała? byłżeby zrujnowanym? pomimo posiadania Darnówki zmuszonym do zejścia na poziom życia tak niski? Jednak zgnębienia nie było w nim ani śladu. Raźnie i wesoło rozmawiał z synowcem.

— Przyjechałeś więc, kotku! Wiesz co? list twój otrzymałem, konie po ciebie na stację posłałem i jeszcze nie wierzył, co tu robić, że przyjedziesz? jeszcze myślał, co tu robić: ej! w ostatniej chwili zatrzyma go coś pewnie...

Roman z niejakim zmieszaniem mówić zaczął:

— Winien jestem przed tobą, mój stryju, bardzo winien, czuję to sam i nie dziwię się, jeżeliś zwątpił o przywiązaniu moim, które jednak...

— Dlaczego? — zawołał Darnowski — dlaczegoż winien, kotku? Czy dlatego, że odzywałeś się do nas rzadko, a od lat sześciu, co tu robić, nie odzywałeś się już zupełnie? Ej, kotku, wiem ja dobrze, co było tego przyczyną! Świat, stosunki, roztargnienia, zabawy, zajęcia, kariera... force majeure, kotku... czy ja dobrze jeszcze pamiętam znaczenie tego wyrazu? Force majeure... siła główna, nakazująca, najważniejsza... prawda? co tu robić? Co się zaś tyczy przywiązania, to ono, kotku, może i było, może tam gdzieś i tlało na spodzie, co tu robić, przez force majeure przygniecione... widać, że było, skoro jednak, co tu robić, przyjechałeś!... Ale winszuję ci, kotku, bardzo winszuję... Posadę otrzymałeś świetną! pi, pi! wysoko stanąłeś, a co tu robić, staniesz wyżej jeszcze! Ślicznie, ślicznie! Ale bo już i sama gałąź nauki, którą sobie obrałeś, chroniła cię przed tym, abyś został grzybem... tej nauce się oddając najtrudniej zostać grzybem...

— Jaki grzybem? — uśmiechając się zapytał Roman.

— Ot, takim, jakim, na przykład, my jesteśmy... takim sobie, co tu robić, lichym grzybem siedzącym wiecznie na tym miejscu, na którym Bóg go posiał... Ty, co tu robić, lecisz sobie jak liść od drzewa oderwany, wolny, lekki... to daleko przyjemniej i ładniej...

Staął, wpatrzył się w jakiś punkt trochę oddalony i zawołał:

— Iruś, Iruś! a chodź no tu, kotku, gościa naszego powitaj... widzisz! przyjechał!

Do Romana się zwrócił:

— Bo to, widzisz, kotku, oni także... Stefan, Irenka, wąpili, abyś naprawdę przyjechał. Po co by miał przyjeżdżać? mówią, interesu przecież nie ma tu żadnego, a i tak, co tu robić, czeka go podróż ogromna... Iruś! a cóż bo tam pomiędzy tym zielskiem tak marudzisz! Chodźże prędzej przywitać się z krewnym!

Przed ogrodzeniem i bramą dziedzica, w obszernym ogrodzie warzywnym, rozdzielonym od drogi niskim płotkiem, Roman zobaczył kobietę, której idąc obok stryja ze wzrokiem spuszczone przedtem nie dostrzegł. Spomiędzy kilku rosnących gromadą słoneczników weszła na ścieżkę wydeptaną pomiędzy rzędami warzyw zielonych, amarantowych, brunatnych i nagłona wołaniem starego, szła coraz prędzej ku bramce w niskim płotku; wysmukła i prosta, ale z głową pochyloną, w sukni jasnej i z koszem w ręku tak napełnionym, że liście zielone, amarantowe i brunatne zdawały się wylewać zeń przez brzegi.

Doprawdy? to ona! ona! ta sama Irenka, to samo dziewczę, niegdyś takie miłe i — kochane! Urosła... tak, wyższą jest, niż była wówczas, i kosy na plecach już nie ma. Czarna jak heban i lśniąca jak jedwab zwiniętą jest teraz z tyłu jej głowy pochylonej, którą stanawszy przed dwoma oczekującymi na nią wśród drogi mężczyznami zwołna podnosi. W jednym ręku

trzymając kosz wylewający przez brzegi liście lśniące i pachnące, drugą podała gościowi, i rumieniec do stojącej na niebie zorzy wieczornej podobny oblał jej twarz od brzegu czarnych włosów do opasującego szyję kołnierzyka sukni perkalowej w błękitne i białe kratki. Przez jedno mgnienie oka Roman widział jej szare źrenice tkwiące w jego twarzy i miał w dłoni rękę, którą wnet cofnęła, po czym znowu ku ogrodowi odeszła.

Stary Darnowski śmiał się.

— Języka w gębie zapomniała dziewczyna, jak Boga kocham, co tu robić, kawalera światowego i dygnitarza takiego zobaczywszy, języka w gębie zapomniała... jak trusia dygnęła i uciekła... A! cóż to dziwnego? My tu nie co dzień, co tu robić, nie co dzień, takich, jak ty, ludzi widzujemy...

— Żartujesz, stryju — odrzekł Roman i po chwili z niejakim wahaniem dodał: — Mówiła mi baronowa Lamoni, że Irenka jest zawsze w Darnówce... dziwiłem się...

Czemuś się dziwił, kotku?

— Że... że dotąd za mąż nie poszła!

Stary wybuchnął swoim różnym i dobrodusznym śmiechem.

— Za mąż? a za kogóż, kotku, wyjść by miała? Za koguta chyba? cha, cha, cha! Co tu robić? Chyba za koguta! Bo tu nikt nie żeni się i nie wychodzi za mąż!

Dlaczego, stryju?

Zdziwiło go to pytanie bardzo.

— Nie wiesz? Co tu robić! A no, to się dowiesz, gdy trochę tu pobędziesz!

Spowaźniał, śmiać się przestał.

— Ale to nic nie szkodzi, kotku! Jeżeli rodziny nie zawiązują się w jednym miejscu świata, za to w innym mnóstwo ich zawiązywać się musi; ludzkości przez to nie ubędzie i dla ogólnej jej ekonomiki to, co tu robić, wszystko jedno.

Teraz Romanowi śmiać się chciało. Rozumowanie było istotnie dość szczegółowym!

— Ależ, kochany stryju, rozumowanie to wcale pocieszać nie może, że takie wdzięki i zalety, jak kuzynki Irenki...

— Jakie tam wdzięki! bardzoś łaskaw! — przerwał Darnowski. — Bardzoś łaskaw, bo pewnie tam na świecie szerokim spotykałeś mnóstwo piękności, do których nasza Irusia, co tu robić, ani się umywała! Co zaś do zalet, to są, kotku, zalety, z przeproszeniem twoim, głupie! Bo gdyby to miało posag, ale gdy się jest bez posagu, to, co tu robić, trzeba być i bez przesądów, a także mieć wolę i inicjatywę. Ona zaś jest przesądna, a woli i inicjatywy za grosz nie ma. Przecież mogłaby wyprawić się w świat po los i męża! Guwernantki trzymałem do niej, na pensji była, tak samo wychowana, jak wszystkie, niczego jej nie brak i okazję miała... co tu robić... okazję śliczną... baronowej podobiała się bardzo, chciała ją z sobą wziąć, pensję dużą dawała, na wielki świat wprowadzić obiecywała...

— Wiem o tym — wtrącił Roman.

— Aha! wiesz? mówiła ci o tym Lamoniowa? A no, widzisz, kotku, widzisz sam, czy nie dziwactwo? czy nie brak zupełny woli i inicjatywy? Nie chciała, co tu robić, nie chciała! choć ty jej kołki na głowie strugaj... Kobieta jak milion, cała ze złota, mówi do niej: „W świat cię wprowadzę, stroić cię będę, za męża wydam!“ A ona jak czeczotka: cha, cha, cha! chi, chi, chi! śmieje się i powtarza swoje: nie, nie, nie! nie, nie, nie! No, powiedz sam, kotku, jak to świadczy o niej? i czego to dowodzi?

— Ależ, mój stryju, zdaje mi się... że świadczy to o kuzynce Irenie jak najlepiej i dowodzi... dowodzi jej serca najlepszego, które musi być do was bardzo przywiązane!

Darnowski ze zdumieniem zawołał:

— Doprawdy? tak znajdujesz! takim jest zdanie twoje! Dziwi mię to, co tu robić, bardzo mię to dziwi! Bo jakże! Mogła była przecież zrobić karierę, pi, pi! i jaką jeszcze, a nie

chciała, wołała zostać sobie na zawsze, co tu robić, takim grzybem, którego nikt nie zdybie...

— Ależ dlaczego nikt? dlaczego nikt? — zaprotestował znowu Roman.

Tym razem stary nie odpowiedział; spojrzenie jego tylko przesuwające się po twarzy synowca błysnęło i zaśmiało się, a jednocześnie i po raz pierwszy usta pod siwym, bujnym wąsem zwarły się w wyrazem surowym i bolesnym.

Przez szeroko otwarte wrota weszli na dziedziniec okrągły, napełniony zapachem świeżo skoszonej trawy. W głębi dziedzińca dom z gankiem, którego cztery słupy zachodzące słońce maluje na różowo; po obu ich stronach bzy i spiree przysłaniają rząd niedużych okien. Z ganku schodzi powoli kobieta szczupła i zgrabna, z siwiejącymi włosami i dziewczynka może dwunastoletnia. Idą na spotkanie nadchodzących, którzy spostrzegłszy je przyspieszają kroku.

— Widzisz, Paulinko, otóż i przyjechał! Mówiliście: nie, nie! Otóż, co tu robić, serce nie sługa... przyprowadziło go tu jeszcze raz... pewno ostatni! Pamiętasz, Romku, żonę moją? Przypomnijcie się sobie państwo! A to jest, kotku, najmłodsze czupiradełko moje, Bronia, która za ostatniej bytności tu twojej dwa czy trzy lata miała. Starszy od niej, Leoś, dziś właśnie do szkół z wakacji odjechał, a najstarszy, Stefek — czy pamiętasz go? co tu robić, dryblas ogromny i jakiś tam magister, z parobkami na łące otawę kosi. Gdy wróci z łąki, przypomnicie się sobie... A teraz, co tu robić, Paulinko, daj gościowi naszemu herbaty...

Szczupła, zgrabna kobiecina, z siwymi włosami, z twarzą mizerną, łagodną i jakby żalowaną, w sukni trochę jakby czymś nastrzępionej, przystrojonej, ściskając jeszcze w obu chudych, żółtych rękach rękę Romana, podniosła na męża oczy żalose i tonem żalonym przemówiła:

— Kiedy Irusia jeszcze z ogrodu nie wróciła...

— Aha! A bez Irusi nie być nie może, co tu robić? Więc

tymczasem, kotku, do Stefka pójdziemy... On tu bliźutko za ogrodem kosi... Przypomnisz sobie ogród nasz... hej! jakże po tym dziedzińcu hasaliście konno ze Stefkiem! Zmienił się i on dużo, co tu robić, ot, zobaczysz go zaraz... tymczasem kobiety herbatę ci przyrządzają... Bronka niech idzie z nami!

Dziewczynka, jak na komendę, zawiesiła się u ramienia ojcowskiego, z roześmianą twarzą, drobną, okrągłą i różową, z roześmianymi oczyma błękitnymi, ale obecnością gościa oniesmielona, więc milcząca i poważna, pomimo mnóstwa filuterynych kędziorków złotych, rozspanych po czole i szyi. Miała na plecach, zwyczajem znać tradycyjnym, gruby, krótki warokoczek, co nie przeszkadzało kędziorkom rozsypywać się wszędzie i swawolnie.

Szli przez kilka minut alejami i drogami ogrodu, który przed Romanem odślaniał się stopniowo, jak obraz od dawna niewidziany, ale dobrze znany. Na jednej z dróg ciągnącej się równolegle z ogrodzeniem, u którego rosły szeregiem brzozy płaczące, dały się słyszeć z bliska, wyraźnie dźwięki ostre, metaliczne, rytmiczne.

— Co to tak dźwięczy? — zapytał Roman.

Darnowski przerywając opowiadanie o zmianach, które on z Iruśią w ogrodzie porobił i jeszcze porobić zamierza, odpowiedział:

— Kosa, kotku; ktoś tam kosę sobie stępił i teraz ją ostrzy...

Jednocześnie Roman spostrzegł, że dziewczynka ze złotymi kędziorkami podniosła na niego oczy, jakby pytające, jakby zdziwione. Ale nie powiedziała nic, i była ciągle bardzo poważną.

Przez furtkę w ogrodzeniu weszli na łąkę, porośłą gdzieś niedzie drzewami i krzakami, rozciągniętą pasem dość wąskim, a bardzo długim, na którym w dali połyskiwał sznur wody cienki i kręty. W pobliżu, o paręset kroków od furtki ogrodowej, kilku ludzi, w rzadko rozrzuconym szeregu stoją-

cych, rytmicznymi ruchami przesuwano kosy po trawie. Słońce, już niewidzialne, rzucało jeszcze trochę rumianego światła na białe koszule kosarzy i krwisto zarumieniało pod ich stopami szczawie i mietlice. Ale pod drzewami błdziły już cienie wieczoru i spośród zarośli podnosił się opar biały, oddech nocny miejsc bardzo wilgotnych. Stary Darnowski zatrzymał się u furtki.

— Dalej nie pójdziemy... łąka mokra... w twoim obuwiu, kotku, co tu robić, zepsułyś je sobie kapitalnie.

Potem zawołał:

— Stefek! pójdź no, kotku! Rzuć robotę! już późno! brata powitaj!

Ale i bez wołania, tylko na widok osób wchodzących z ogrodu na łąkę, jeden z kosarzy rzucił na ziemię kosę i szerokimi krokami ku nim zmierzał. Tak jak ojciec, wysoki i silnie zbudowany, jednak znacznie szczuplejszy, silny brunet, z cerą śniadą i ciemnymi oczyma pod brwią kruczą, równie jak u ojca ognistymi, Stefan Darnowski stanął przed bratem stryjecznym, ale ręki ku niemu nie wyciągnął.

— Przepraszam — rzekł — nie mogę podać ręki... od kilku godzin jest już w ogniu...

— Roboty! cha, cha, cha! co tu robić, w ogniu roboty — zaśmiał się stary. — No, jak toaletę zrobisz, to go ucałujesz i uściśniesz... co tu robić! teraz chodź z nami do domu...

— Jeszcze nie mogę, ojczu, za kwadrans przyjdę, razem z nimi...

Na kosarzy wskazał. Wydawał się niezadowolonym i trochę ponurym; po pierwszym spojrzeniu na Romana, krótkim i bystrym, wzrok spuścił ku ziemi. Czoło jego, pięknie zarysowane, śniade i gładkie, połyskiwało od potu, który miejscami występował na nie w postaci kropel bujnych. Roman doświadczył uczuć zdziwienia i zawodu; pragnął i ciekaw był spotkania z tym bratem prawie rodzonym, niegdyś towarzyszem nauk szkolnych. Rówieśnikami byli, wspólnie uczyli się, roili, broili,

rezonowali, postanawiali. Spodziewałby się raczej wszelkich rzeczy niespodziewanych aniżeli takiego z nim spotkania. Ukazał się mu w postaci i roli szczególnej; objawiał względem niego obojętność także bardzo szczególną.

— Za kwadrans przyjdiesz?... co tu robić, niech i tak będzie, kotku... Wiem już ja to, że w każdej rzeczy zapalczywym jesteś jak Grabowiecki w tańcu... Niechże, co tu robić, brat i gość przez ten kwadrans na ciebie poczeka... Czy przypominasz sobie, Romku, tę łąkę?

Niewiele ją sobie przypominał, trochę, jak przez sen. W zamian przypomniawszy coś innego: ten łąg, około którego przejeżdżał.

— Czy stryj nie wie, wypadkiem, jak się ten łąg nazywa?

— Jakże mógłbym nie wiedzieć? toż od Darnówki o trzy wiorsty! Hrodzicki łąg, kotku, Hrodzicki... od Hrodyszcz, wioski najbliższej!

Prawda! a tak! teraz już i Roman przypomniawszy sobie to nazwanie. Ale jeszcze jednej rzeczy nie pamięta. Jak nazywają się te ptaki, które w wieczory letnie, jednocześnie z żabami, krzyczą po łąkach... z czego tworzą się formalnie dwie orkiestry?

— Derkacze, kotku, przypuszczam, nawet pewny jestem, że derkacze masz na myśli...

Tak, tak; Roman wybornie przypomniawszy sobie teraz, że ptaki, których głosy pamiętał, nazywają się derkacze. W tej chwili też spotkał znowu oczyma wzrok Bronki, wlepiony w niego z wyrazem zadziwienia. Tylko tym razem na ustach dziewczynki drgał uśmieszek powstrzymywany. Roman pomyślał: „Czego ten dzieciak dziwi się ciągle patrząc na mnie, i nawet zdaje się, że w duchu wyśmiewa się ze mnie? Ale pomimo to milutkie jakieś stworzonko!“

Wtem po łące, w powietrzu szarzącym, choć jeszcze różowym, rozległ się wielki, chórally wybuch śmiechu. To kosarze zaśmieli się tak z czegoś już zbierając na trawach odzież

porzuconą i gotując się do odejścia. Od furtki ogrodowej, w której dwaj Darnowscy i Bronia stali jeszcze patrząc na łąkę, widać było Stefana, który z szerokim gestem coś przemówiwszy do towarzyszy zaśmiał się z kolei głośno, z całego gardła, długą gamą tonów męskich i wesołych. Przywóturzył mu drugi, chóralny wybuch śmiechu kilku kosarzy. Stary Darnowski rękę do wąsa podniósł, musnął go i trochę podkręcił...

W kilka minut potem Roman siedział w małej bawialni sam na sam ze stryjenką. Nie była wcale zajmującą; była raczej nudną albo zabawną ze swoją miną żalosną i sposobem mówienia trochę przez nos, trochę przez zęby, co wzmagало w niej pozór wiecznego niezadowolenia. Jednak w oczach jej było wiele słodczy, i teraz patrząc na nią Roman przypominał sobie wyraźnie jakieś noce dalekie, ponure, w czasie których te bladobłękitne oczy pochylały się nad nim z litością serdeczną, a te długie, żółte ręce podawały mu do ust lekarstwa. Był wówczas dzieckiem biednym, osieroconym, chorym, a ta kobieta czuwając nad nim odbierała go chorobie i śmierci. Może to przypomnienie sprawiło, że pomimo jakiegoś zabawnego nastrzępienia w ubiorze i prawie niecierpliwącego sposobu jej mówienia, nie tylko rozmawiał z nią cierpliwie, ale nawet z niejaką przyjemnością zaczął na jej żądanie opowiadać różne rzeczy o stolicy, jej pięknościach, zabawach, zwyczajach. Słuchając go wdychała i parę razy ze splecionymi rękoma westchnęła: Ach, ach, ach! ach, ach, ach!... Zaraz jednak potem z uśmiechem poklepała po różowym policzku Bronię, która jej i gościowi przyniosłszy herbatę na stole ją postawiła, a sama przyklękawszy matkę w kolano pocałowała, po czym śmiejąc się, w poskokach wybiegła do jadalni po sucharki do herbaty. Pani Paulina zwróciła się do Romana z zapytaniem:

— A dziewczynek takich, jak ta moja, czy dużo tam widywałeś? Pewno nie, pewno nie!

I wąskie, pożółkłe usta jej zaśmiały się szeroko, blady błę-

kit żrenie pociemniał. Ale w minutę potem wzdychała znowu:

— Ach, ach, ach! jak ja teatr lubię! ach, ach, ach! W młodości bywałam czasem w teatrach... teraz od dawna nie bywam już nigdy, nigdy... ach, ach, ach!...

Spojrzała w okno i zupełnie już innym głosem zawołała:

— Stefek wraca! Broniu! Broniu!

— A co, mamusiu? — zadzwonił w drzwiach głosik podlotka.

— Poproś Irusi, aby wiesz, dała prędeż, prędeż... Stefek głodny być musi, a także tatko już ze stodoły wyszedł i do domu idzie!

Roman widział przez okno, jak Stefan szerokimi krokami przechodził dziedziniec i na ganku przemówił kilka słów do Broni, która na jego spotkanie wybiegła. Zniknął potem w głębi domu, ale wkrótce wszedł do bawialni i z ukłonem trochę ceremonialnym, uprzejmie, ale bez cienia serdeczności i wylania powitawszy Romana usiadł w pewnym od rozmawiających oddaleniu. Na tle okna, jasnym wśród zapadającego zmroku, profil jego ze spuszczoneymi powiekami rysował się w liniach surowych, prawie twardych.

Przy wieczerzy Roman oglądając się po jadalni przypominał sobie słowa baronowej: „Stary dom, stare meble, stare zwyczaje!“ Wszystko tu było jak przed dziesięciu laty. Nie miał jednak wiele czasu na przypatrywanie się rzeczom i siedzącym przy stole osobom, bo uwagę i ciekawość jego pochłonęła od razu rozmowa ze stryjem. Nakładając sobie na talerz potrawę ze stojącego przed nim półmiska i wracając do kilku słów przed chwilą z synowcem zamienionych stary Darnowski mówił:

— Półtora tysiąca wiorst! Phi! Koniec świata! co tu robić, na koniec świata zajedziesz, Romku, i oko ludzkie nigdy cię tu już nie zobaczy...

Roman żywo podjął:

— Wraca się zewsząd, mój stryju; teraz wobec środków

komunikacji dawniej nieznanych sprawdziła się bajka o butach siedmiomilowych. Wkładać je muszą szczególnie ci, którzy potrzebują i szukają kawałka chleba...

Darnowski przestał jeść i z wyrazem zadziwienia patrząc na synowca zawołał:

— Kawałek chleba! co też ty wygadujesz, kotku. Sobie i wszystkim takim, jak ty, ubliżasz! Kawałek chleba! wielka rzecz! wielka sztuka. Kawałek chleba, co tu robić, może mieć każdy, kto nie jest kaleką ani, z przeproszeniem, głupcem ostatnim. Kawałek chleba ma, jak w Biblii pisze: „ten, który drzewo rąbie, i ten, który wodę wozi“. W miastach, co tu robić, buty i odzież szyją, pieprz ważą, różne tam inne rzeczy robią, po wsiach orzą, sieją, młócą, mielą i kawałek chleba mają...

— Ale jaki? — wtrącił Roman.

— Otóż to! jaki? Masz słuszość, kotku! To właśnie, co tu robić, powiedzieć chciałem. Mają kawałek chleba suchy albo w wypadku najlepszym jakim tam masłem domowym posmarowany. Niewielka sztuka i niewielka mądrość! To dobre dla prostaków, co tu robić, ale nie dla ludzi wyższych. Ludzie wyżsi, co tu robić, rozumieją swój czas i jego wymagania, swoją wartość i cenę, którą za siebie mogą otrzymać na rynku. Im nie podobna, co tu robić, ograniczyć się na chlebie suchym i chociażby posmarowanym masłem. Oni dążą wyżej, coraz wyżej, oni, kotku, dążą... ku pasztetowi!

Myśląc, że źle usłyszał, Roman ze śmiechem zapytał:

— Ku czemu, stryju?

Darnowski powtórzył z powagą:

— Ku pasztetowi, kotku. Ale — poprawił się zaraz — ja tak mówię tylko... tylko... au figuré! Iruś, czy ja pamiętam jeszcze, co znaczy au figuré? a?

— Pod przenośnią, tateczku! — zadzwonił filuterny głos podlotka, i po dwu twarzach, z których jedna była jeszcze dziecinną i przypominała zorzę poranną, druga już kobiecą

i podobną do pogodnego lata, przemknęły błyskawice wesołych uśmiechów. Ale Romuald Darnowski nie tylko wcale się nie uśmiechał, lecz ze wzrastającą powagą i zapałem mówił dalej:

— Pasztet — to przenośnia. Rozumiem pod nią, kotku, wszystko, co postęp rozumu ludzkiego wytworzył dla ludzi rozumnych i bez czego, co tu robić, nie może się obejść nikt, kto nie jest ani chłopem, ani osłem. Prostak jestem i nie potrafię wyliczyć, nawet, co tu robić, nie wiem i nie znam pewno wszystkiego, czego potrzeba człowiekowi, który nie jest ani chłopem, ani osłem. Uważam tylko za rzecz prostą jak amen w pacierzu, jeżeli człowiek rozumny, wyższy, dąży wszelkimi sposobami do tego, co pod przenośnią nazywam pasztetem. Bo pracować dla kawałka chleba, siły wyęźać, energię i rozum zużywać dlatego, aby zjadać kawałek chleba suchy albo byle tam czym przyprawiony, to, co tu robić, nie opłaci się, wprost nie warto. Dla takiego rezultatu półgłówek chyba ślęczy nad naukami, a potem pracuje. Ślęczy się nad naukami, a potem pracuje się na polach wszelkich, sposobami wszelkimi i z sił wszystkich dlatego, aby wzrastać i postępować, dlatego, co tu robić, aby ciągle pod górę iść, zdobywać rzeczy coraz lepsze i piękniejsze, coraz wyżej wznosić się, coraz wyżej i piękniej stawać... excelsior! Stefek, czy ja pamiętam jeszcze, co znaczy excelsior? Wyżej, wyżej...

— Ku pasztetowi! — dokończył Roman ze śmiechem, którego powstrzymać nie mógł, chociaż zarazem czuł podrażnienie jakieś przykre i niepokojące. Ale Darnowski tego wtrącenia się jego nie zauważył. Ostatnie zdania mówił z takim przejęciem się, z taką mocą przekonania i zapału, że aż mu piwne oczy spod brwi szpakowatych rzucać zaczęły błyskawice, a na ogromnym od wyłysienia czole, pod światłem palącej się u niskiego sufitu lampy, zmarszczki falowały jak morze wzburzone.

Pani Paulina od kilku chwil okazywała niepokój pewien, patrzyła z kolei na męża i na gościa, widocznie chciała czemuś

zaprzeczać lub czemuś potakiwać. Teraz zwykłym sobie tonem żalosnym, trochę przez nos i trochę przez zęby, przemówiła:

— To pewno, że chociaż teraz bardzo jest trudno robić karierę, ale starać się o nią trzeba koniecznie, bo inaczej człowiek mający nawet edukację najlepszą nie może żyć dobrze...

Chciała mówić dalej, ale, jak bywało zwykle, coś zupełnie przeciwnego na myśl jej przyszło, więc niespokojnie poruszyła się na krześle, na Stefana spojrzała i umilkła. Roman pomyślał: „Ta przynajmniej powiedziała jasno i wyraźnie!“ A głośno, z rozdrażnieniem wzrastającym, przemówił:

— Zapewne, kariera jest konieczną... bo... co tu robić?

Uśmiechnął się spostrzegłszy, że pomimo woli powtórzył przysłowie stryjskie, ale zaraz mówił dalej:

— Jednak, stryjenczko, życie byłoby... byłoby niewiele wartym, a może i bardzo smutnym, gdyby za cel jedyny miało karierę!

Stary Darnowski ze zdumieniem brwi podniósł i wpatrzył się w synowca oczyma zdumionymi.

— Nie jedyny? — zapytał — a jakież inny, kotku? Co tu robić, jaki inny?

Roman nie odpowiedział. W głębi jego myśli, jak echo w lesie uśpionym powtarzało się zapytanie: „Jaki inny? jaki inny? jaki inny?“

Darnowski rozważał dalej:

— Może jeszcze miłość... Wy, młodzi, powtarzacie często: miłość! miłość! bardzo pięknie, bardzo miło! Kochać się w jakiej tam mężateczce, aktoreczce... co tu robić? w Irmie, w Aurorze... nawet tam kogo może i do ołtarza poprowadzić, to, co tu robić, bardzo pięknie, bardzo miło. Pewno, pewno! I to cel — ale, kotku, wsunięty w tamten, jak szuflada w komodę. Trufel w pasztecie...

Roman od zdziwienia odejść nie mógł.

— Mój stryju... Irma... Aurora... skądże tu te imiona?

Darnowski palec w górę podniósł.

— A baronowa! Przecież była tu, opowiadała, co tu robić...

Pani Paulina filuternie gościowi pogroziła i potwierdziła:

— Opowiadała! opowiadała! Ach, ach, ach! Jaka ja rada jestem, jaka szczęśliwa, że Stefek w domu siedzi!

Roman poznał, że wiedzą tu o nim daleko więcej, niż przypuszczał.

Stary Darnowski z apetytem człowieka, który mało wie o pasztetach, zjadał mięsa jakieś, dość pierwotnie przyrządzone, i kaszę ze słoniną. Jedząc do syna przemówił:

— Stefek, a jakże tam dziś rzeczy stoją z naszym paszтетem? Czyście na tej łące skończyli już kosić? Barometr na deszcz pokazuje... szkoda byłoby, aby, co tu robić, zmarnował się ten nasz trufel!

Po raz pierwszy, odkąd zasiedli do wieczerzy, twarz Stefana stanęła w uśmiechu, który z ponurej prawie uczynił ją świeżą i wesołą.

— Przepraszam ojca — rzekł — otawa nie jest truflem w pasztecie naszym, tylko kawałkiem ciasta... nasze trufle są inne!

Zaśmieli się obaj i zaczęli rozmawiać o rzeczach gospodarskich zrazu, a potem i o innych, ale dla Romana zarówno niewiadomych. Wmieszały się wkrótce do rozmowy Irena i Bronia, bo mężczyźni zwrócili się do nich z zapytaniami o jakichś ludzi, którzy przyjechać mieli, o jakieś papiery Irenie do schowania dane, o jakieś dzieci, których gromadka co dzień tu skądciś przychodzi. Przy jednej z odpowiedzi, dłuższej od innych, ściągnęła twarz Ireny zajaśniała wielką świeżością bladawej cery, a szare oczy jej, napełnione blaskiem, odbiły w sobie uśmiech ust rumianych i delikatnych. Roman nie mógł przez chwilę oczu od niej oderwać. Jakiś sen jego dawny, dawny, zapomniany, stawał się rzeczywistością. Ładna jest, ładniejsza, niż była dawniej. Zupełnie rozkwitła i dziwnie pogodna. Tę pogodę jej, wielki spokój panujący w jej ruchach i rysach spostrzegął ze zdziwieniem, z pewnym też wzruszeniem zapy-

tując sobie w myśli: „Czy też ona nie czuje całego smutku i całego niebezpieczeństwa położenia swego? Ma już pewno lat dwadzieścia pięć, tak, tak, bodaj dwudziesty szósty... Patrząc tylko, jak starą panną zostanie! Dlaczego?”

Myśli te przerwała mu pani Paulina, która spostrzegłszy, że od chwil kilku gość w rozmowie toczącej się przy stole nie bierze udziału, mówić do niego zaczęła. Zapytała go, czy pamięta jeszcze trochę sąsiadów Darnówki, Rosnowskich? Pamiętał wybornie dwu Rosnowskich: Bohdana i Zygmunta. Otóż Bohdan bawi teraz w tych stronach. Od miesiąca już jest w Zawierciu. Gdzież przebywa stale? Romuald Darnowski wmieszał się do rozmowy żony z synowcem:

— W Muromie, kotku; w Puszczy Muromskiej, co tu robić, jest leśniczym... Bardzo rozumny, dzielny, zupełnie wyższy człowiek... Pensję dużą otrzymuje... prawie dygnitarzem już jest, co tu robić...

— A Zygmunt Rosnowski?

— O, ten także wyższy, kotku, także człowiek wyższy, choć mniej od brata, bo, co tu robić, nie tak wysoko jeszcze stanął... Górnikiem jest, coś tam kopie w Górach Uralskich.

Roman wspomniał o spotkaniu swoim z Marcelim Domuntem i zapytał o Kazimierza.

— Ten w Kaniówce siedzi tymczasem. Katastrofa go spotkała, o której pewno sam ci opowie. Wszakże się z nim zobaczysz...

Niezawodnie. Roman z uciechą myślał, że się tu spotka z dwoma ulubionymi towarzyszami pierwszych lat życia. Czy Domuntówny nie powychodziły za mąż?

— Żadna... ach, ach, ach, żadna dotąd nie wyszła... — westchnęła pani Paulina. — Za kogo tu wychodzić?...

— Chyba za kogutów, kotku — głośno zaśmiał się stary Darnowski — chyba za kogutów wyjść by mogły!

— Dlaczego?

Nikt nie odpowiedział. On pytał dalej o osoby rozmaite,

stosownie jak mu do pamięci przychodziły, a raczej wracały. Wtem spostrzegł, że Bronia patrzyła na niego znowu tak samo, jak w ogrodzie, gdy zapytywał o znaczenie dźwięków wydawanych przez kosę ostrzoną, o nazwę ługu i derkaczy. Ładne, wesołe dziecko patrzyło na niego z nieopisanym, trochę komicznym zdziwieniem i z mnóstwem uśmieszków biegających po ustach, oczach, policzkach i tuż, tuż mających zlać się w niepodobny do powstrzymania wybuch śmiechu. Jemu także patrząc na nią śmiać się zechciało. „Ten dzieciak najwyraźniej wysmiewa się ze mnie w duchu! No, proszę! Co jej się we mnie wydaje takim śmiesznym?“

Ale myśli te przerwał mu cichuteńki szept pani Pauliny. Korzystając z nowego zawiązania się rozmowy ogólnej i odwrócenia przez nią uwagi obecnych, prawie do samego ucha mu zaszeptala:

— Bohdan Rosnowski stara się o Irusię... ach, ach, ach, jak ja tego pragnę... Taka partia... to szczęście dla niej!

I nagle, zaledwie domówiwszy wyrazy ostatnie, załamała swoje chude, żółte ręce i zaszeptala:

— Ach, ach, ach, jak ja się tego boję! Jej odjazd tak daleko byłby dla nas takim smutkiem... takim smutkiem!...

Roman ostatniego tego cichego wykrzyku nie słyszał. Patrzył na Irenę i myślał:

„Więc jednak... ma konkurenta na koniec! To dobrze, szczęśliwie! Szkoda by jej było, gdyby...“

Jednocześnie uczuł smutek połączony z gniewem głuchym i do wytłumaczenia niepodobnym. Pomyślał, że zaczyna być tak konsekwentnym, jak stryjenka, która w tej chwili właśnie dawała hasło do powstania od stołu.

W bawialni niedużej, staroświeckimi meblami napełnionej okno było otwarte na wieczór sierpniowy cichy i gwiazdzisty. U okna stała Irena z cicha rozmawiająca z Bronią. Roman zbliżył się do nich.

— Czy pamiętasz, kuzynko, jakieśmy po tym pokoju zapalczywie tańczyli walca?

Spojrzała na niego swymi dużymi, szarymi oczyma i spokojnie odpowiedziała:

— Pamiętam, kuzynie.

— Czy od czasów owych wiele tańczyłaś?

— Nie tańczyłam wcale.

Zdziwił się bardzo.

— Dlaczego?

Znowu ze spokojem zwykłym odpowiedziała:

— Nie miałam sposobności.

— Dlaczego? — zadziwił się więcej jeszcze niż przedtem.

Ale kibić Ireny, wysmukłą i prostą, objęły teraz dwa szczupłe ramiona, i twarz drobna, różowa, deszczem złotych kędziorków zalana, kryjąc się na jej piersi, wybuchnęła głośnym, niepodobnym do powstrzymania śmiechem. Na koniec! Na koniec wszystkie uśmieszki przez cały wieczór igrające po ustach, oczach, policzkach Broni zlały się w głośny wybuch śmiechu. Walczyła z nim, ale pokonać go nie mogąc ku drzwiom poskoczyła. U drzwi odwróciła się i patrząc na Romana zawołała:

— Australczyk!

Po czym przestraszona zuchwalstwem swoim, za drzwiami zniknęła.

II

W pokoju dla niego przeznaczonym Roman przypominał sobie, rozmyślał, dziwił się i nie rozumiał. Ludzie tu nie byli dla niego zupełnie jasnymi. Stryj, tak jeszcze krzepki i czynny, ze swoim śmiechem dobrodusznym i spojrzeniem czasem drwiącym, przyjął go bardzo gościnnie i serdecznie, zamiary i cały sposób jego pokierowania się w świecie wychwalał... Otóż to... zanadto wychwalał; było w tych pochwałach coś drażniącego i niepokojącego. Stanowczo było w nich coś zbytecznego, coś, co budziło niedowierzanie. Ale to już widać taki sposób obejścia się i mówienia, może małe dziwactwo człowieka dobrze podstarzałego i w życiu wiejskim, prostym, sprościałego. Sympatycznym mu jednak jest, bardzo sympatycznym, może z powodu wspomnień, które o nim zachował z dzieciństwa. Inaczej ze Stefanem. Tego nie rozumiał już zupełnie i czuł nawet względem niego jakby początek urazy. Po wieczerzy, w czasie której rozmawiał z ojcem swobodnie i chwilami nawet wesoło, zapadł on znowu w milczenie obojętne i chmurne, przy stoliku odosobnionym przerzucał książkę, dopóki ojciec nie zwrócił się ku niemu z żądaniem, aby odprowadził gościa do przeznaczonego mu pokoju. Usłuchał natychmiast. Ze świecą zapaloną w staroświeckim brązowym lichtarzu po wschodach niedużych i wąskich wprowadził Romana do sporego, niskiego pokoju, przez którego okno otwarte powiały od razu na wchodzących zmieszane wonie lewkonii, rezedy i świeżo skoszonej trawy. Umieściwszy świecę na stole obejrzał

się po pokoju, zapewne dla zobaczenia, czy znajduje się w nim wszystko, czego by gość mógł potrzebować. Wszystko było: łóżko świeżością pościeli nęcące, szafa dla umieszczenia odzieży, kilka krzeseł wygodnych, zręcznie umieszczonych dokoła stołu, na którym obok lampy, karafki z wodą i dzbanka z mlekiem leżało kilka książek. Wszystko to jednym rzutem oka obejrawszy Stefan uklonił się stryjecznemu bratu.

— Dobrej nocy — rzekł i już odchodził, gdy Roman, który patrzył na zawieszony przed oknem kawałek gwiaździstego nieba, żywym ruchem odwrócił się i zawołał:

— Już odchodzisz, Stefanie!

Zatrzymał się u drzwi.

— Czy jestem ci na cokolwiek potrzebny? — chłodno, ale uprzejmie zapytał.

— Myślałem, że pomówimy z sobą trochę. Jest jeszcze tak wczesnie. Nie widzieliśmy się od tak dawna.

— Owszem, służę ci chętnie.

Usiadł na jednym z krzeseł przy stole stojących; milczał. Roman podał mu otwartą papierośnicę; była z kości słoniowej, z monogramem właściciela, prawdziwy i elegancki *article de Vienne*.

— Dziękuję — odmówił Stefan — palę niewiele i tylko jeden gatunek tytoniu.

— Pamiętasz, jakeśmy w gimnazjum w czasie zmiany profesorów palili w otwartym lufciku klasy i jak przecież pedel złapał nas na gorącym uczynku?

Mówił to ze śmiechem; zarazem krzątać się zaczął około wydobywania ze skrzynek odzieży i drobiazgów. Skrzynki były ze skóry angielskiej, odzież z materiałów modnych, drobiazgi okryły spory stół przy łóżku i połowę tego, przy którym siedział Stefan. Zwierciadelko podróżne, pudzderka, pudełka, szczotki, szczoteczki, para flakonów kryształowych, ręcznik haftowany, chustka do nosa z monogramem uwieńczonym koroną szlachecką. W czasie rozstawiania i rozkładania wszyst-

kich tych rzeczy pomiędzy dwoma młodzieńcami panowało milczenie, przerywane z rzadka zapytaniami lub uwagami Romana, na które Stefan odpowiadał paru krótkimi słowy. Był on obojętnym zarówno dla osoby gościa, jak dla elegancji przez niego roztaczanej. Roman to uczył, ochłodził także i spochmurniał. Nagle stanął i w postawie słuchającej wpatrzył się w okno. O słuch jego uderzył śpiew czy świegot, sam nie wiedział, jak to nazwać, jakieś, słowem, odzywiania się gwarliwe, rojne, ostre, które podnosiły się za oknem skądciś z dołu...

— Co to takiego? — zapytał.

— Świerszcze grają w trawach — spokojnie odpowiedział Stefan.

Roman zaśmiał się.

— Ach, tak! jakże mogłem nie poznać... Gdyby tu była twoja siostra, Bronia... Ach, tak! Świerszcze! Zapomniałem! Poznają teraz, pamiętam!

— Pamiętasz? — zapytał Stefan.

Wyraz ten wymówił w sposób zupełnie prosty, jakby nawet roztargniony, jednak Roman przestał mówić i uważnie w niego się wpatrzył. Po chwili z trochę urazy w głosie rzekł:

— Posądzasz mię o krótką pamięć. Ja to raczej mógłbym zarzut ten uczynić tobie.

— Zarzut krótkiej pamięci? dlaczego?

— Boś zapomniał o starej przyjaźni naszej...

Po czole Stefana przepłynęła fala przykrego wzruszenia. Przez chwilę wahał się z odpowiedzią; potem z drgnieniem głosu powściągniętym natychmiast rzekł:

— Pamięci bywają różne. Jesteś tak dobry, że nie zapomniałeś o dawnej przyjaźni naszej. Ja także z czasów owych zapamiętałem wiele rzeczy...

— Przeze mnie zapomnianych? — pytająco wtrącił Roman.

— Sam o tym wiesz najlepiej — odpowiedział Stefan.

Wstał z krzesła.

— Ojciec gderać mię będzie, że tak długo spać ci nie dają, mnie też do spoczynku pora...

— Po takiej pracy, przy której cię zastałem na łące, zapewne...

Nagle przerwał sobie i po krótkim wahaniu wybuchnął:

— Przepraszam cię, ale obchodzi mię to ogromnie! Dlaczego wy to robicie?

Po raz pierwszy w czasie rozmowy Stefan uśmiechnął się prawie wesoło.

— Dlaczegoż nie mielibyśmy tego robić? Cóż w tym dziwnego?

Roman zbliżył się do brata i patrząc mu prosto w twarz znizonym głosem zapytał:

— Czy jesteście zrujnowani? Może już tylko część Darnówki do was należy? Pamiętam, że stryj ma długie... a także i to, jakim było ich źródło!

Wszystko to, ale szczególnie wyrazy ostatnie mówił z uniesieniem tak szczerym i smutnym, że twarz Stefana rozpoznała się i po raz pierwszy ukazał się na niej wyraz przyjazny.

— Ależ nie! — odpowiedział — bądź pod tym względem zupełnie spokojnym. Ojciec od dość dawna już spłacił swoje długie. Nie były one zresztą wielkimi, a przyczyna, dla których je zaciągnął był niegdyś, napędza mię zawsze dla niego wdzięcznością i szacunkiem wielkim, które mię uszczęśliwiają...

— Dziękuję ci, Stefanie — ze wzruszeniem wyrzekł Roman.

— Co do Darnówki, ta całkowicie należy do nas, tak jak dawniej, i jest majątkiem niedużym, ale i niemałym...

— Więc dlaczegoż? dlaczegoż... taka praca, taki sposób życia?... — nie mogąc opanować się zapytywał Roman.

Stefan uśmiechnął się.

— Dobrze, że nie ma tu tej swawolnicy Bronki...

— Bo znowu wyjechałby na stół Australczyk. Istotnie: pytam i pytam! Cóż chcesz? Tak długo, tak bardzo byłem oddalony...

— Że aby odpowiedzieć na zapytanie twoje, musiałbym zaczynać od potopu. Nie jestem pewny, czyby cię to nie znudziło, i wątpię, aby się na cokolwiek przydało. U naszej szlachty zagrodowej jest przysłowie: „Każdy ptak podług swego nosa śpiewa“. Bardzo mądre. Co do mnie, nie podjąłbym się przerabiać szczygłów na czyże, albo tam cokolwiek w tym rodzaju...

— Znajdujesz więc, że pieśń twoja i moja są tak bardzo różnymi?

— Radykalnie. Przekonasz się zapewne o tym, gdy przez czas jakiś u nas zabawisz. Ale tymczasem dobrej nocy ci życzę. Wolisz może lampę niż świecę? Zaraz ci ją zapalę. Jutro zobaczymy się zaledwie około wieczora, bo bardzo wcześnie pojedę do jednego z folwarków, które budujemy, a potem na łękę dość oddaloną...

Od drzwi zwrócił się jeszcze ku gościowi:

— Jeżelibyś czego potrzebował, pokój mój znajduje się naprzeciw twojego...

— Więc ten sam, w którym mieszkałeś dawniej, przyjeżdżając ze szkół do domu!

— Ten sam.

— Pamiętam — dokończył Roman.

Teraz usiadł przy oknie i myślał: co to za ludzie? Jest w nich jakaś niejasność. Kim są i czy naprawdę są kimś oryginalnym, albo może pozory oryginalności okrywają w nich tylko gminność umysłów i uczuć? Nie; tego przypuszczać nie może w sposób żaden. Stefan był zawsze chłopcem niezwykle zdolnym i jednym z tych entuzjastów małomównych, skupionych w sobie, którzy zdają się zbierać i oszczędzać siły przewidując lub przeczuwając, że przyjdzie im lecieć przed sznurkiem żurawi... Teraz ma trochę pozór fanatyka chmurzącego się na... pieśni różne od tej, którą sam śpiewa. Fanatyzm zaś jest, podług Romana, naiwnością, zawsze jednak nie gminnością. Bo jeżeli tylko naiwne umysły namiętnie przywiązują się

do idei, które, bądź co bądź, są zawsze przemijającymi i mogącymi ulegać zakwestionowaniu, to jednak nie zdarza się to nigdy umysłom gminnym. Przy tym Stefan porusza się i mówi jak człowiek zupełnie ucywilizowany. Cóż w tym dziwnego? Jest przecież magistrem jakichś tam nauk... No, mniejsza o niego! Jeżeli i odmówi mu swej przyjaźni, nie przyprawi go to o rozpacz. Rad jest, że przyjeżdżając tu dopełnił obowiązku względem stryja i zobaczył go, kto wie? może po raz ostatni. Bo człowiekowi temu zawdzięcza wiele i teraz już nie pojmuje, jak mógł przez lat tyle prawie zupełnie zapominać o nim. Z początku pisywał często i co roku wybierał się do Darnówki; potem odzywał się rzadziej i o odwiedzinach myśleć przestał, na koniec umilkł zupełnie, prawie zapomniiał. Upił się po prostu życiem i światem. Pamięć o ludziach i rzeczach dawnych wróciła mu podówczas właśnie, gdy na pozór stanął u celu upragnionego. Dotąd jeszcze nie może zrozumieć dokładnie, dlaczego wieść o stanowczym już otrzymaniu posady nadspodziewanie wysokiej nie oswobodziła go od tego niepokoju, zniechęcenia, od tej zgryzoty tajemnej, a niczym wyraźnym nie usprawiedliwionej, których doświadczał już od dość dawna. Myślał przedtem, że uczucia te były wynikiem powolności, z jaką na swojej drodze posuwał się naprzód, szczupłości środków pieniężnych, monotonii zajęć i stosunków; że gdy to wszystko zmieni się na lepsze, zadowolenie jego będzie pełnym. Zmieniło się, osiągnął cel pożądaný i zrazu ucieszył się bardzo. Uciecha trwała dni kilkanaście, w czasie których porządkował interesy, sprzedawał, co posiadał, nabywał to, czego dla podróży dalekiej potrzebował, dzielił się wiadomością o zmianie losu swego z przyjaciółmi i przyjaciółkami, na śniadaniach i wieczerzach wynikłych z tego powodu pił szampana, który był szumnym i wesołym, mniej jednak szumnym i wesołym od jego humoru. Wkrótce przecież na tej wesołości zaczęły powstawać skazy. Nie rozumiał, skąd się brały, nie rozbierał ich natury, ale je czuł. Jakiś niepokój, czy żal, czy niepewność

świadowały mu serce i odzywały się w mózgu, niby coś niewiadomego czy zapomnianego, co usiłuje przedrzeć się do świadomości i odpychane przez ruch, gwar, zamęt życia, pozostaje w głębiach jej ocienionych, mącąc jednak radość i spokój. Było to coś na kształt szmeru w głębi muszli. Ale czym było? skąd? po co? Po co zwłaszcza w tej chwili, gdy osiągnął to, czego pragnął, o co starał się i prosił, co mu zabezpieczało przyszłość wolną od trosk i niedostatku, łatwą, przyjemną, może nawet w perspektywach dalszych bardzo świetną? Machał ręką i myślał:

„Zdenerwowany jestem. Wszystko to robią niezdolne, głupie nerwy!”

Czytał, przysposabiał się do oczekujących go zajęć nowych, siedł tam, gdzie było wesoło: do ponętnej pani z trochę ptasim profilem i ognistymi oczyma, do wołyżerki Aurory, znowu na niego łaskawej. Szmer w muszli ustawał, lecz wkrótce odzywał się znowu... Czasem odrywał wzrok od książki z takim uczuciem, jakby o czymś niezmiernie ważnym zapomniał; czasem wśród rozmów i śmiechu ogarniało go coś takiego, jakby uczuł nagle brak rzeczy najważniejszej i koniecznej. Machał ręką i powtarzał:

— Głupie nerwy!

Zaczął nawet miewać przywidzenia, które naprowadzały go na myśl, że jest chorym. Usypiał późno i w ciemności nocnej, we względnej ciszy stopniowo usypiającego miasta, słuchał tętentu zegara stojącego w pobliżu łóżka. Zrazu słyszał tylko zwyczajne tik-tak, tik-tak, które jednak przerabiało się w jego słuchu na coraz wyraźniejsze, zupełnie wyraźne: tak-nie, tak-nie! Z uśmiechem myślał, że to dziwactwo i wytwór wyobraźni, a pomimo to niepokoiło go pytanie: do czego zegar stosuje swoje twierdzenie i przeczenie? Czy będzie szczęśliwym tam, na krańcu świata? Tak-nie! Tak-nie! Czy dobrze uczyni puszczając się w tę drogę daleką, z której powróci pewno po wielu zaledwie latach, może nie powróci nigdy? Tak-nie! Tak-

nie! Dlaczegożby miało to być niedobrym? Wszakże to jest pomyślność. Tak czynią wszyscy. On inaczej uczynić nie mógł. Tak-nie! Tak-nie!

Głupie nerwy!

Teraz, gdy miał wkrótce znaleźć się bardzo daleko, gdy baronowa to i owo powiedziała mu o Darnówce i jej mieszkańcach, coraz częściej przychodziły mu na pamięć miejsca i osoby znane i bliskie, długo zapominane. Szczegółów bliższych nie mógł powziąć od baronowej, bo wkrótce po stracie kakadu i świetnym wieczorze owym wyjechała za granicę leczyć się od reumatyzmu. Ale te, o których się dowiedział, brzęczały mu w pamięci, jak muchy wpłątane w pajęczynę. Ładna Irusia, towarzyska i ideał jego lat młodzieńczych, raczej pacholących, zjawiała się mu w postaci mętnej i niewyraźnej, ale przypominającej w zarysach głównych ów typ kobiety, jakby pod niebem jego wyobraźni zawieszony i o którym niekiedy myślał: „Gdybym spotkał taką“... Żartował sobie z tego. Diabelnie zeszeptnieć musiała, skoro do tego czasu nie wyszła za męża. A jednocześnie skryta i nawet w słowa jeszcze nieprzyrodziana spodem mózgu wiła się myśl: „Gdyby była podobną do dawnej, do tego typu mego, i gdybym mógł pochwycić ją, z nią razem odjechać tam, gdzie pieprz gorzki rośnie“. Ten pieprz gorzki był zupełnie bezsensownym, bo wiedział przecież bardzo dobrze, że nie czekają go tam gorycze żadne.

Intrygowało go to, dlaczego nie chciała wyjechać w świat szeroki z baronową i dlaczego nie przyjęła od bogatej krewnej bransolety z brylantami? Bo istotnie, baronowa miała słusność. Komu to na całym świecie brylanty mogą być niepotrzebnymi? Oryginalna jakaś dziewczyna. Dzikus, gęś, albo... dusza czysta i dumna, która nie chce szerokiego świata i podarunków brylantowych!

Daleko jednak częściej niż o swojej dawnej Irusi myślał o stryju. Wspomnienia z dzieciństwa po prostu napastować go zaczęły. Dziś, gdy tylko ze stryjem rozmawiać zaczął, uderzyła

go jak błyskawica myśl, że przysłowie jego: „co tu robić?” uwięzło mu w mowę wówczas, gdy... Miał trochę więcej nad lat dziesięć w tej porze pamiętnej i strasznej, kiedy w ręku lekkomyślnego ojca jego pękła fortuna, rozsądzona życiem zbyt kownym i zbyt wesołym. Jednocześnie były jej właściciel, wyczerpany nadmiarem użycia, legł obalony chorobą przewlekłą i ciężką. Wówczas do domu napelnionego niedostatkami, nieporządkiem, łzami i złorzeczeniami tych, którym ta ruina zagroziła także ruiną i nędzą, przybył z dość daleka brat chorego i zaczął czynić usiłowania naprawienia, o ile było podobna, szkód zrządzonych honorowi brata i przyszłości jego dziecka. Nie było to łatwym; było to, owszem, tak trudnym, że wydawało się niepodobnym. Jednak Romuald Darnowski za wygraną nie dał. Krzątał się, jeździł, zapobiegał, porządkował i nieraz, zaskoczony trudnością nad możność, klęską bez ratunku, w zamyśleniu głębokim, z twarzą podówczas młodą jeszcze, lecz zachmurzoną, mówił do siebie: „Co tu robić? co tu robić?” Aż znalazł odpowiedź. Odłужиł Darnówkę, spłacił część znaczną długów braterskich, a potem dziecko, wkrótce osierocone po ojcu, zabrał do siebie, cudem przemysłności i bezinteresowności ratując dla niego z rozbicia sumkę niedużą, lecz która była mu potem bardzo pomocną. O tym to źródle długów, które przez czas jakiś ciążyły na Darnówce, Stefan mówił dziś Romanowi, że budzi w nim ono dla ojca szacunek głęboki i wdzięczność. Bardzo to jest szlachetnie ze strony Stefana. W tym — jak się zdaje — fanatyku istnieje jakaś perła bardzo piękna!

Potem, dużo potem, dorastającym już chłopcem będąc, Roman słyszał nieraz stryja powtarzającego dla przyczyn zupełnie innych swoje „co tu robić?” Kiedy on, Stefan, kilku ich towarzyszy i Irusia pomiędzy nimi z zamyśleniem lub błyskawicami w oczach w pokoiku pod strychem rezonowali, krytykowali, uwielbiali, postanawiali, poruszali ziemię z posad — na dole, w pokoju ustronnym i z prawie mniszą skromnością

urządzonym, Romuald Darnowski w obu dłoniach trzymając głowę już trochę siwiejącą i łysiejącą, z akcentem duszy tak pragnącej dobra, jak pragnie wody człowiek rozciągany na torturach, powtarzał znowu: „Co tu robić? co tu robić?“

Przerobiło się mu to w przysłowie. Jednak w „głupich nerwach“ drzeźnią niekiedy moce niezłomne. Wygląda to jak prawie nic; przez długie dni i lata ani tego czuć, ani słyszeć. Aż nagle, nie wiedzieć dlaczego, to coś, co drzymało w „głupich nerwach“, budzi się, przemawia, wzrasta w siłę, bez wyraźnego powodu obudza w piersi żal i niepokój, z gardła do oczu, wśród rozmów przyjaciół i brzęku kieliszków, prowadzi wilgoć słoną, w mózgu świdruje zapytaniem najdziwniejszymi: „Tak? — nie? Tak? — nie?“

Co to w głębi muszli tak wiecznie szmerze? Roman miał jeszcze miesiąc wolnego czasu. Napisał do stryja list oznajmujący i wyjechał w strony rodzinne niespodziewanie dla wszystkich, może najniespodziewaniej dla samego siebie. Przyjechał i nie doświadczył tego, czego pragnął. Ale czegoż on właściwie pragnął? Znaleźć się wśród swoich? Tak, niezawodnie, tego pragnął. Wcale jednak nie czuje, aby znajdował się pomiędzy swoimi. Przeciwnie, ludzie ci są dla niego niejaśni i niepokojący; widzi też, że sam jest dla nich obcym. No, mniejsza o to! Jeżeli pobyt tutaj nie będzie wywierał na niego wpływów uspokajających i wrażeń przyjemnych, za dni parę odjedzie — do swego! Do czego — swego? Jakto! Ma przecież przed sobą zajęcia nowe, pracę dużą. Zajęcia i pracę — dla czego? Jak owad zabrzęczały mu w uchu wyrazy: „Dla pasztetu!“ Uśmiechnął się. Zaczny, kochany oryginał! Trzebaż to w taki sposób rzeczy określać! Niby wychwała, niby drwi. Trudno poznać, czy myśli, albo nie myśli tak, jak mówi.

Zgasił lampę i stanąwszy przy otwartym oknie, do połowy przez nie wychylony, pełną piersią wciągać zaczął oddech cichej nocy, świeży i wonny. Na sierpniowym niebie, wyiskrzonym gwiazdami, bieleły gdzieś szlaki dróg mlecznych;

gdzieniegdzie przysłaniały je cienie drzew wysmukłych lub rozłożystych. W dole kwiaty rozproszone nad trawami, w których nieustannie grały świerszcze, wydawały się w wyiskrzonym świetle gwiazd niebieskich bladymi gwiazdami ziemskimi.

Od dziesięciu lat nie był już na wsi, bo nie może nazwać wsią zamiejskich willi baronowej i jej przyjaciół, w których czasem przepędzał trochę dni lub tygodni letnich. Było tam zawsze pełno gości, ruchu, stolicznej wrzawy i elegancji. Od dziesięciu lat po raz pierwszy znajdował się w miejscu ustronnym i cichym, z sercem, głową i zmysłami zanurzonymi w ciszy nocnej, w świetle gwiazd i mgławic, w swoich własnych głosach wewnętrznych, przedtem tłumionych lub zagłuszanych zawsze przez gwary, zachody, potrzeby i żądze życia. Fala myśli przepływała mu przez głowę przynosząc zapytania i rozważania coraz nowe.

Człowiek jest stworzeniem ogromnie kapryśnym i nieloicznym, a przez to nieszczęśliwym; tak, dlatego właśnie nieszczęśliwym, że kapryśnym i nieloicznym. Ściga, walczy, zdobywa i potem nie umie cieszyć się zdobyczą dościgniętą i wywalczoną. On także, dopóki nie posiadał pewności, że będzie miał lepszy niż dotąd kawałek chleba, stanowisko zaszczytne, możliwość posuwania się coraz dalej i wyżej, dopóty mniemał, że gdy raz pewność tę zdobędzie, uczuje się spokojnym zupełnie, nawet szczęśliwym. Zdobył ją i męczy się teraz Bóg wie czym. Ani spokoju, ani szczęścia nie czuje wcale. Owszem, smutno mu i niedobrze...

Fala myśli kołysała się przez chwilę, machinalnie i bez udziału woli jego po wielokroć powtarzając w mózgu wyrazy: „coraz dalej i wyżej... coraz dalej i wyżej... coraz dalej i wyżej“... aż uwaga pochwyciła je i zatrzymała się nad nimi. Coraz dalej i wyżej — ku czemu? Jakto: ku czemu? Ku formie życia lepszej i wyższej. Jakiego życia? Jakiego? Ależ bardzo naturalnie, że jego, jego osobnikowego, własnego życia. Tylko? Rzecz prosta, że tylko... bo cóż by więcej? co więcej?

Z oczyma utkwionymi w ciemność okrywającą dół ogrodu, jakby majaczącym wśród niej kwiatom powierzał rzecz jakąś nowoodkrytą i bardzo niewesołą, kilka razy powtórzył.

— Nic! Nic więcej... nic więcej...

Fala myśli zakołysała się znowu i zaszemrała w mózgu. Bagatela! czegoż więcej chcieć można? Przyszłość zabezpieczona, wygodna, przyjemna... znaczenie w świecie!...

Znowu dwa ostatnie wyrazy pochwyciła uwaga, zatrzymała się nad nimi, zgłębiać je zaczęła, aż po chwili wytrysnął z nich potok — śmiechu. Roman powiódł oczyma po niebie gwiaździstym, po szlakach dróg mlecznych zawieszonych w odległościach nieskończonych i płynących w przestworza niezmierzone, przesunął wzrok po ciemnych profilach drzew potężnych, okrytych tyłu może liśćmi drobnymi, ile globów ogromnych okrywało niebo — i zaśmiał się głośno. Jego znaczenie w świecie! To znaczy jego wielkość wobec świata! Co za głupstwo! Jednak — czyż doprawdy głupstwo? Czyż człowiek ze swymi uczuciami, myślami, dążeniami nie jest sam w sobie światem i małym będąc, nie oddziaływa na świat ogromny? Ach, tak! niezawodnie, tylko — nie on! Dlaczegoż nie on? Alboż wie i rozumie? Czuje tylko, ale głęboko czuje, że myśl o jego znaczeniu jest wprost śmieszną... Od takich, jak on, roi się na ziemi. Znaczą wiele jedni wobec drugich, to prawda, ale po co tu świat mieszać?... Chyba za świat poczytywać wypadnie garść istot chodzących w sukniach jednakowych... a no, tak, zapewne, jest to właściwie świat jego, ale on wie bardzo dobrze, jakie tam ściany ciasne, popękane i miejscami brudne... W tym świecie znaczenie posiada już do pewnego stopnia, i posiadać będzie coraz większe. Ale to go nie cieszy. Sam nie wie dlaczego, ale nie cieszy, choć rozśmiesza.

Czuł się usposobionym więcej gorzko i szydersko niż kiedykolwiek. Nagła zmiana otoczenia fizycznego silnie wstrząsnęła jego widnokregiem moralnym, zmieniając na nim rozmiary punktów różnych i okrywając je oświeceniem nowym. Przed-

mioty zamiłowań jego dotychczasowych ziałały, cel nadziei przysiał. I przedtem już lekceważył je niekiedy i trochę, teraz myślał, że ta piękna, tak, niewątpliwie piękna koncha zawiera w sobie perłę wcale nieosobliwej wody. Ale zapewne wszystkie na świecie konchy są takie same. W pocie czoła i trwogach serca spuszczaś się po nie na dno morza, szukasz, znajdujesz, porywasz, otwierasz, i pod światłem słońca spostrzegasz — kroplę gorzkiej wody! Gdybyż była tylko gorzką; ale posiada smak mdły, od którego robi się na świecie tak nudno, że ochota do życia odpada. Jeżeli tak jest, po cóż zachody, starania, prace? Jeżeli tak jest, pesymiści mają słuszość utrzymując, że żyć nie warto. Cóż stąd, że nie warto, skoro żyjący są żyjącymi, a w dodatku chcącymi żyć, skutymi z życiem przez instynkt, unicestwiający się bardzo rzadko? On chce, nawet bardzo chce żyć. Czuje się pełnym energii i pragnień, tylko że teraz już nie wie, ku czemu je zwrócić. Jedno posiada na pewno: pasztet, ale go to nie zadawalnia. Cała rzecz w tym, że są tacy, których on nasycia, i tacy, którzy pełną gębą go jedząc czują się Ugolinami. Czy on do tych drugich należy? Najpewniej. Byłżeby więc marzycielem? Przypuszczenie to zaniepokoiło go, prawie oburzyło. Przywykł do słyszenia i myślenia, że marzycielstwo jest jedną z odmian obłąkania. Marzyciel — dla jego przyjaciół i znajomych znaczy to samo, co — głupiec. On dotąd unikał choroby niebezpiecznej i epitetu niezaszczytnego. Owszem, chwalono go powszechnie i sam siebie chwalił za praktyczność, za umiejętność stosowania się do warunków położenia i otoczenia, za zręczność w wyszukiwaniu i zdobywaniu ułatwień, udogodnień i uprzyjemnień bytu. Jednak było w nim także coś zupełnie od praktyczności odmiennego, coś, co udawało umarłego, ale żyło i w pierwszym przełomowym momencie jego życia zaczęło go niepokoić, zniechęcać, dręczyć...

Wiedział, był zupełnie pewnym, że ten stan niepokoju i niezadowolenia trwać będzie i wtedy, kiedy już zajmie sta-

nowisko tak przedtem upragnione. Teraz na samą myśl o nim ogarniała go nuda. Tak, nuda! Był to wyraz dokładnie określający uczucie towarzyszące myśli o tym stanowisku i przywiązanych do niego zajęciach. Myśląc o nich nudził się z góry. Może mu tam niejedna Irma lub Aurora, niejedno widowisko, niejedna muzyka, niejeden przysmak, zaszczyt przyniosą, rozrywkę, nawet upojenie. Ale czy to będzie szczęściem? Czy to będzie celem? Wie dobrze, że nie. Ale gdzież szukać tego szczęścia i tego celu? Czy w ogóle istnieją one na ziemi? Bardzo być może, iż każde istnienie ludzkie jest takim kompromisem pomiędzy pragnieniami, których człowiek ani zaspokoić, ani nawet wyrozumieć jasno nie jest w stanie, a rzeczywistością jasną, ciasną, żelazną, niezbędną. Cóż robić, skoro inaczej nie można? Trzeba przyjąć życie takim, jakim jest, jakim w ręce włązi, chociaż nawet nie zaspakaja pożądań jakichś dziwaczych i niezrozumiałych. Inaczej nie można. Trzeba to wszystko w garść zebrać i za okno wyrzucić, a żyć tak, jak żyją wszyscy, jak pozwalają warunki i stosunki, wśród których człowiek urodził się i obraca. Inaczej nie można.

Późno usnął i obudziwszy się wśród nocy ze zdziwieniem słuchał odgłosu, który zza okna zamkniętego dochodził wyraźnie, podnosząc się z dołu ogrodu, jakby z odległej głębi. Był to odgłos ostry, przenikliwy, złożony jakby ze strunek drobnych i drżących. Było to monotonne i zarazem rozmaite: skwierczało, świegotało, śpiewało, napełniało powietrze milionami drgań dźwiękowych i przeszywających jak strzałki zaostrome. Roman usiadł na łóżku, ale wnet położył się znowu.

— To świerszcze w trawach grają!

Przez parę minut jeszcze, dopóki nie zasnął znowu, świerszcze z traw niskich i zroszonych grały mu w uszach: „Tak-nie! tak-nie!“...

III

Kiedy obudził się, zobaczył falę światła złotego zalewającą pokój i stryja, który siedząc przy łóżku patrzył na niego we właściwy sobie sposób, dobrodusznym i zarazem przenikliwym. W szarym odzieniu, barczysty i wysoki, z prawie jowialną dobroduszością w spojrzeniu i uśmiechu, na pierwszy rzut oka mógł być wziętym za upostaciowanie siły fizycznej, zdrowej, tęgiej, nie męczonej żadnymi kaprysami ani subtelnościami ducha. Jednak obfite światło godziny przedpołudniowej uwydatniało snop zmarszczek, który poczynając się pomiędzy brwiami przerzynał mu czoło w kierunku pionowym i rozstrzelał się na kształt promieni ukośnych u początku łysiny okrywającej środek czaszki. Te zmarszczki oraz pewne wklęsnięcia na policzkach podłużnych i kościstych mąciły harmonię tej powierzchowności na pierwszy rzut oka tylko silnej i wesołej, wlewając w nią nutę cierpienia. Było to jednak niestałe i do ułowienia trudne; błyskało jakby z głębin ukrytych i znikało pozostawiając tej postaci, prawie potężnej, i tej twarzy dużej, grubej, czerstwej cechy jej stałe: siłę i dobroduszość żartobliwą, czasem trochę i tajemnie drwiącą.

— Dzień dobry, śpiochu! Już może od kwadransa siedzę tu i rozmyślam: obudzić, czy nie obudzić? Obudziłeś się sam, co tu robić, to i dobrze! Pożegnać cię muszę na kilka godzin i przeprosić, co tu robić, że pozostaniesz na łasce bab, bo i Stefka w domu nie ma. Rozpoczęliśmy interes ważny i, co tu robić, dopilnowywać go musimy. Podzieliliśmy Darnówkę na kilka części, zabudowujemy każdą...

Roman ubierając się śpiesznie, z ręcznikiem w ręku, stanął jak wryty.

— Parcelujesz Darnówkę, stryju! więc ją sprzedajesz?...

— Sprzedaję! ja, Darnówkę! — z głośnym śmiechem zawołał stary. — Co ci też, kotku, do głowy przyszło! Cha, cha, cha, cha! A cóż by na świecie robił taki, jak ja, parobek, gdyby kawałek ziemi nie miał! Cha, cha, cha, cha! Dobrze to ludziom wyższym bujać po świecie i złote motyle łapać, ale ja, co tu robić, tylko na swojej grudzie ziemi czymś jestem, coś mogę... a Stefek po mnie poszedł. Obaj my, co tu robić, parobcy boscy, wolę bożą pełnim, jak mozem... do niczego wielkiego ani sławnego nie zdadni... Dzielimy Darnówkę na części, aby je po osobno wydzierżawiać.

— A ty, stryju, i Stefan, z waszym zamiłowaniem do gospodarstwa?

— My, z naszym zamiłowaniem, pozostaniemy, co tu robić, na jednej z tych części... Nie bój się, lwią część pozostawiliśmy dla siebie; bo każdy sobie rad... co tu robić! Druga będzie dla Leosia, gdy szkoły, a może tam i co innego jeszcze skończy... na dwóch innych niech tam, co tu robić, uczciwi ludzie siedzą, kawałek chleba jedzą i prawom boskim parobkują... co tu robić...

Ogniste oczy jego z chwilowym zamyśleniem skierowały się kędyś za otwarte okno.

— Czy to jest dobry interes, stryju? — zapytał Roman.

Stary popatrzył na niego śmiejącymi się znowu oczyma, ale z powagą w głosie odpowiedział:

— Mogę ci, kotku, sumiennie powiedzieć, że interes ten jest dobrym. Ja bym go nawet sam nie wymyślił. To pomysł Stefka. Gdybym miał długi, nie mógłbym go wykonać. Miałem je, ale z pomocą boską spłaciłem, więc, co tu robić, robię, co mogę. Interes jest dobry.

Roman nie odpowiedział. Szczotką w srebro oprawną czesząc swoje bujne włosy myślał, że jeżeli ten interes jest rów-

nie dobrym, jak tamten, dla którego Romuald Darnowski zaciągnął był długi, to przyszłość majątkowa jego synów wyjdzie na nim nie najlepiej. Jednak to dawne zadłużenie Darnówki nie byłoż w znaczeniu pewnym interesem dobrym? Do tego wyrazu, jak do każdego innego, przywiązywać można znaczenia różne. Gdyby ten człowiek nie zrobił był podówczas tego interesu, dla siebie wielce nieosobliwego, co stałoby się z Romanem, czym byłby teraz i nade wszystko, jak zhańbione i przekleństwami ludzkimi obarczone nosiłby imię! Pod wpływem tych myśli rzucił srebrną szczotkę na stół, haftowany ręcznik na ziemię i pochyliwszy się złożył na rękę stryja pocałunek mocny i długi. Kiedy przyciskał usta do grubej i ciemnej skóry tej ręki, uczuł dokoła szyi swojej szorstki rękaw surduta, a na czole dotknięcie twardych wąsów. Jednocześnie wyprostowali się obaj i prosto, długo popatrzyli sobie w oczy. Stary Darnowski pierwszy przemówił:

— Podobnyś do ojca swego, bardzo podobny...

Spostrzegłszy na twarzy synowca wyraz zmieszania śpiesznie dodał:

— Z powierzchowności i obejścia się. Wzrost, uśmiech, ruchy te same, ta sama, co tu robić, serdeczność, dla której trzeba mu było wszystko przebaczać... co tu robić... ale mniejsza o to! Kiedy patrzę na ciebie, staje mi jak żywa przed oczyma młodość moja... młodość jego i moja... piękna, raźna, czysta młodość nasza, dopóki... dopóki... co tu robić...

Zmieszał się, umilkł, snop zmarszczek na czole i wklęśnięcia policzków pogłębiły się i uwydatniły na twarzy wyraz cierpienia, zazwyczaj prawie niedostrzegalny. Spoglądał na rozłożone i rozstawione po stołach graciki połyskujące i eleganckie, aż zwykły uśmiech począł mu występować na usta i do oczu. Po chwili, cały już w tym uśmiechu, z dłońmi złożonymi na kolanach zawołał:

— Nie tylko z powierzchowności, co tu robić, nie tylko z powierzchowności...

— Z czegoż jeszcze, stryju? — odwracając się od szafy, z której wyjmował odzież, zapytał Roman.

Ale stary na to pytanie uwagi nie zwrócił. Gestem szerokim wskazał na toaletowe przybory synowca.

— Śliczne rzeczy... prawdziwe cacka... cały kram galanteryjny... Jakie to wszystko ładne, zgrabne, gładkie, oko i rękę pieści... Co to się teraz dzieje na świecie, co się dzieje! Wszystko, czego się ludzie dotykają, na co patrzą, czym się posługują — czyste złoto! Bajka midasowa, co tu robić, Midasy! I dobrze! Są trzy przykazania najważniejsze, którymi człowiek wyższy rządzić się powinien; pierwsze: dbaj o siebie samego; drugie: wiedz, co się tobie od świata należy; trzecie: egzekwuj swoją należność od świata bezwzględnie, co tu robić, bezwzględnie...

Roman stał przed mówiącym z twarzą trochę wzburzoną.

— Mój stryju — przerwał — zmieniłeś niby przedmiot rozmowy, jednak myślisz o tym samym i ja to rozumiem bardzo dobrze. Ale mylisz się, mój stryju. Zamiłowania mego ojca miały koniec bardzo smutny dla niego i dla ciebie. Stracić nie tylko swoje mienie, ale tyle cudzego, to nieogłędność i niepraktyczność wielka. Ja zaś, mój stryju, poczytywany jestem przez wszystkich znajomych moich za człowieka praktycznego. Na to, co tu widzisz, starczyło mi środków bez uszczerbku dla własnej przyszłości mojej lub kogokolwiek innego. Mam też nadzieję, że gdy poznasz mnie bliżej...

— Ależ wierzę, kotku, bez bliższego poznania wierzę i nawet wiem o tym — z twarzą w uśmiechu i z ramionami do protestu podniesionymi przerwał Darnowski — wiem, wiem... co tu robić, praktyczny jesteś, nad możność nie wydajesz, przyszłości swojej na szwank nie wystawiasz... wiem i pochwalam, co tu robić, bardzo pochwalam, bardzo mię to cieszy... tylko że, kotku, gruntu rzeczy to wcale nie zmienia...

— Jakto: gruntu rzeczy?

— A pewnie; bo budżet swój urządzać praktycznie lub

niepraktycznie, oględnie lub nieoględnie, to, kotku, proceder... Różni różnie go wykonywują. Zależy to od temperamentu i okoliczności. Ale gruntem rzeczy jest przedmiot procederu. Zaś przedmiotem procederu prowadzonego przez ojca twego niepraktycznie, przez ciebie praktycznie, jest, jakby to powiedzieć... co tu robić... jakby to powiedzieć... jest...

Jąkał się, ogniste oczy jego, wlepione w twarz Romana, migotały, snop zmarszczek na czole stał nieruchomo, jak znak zapytania. Roman z rumieńcem wytryskującym mu na twarz dokończył:

— Pasztet!

Stary wybuchnął wesołością nadzwyczajną.

— Tak, tak, tak, kotku! tak, tak! trafnie, jak Boga kocham, tak trafnie powiedziałeś, jakbyś, co tu robić, w myśli mojej czytał! cha, cha, cha! akurat tak samo myślałem! Pasztet. Tak, pasztet. Czy zaś kupiony od razu za całe mienie i przyszłość, czy kupowany po trochu, rozsądnie, przez całe życie, to różnica procederu. Jeden jest gorszy, drugi lepszy — w skutkach, ale przedmiot obu, przedmiot obu, kotku, jedno-stajny. I w tym podobieństwo... cha, cha, cha, kotku, co tu robić, w tym podobieństwo!

Przestał śmiać się, wstał i poważnie, nawet ostro powtórzył jeszcze:

— W tym podobieństwo.

Po czym synowca na kilka godzin pożegnawszy odchodził, ale ode drzwi jeszcze przemówił:

— Jeżeli znudzisz się z kobietami, w pokoju Stefka znajdziesz książki; drzwi naprzeciw twoich, zawsze otwarte. A gazety u dziewcząt w schowaniu. Niech ci je Irusia albo Bronka ze swojej śpiźarni wydadzą.

Odszedł, a Roman stał jeszcze chwilę pośrodku pokoju trochę rozśmieszony, trochę niezadowolony i niespokojny. „Gruntem rzeczy ten sam; u twego ojca i u ciebie proceder inny, ale gruntem rzeczy ten sam. Pasztet!“ Może to i prawda. Mądry stary!

Jakaś filozofia wcale osobnego rodzaju kryje się pod tą rubasnością i dobroduszością. „Ja i Stefek parobkami boskimi jesteśmy, wolę bożą pełnimy, jak możemy, do niczego wielkiego i sławnego niezdatni!“ Co on przez te słowa rozumiał? Może nic wcale, a może... coś wielkiego i oryginalnie pojętego.

Wtem zza okna, z dołu, doszedł go głosik młodziutki i donośny, wołający:

— Proszę na śniadanie! Kuzynku, kuzynku, proszę na śniadanie!

Roman skoczył ku oknu i wychylony przez nie zobaczył u stóp wielkiej lipy klomby pełne kwiatów, które iskrzyły się barwami rozmaitymi i rosą niedobrze jeszcze oschłą. Pomiędzy klombami stała Bronia, trzymając w obu rękach grable, oparte o ziemię, z twarzą ku jego oknu podniesioną. Tylko co znać oczyszczała z trawy ścieżki pomiędzy klombami, bo u samych jej stóp słońce krzesło iskry stalowe w żelazcu rzuconego na ziemię rydla. Roman przez okno wychylony odpowiedział:

— Wypowiadam wojnę Broni. Nie jestem żadnym kuzynem, ale bratem, stryjeczno-rodzonym bratem i żądam, aby Bronia nazywała mnie po imieniu.

Zmieszana trochę głowę spuściła, a po chwili cienki głosik z obłoku złotych kędziorków odpowiedział:

— Kiedy jeszcze nieznajomy...

— To nie nie szkodzi. Niech Bronia zawoła: „Romku, chodź na śniadanie!“ bo inaczej nie pójde!

W tej chwili zza węgła domu inny głos kobiecy, czysty i bardzo przyjemny, ozwał się niezbyt głośno, ale wyraźnie:

— Kuzyn ma słuszość. Powinnaś, Broniu, nazywać go po imieniu, ponieważ jest twoim bratem.

Na dźwięk tego głosu Roman uczuł słodycz dziwną, bo zmieszaną ze smutkiem. Wspomnienie wiosny życia nadleciało i zatrzepotało mu w sercu jak motyl mdlejący. A głosik dziecinny spomiędzy kwiatów po chwili milczenia ozwał się znowu:

— Niech już sobie... Proszę Romka na śniadanie...

Z wąskich wschodów wchodząc do przedpokoju Roman spotkał się oko w oko z wchodzącą innymi drzwiami dziewczyną wysmukłą, z czarnym warkoczem zwiniętym z tyłu małej głowy, z dzbanem szklannym pełnym mleka w obu rękach. Miała na sobie suknię w kratki szare i niebieskie i duży fartuch biały, okrywający ją od szyi aż prawie do stóp. Zobaczywszy go przyjaźnie skinęła głową.

— Dzień dobry, kuzynie.

— Dzień dobry — odpowiedział — ale byłby lepszym dla mnie, gdybyś, kuzynko, tego dzbana nie miała w obu rękach...

— Czy tak nie lubisz mleka, kuzynie?...

— Wcale nie! ale mogłabyś mi na dzień dobry rękę podać. Zaśmiała się.

— Zaraz to uczynię. Proszę za mną.

Zrobiło się mu wesoło. Wszedł za nią do jadalni i po chwili siedząc przy stole obok pijącej kawę stryjenki ścigał wzrokiem jej spokojne ruchy, gdy krzątała się dokoła stołu nalewając, krojąc, przynosząc, podając. Główną cechą jej powierzchowności był spokój. Miała ruchy i rysy spokojne, a uśmiech nieczęsty i krótki, ale bardzo świeży i zawsze odbijający się w oczach, które wnet potem odzyskiwały wyraz zamyslenia. Sprawiało to zawsze wrażenie niespodzianki, bo zrazu nie można było przypuszczać, aby istota tak spokojna umiała uśmiechać się tak promiennie, ani też aby ten uśmiech tak rychło zasnuwał się w takie głębie.

Stryjenka, pijąc kawę, powoli, trochę przez nos i zęby, lecz prawie nieustannie opowiadała synowcowi, który niegdyś był jej ulubieńcem, o tym, jak przez ten czas dziesięcioletni do ostatka straciła zdrowie, jakie ją dręczą migreny i bezsenności, jak niezdolną się stała do wszelkich zajęć gospodarskich i domowych. We wszystko to łatwo było uwierzyć patrząc na twarz jej żółtą i kibić chudą, chociaż dotąd jeszcze zgrabną. Ale Irena stawiając przed nią talerz z sucharkami przemówiła:

— Wujeneczka ogaduje się trochę. Kiedy trzy lata temu Stefek był ciężko chory, cudów wytrwałości dokazywała. Nikt z nas nie był tak czujny, tak żwawy i tylu nocy bezsennych nie mógł spędzać, ile wujenka...

Uczucie błogości napełniło blade oczy pani Pauliny, które wzniosła ku wysokiej dziewczynie stojącej przy niej z dłonią pieszczotliwie opartą na jej ramieniu.

— Ach, ach, ach! co tam... co tam! że raz się zdarzyło... ale ty, Iruś, ty zawsze chcesz mię pocieszać.

— Pamiętam także — ozwał się Roman — jaką dobrą i miłą dozorczynią chorych bywasz, stryjenko...

Rozpromieniła się jeszcze więcej.

— Pamiętasz? doprawdy? Bardzo, bardzo chorym byłeś podówczas... ach, ach, ach... jakie to dawne czasy!... tak, tak! Nie byłam przecie zawsze taką, jak dziś jestem. Romuald pamięta dobrze, jakeśmy niegdyś razem pracowali... ale teraz...

Nastąpiło znowu długie uskarżanie się na to, co było z nią teraz, po czym jednak splatając chude ręce, z rozpromienioną od uciechy twarzą, westchnęła.

— Ale to wszystko nic... kiedy się ma taką rodzinę... Romuald jest zawsze najlepszym i najzaczniejszym mężem... a Iruś... ach, ach, ach, to moja lekarka, wyręczycielka, pocieszycielka... chociaż chora jestem i brakuje mi wielu rzeczy... ach, ach, ach! wielu rzeczy, to jednak Bogu dziękuję, tak, mój Romku, rano i wieczór Panu Bogu dziękuję za swoje szczęście!...

Roman trochę słuchał, a trochę udawał, że słucha. Myślał, że chciałby bardzo poznać z bliska tę skromną, czynną, zamyśloną dziewczynę, którą znał i kochał, gdy była dzieckiem swobodnym i wesołym. Nie, nie była już i wówczas zupełnie swobodną ani wesołą. Coś poważnego i smętnego kielkowało w jej dziecinnej główce. Ciekawość, w co właściwie urosło!

— Kuzynko Ireno — przemówił — czy pamiętasz, jakeśmy przed dziesięciu czy jedenastu laty czytali wspólnie pod lipą,

pomiędzy klombami, żywoty wielkich mężów Plutarcha i jakie one na ciebie czyniły wrażenie?

Blady rumieniec oblał jej policzki, ale wnet zniknął.

— Przed dwoma laty — odpowiedziała — po raz drugi czytałam tę książkę wujowi.

— Bo Irusia jest lektorką tatki — zaszcebiotała Bronia — mego czytania tatko nie lubi, mówi, że pędzę jak sztafeta...

— Wyobrażam to sobie — uśmiechnął się Roman.

— Niech Romek nic sobie nie wyobraża! — zawołała — mamie czytuję, mama takie prędkie czytanie lubi...

— Obraziłaś się i w uniesieniu zaczęłaś mię nareszcie nazywać Romkiem. To bardzo dobrze.

— Cóż w tym dobrego, że troszeczkę ponazywam Romka po imieniu? Przecież za parę dni pojedzie sobie na koniec świata i będzie po całej znajomości naszej.

— Dlaczegoż za parę dni? — drażnił się jeszcze Roman — może za parę tygodni...

— To wszystko jedno — odpowiedziała.

— Jak to: parę dni i parę tygodni, to wszystko jedno?

— Naturalnie...

Chciała jeszcze coś powiedzieć, ale zawahała się; nie wytrzymała jednak i z figlarnym, ukośnym spojrzeniem na brata zachichotała z cicha.

— Australczyk i za parę tygodni będzie Australczykiem!

— Masz słuszość — potwierdził i nagle zachmurzony spojrzał na Irenę, która ze szklanką mleka w ręku stała przy stole. Powieki jej były spuszczone, a po ustach przewijał się uśmiech, który jednak znikł zaraz. Postąpiwszy ku szafie kredensowej coś z niej dobywać zaczęła. Z podniesionymi w górę ramionami i spokojną kibicią wydawała się bardzo zgrabną; w profilu jej, nieco w tył odgiętym, była wielka czystość linii i wyrazu. Nie odwracając głowy żartobliwie rzekła:

— Przestań klócić się z bratem, Broniu, i idź do naszego pokoju, gdzie i ja zaraz przyjdę, aby ci lekcję zadać...

Pani Paulina szepnęła do Romana:

— Irusia uczy Bronię. Ja i Romuald chcieliśmy wziąć dla niej nauczycielkę, bo przecież... przecież, niech nas Bóg broni, abyśmy mieli obarczać ją nad siły. Ale sama nie zgodziła się na to za nic. Ciągłe powtarzała: „A cóż ja robić będę?”

Roman myślał teraz, że chciałby bardzo wiedzieć, czy spokój jej jest rzeczywistym, lub tylko udanym. Ochmistrzyni, lektorka, guwernantka, wiecznie tylko w tym kącie zapadłym! Co za los dla kobiety młodej i ładnej! Czy ona nie wie o tym, że jest powabną i że życie ma powaby?...

Śniadanie trwało krótko; dziewczęta opuściły jadalnię, Roman czuł także wielką ochotę wybiec z domu i pójść drogą, która od wrót dziedzińca biegła białym szlakiem przez pole pod las sosnowy. Ta droga, której szlak przepadający za drzewami i znowu się ukazujący widział przez otwarte okno, wabiła go, po prostu wołała ku sobie, a nie tyle jeszcze ku sobie, ile kiedyś, kiedyś, gdzie biegła sama. Ale pani Paulina zaprosiła synowca, aby usiadł przy niej. Sama siedziała u jednego z okien jadalni i zabierała się do tkania koronki. Przed nią na stoliku leżała poduszka stercząca mnóstwem wetkniętych w nią szpilek i okryta niemi rozsnutymi pomiędzy szpilkami. Ręce pani Pauliny, chude i żółte, bardzo starannie utrzymywane, z wielką zręcznością i wprawą przerzucały pomiędzy osnową klocki również niemi owinięte.

— Widzisz, Romku... ach, ach, ach, do niczego już więcej zdatną nie jestem oprócz do tej robótki, którą zresztą bardzo lubię... Chodzić i krzątać się nie mogę... Irusia za mnie wszystko robi... Już bym nieraz i umrzeć chciała, takem marna i nieużyteczna... ale znowu... ach, ach, ach... oni wszyscy są tacy dobrzy dla mnie, pobłażliwi, tak ich kocham, że rozstać się z nimi nie chcę... a śmierć to rozstanie...

— Po cóż myśleć o takich ponurych rzeczach! — pocieszał Roman.

Zauważył, że suknia jej z bardzo taniego materiału była

suto przybraną takimi koronkami, jak te, które w tej chwili robiła, co właśnie nadawało jej pozór nastrzępiony i trochę zabawny. W tym ubraniu, ze starannie ułożonymi włosami, do których jasnej płowości gęsto mieszała się siwizna, z kibicią drobną, chudą i jeszcze zgrabną, miała pewien wdzięk delikatny, chorobliwy i trochę zabawny. Było w niej szczególniejsze zmieszanie pretensjonalności i słodczy, wiecznego lamentowania i jednoczesnego cieszenia się swoim losem, coś niezgodnego, nie zharmonizowanego, jakby dwie razem istoty, dwa serca, czy dwa momenty czasu. Mówiła powoli, jak leniwie ciekąca woda. Opowiadała Romanowi, jaki to kąt pusty i senny zrobił się z okolicy, w której znajduje się Darnówka. Sąsiedztwa stopniały; domy, choć i niezupełnie opuszczone przez właścicieli swoich, stoją prawie pustkami. Mieszkają w nich tylko ludzie starzy, z rzadka chyba jakiś jeden właściciel młody lub w średnim wieku.

— Pamiętasz pewno sąsiadów Darnówki, a jeżeli nie pamiętasz, to sobie przypomnisz. Drzewiccy, na przykład, mniej więcej rówieśnicy twoi i Stefana. Trzech braci... Lucjan do Azji wyjechał i świetną karierę robi; Aureli, naturalista, gdzieś w Niemczech siedzi; Feliks urzędnikiem jest, nie pamiętam gdzie, czy tylko nie w Kurlandii. Rodzice w domu, staruszkowie, we dwoje tylko, jakby dzieci nie mieli wcale. Majątek po śmierci rodziców synowie pewno sprzedadzą albo może dostanie się temu z nich, który najwięcej pieniędzy uzbiera i braci spłaci. To tak, jak z Domuntami. Marceli już braci spłacił i jest jedynym właścicielem Kaniówki, ale buja po świecie i podobno miliony kuje...

— Do Kaniówki obiecuje sobie wrócić na starość — wtrącił Roman.

— Ach, ach, ach! któż to może być pewnym, że dożyje starości — westchnęła pani Paulina. — O braciach Marceliego wiesz już podobno...

— Jaka to katastrofa stała się z Kaziem?

Machnęła ręką, zasępiła się.

— Niechaj ci to już on sam opowie, albo Stefan... bo ja nie mogę... Jest to okropna historia... ach, ach, ach! co się to czasem dzieje na świecie... co się dzieje! Dwom braciom młodszym dobrze podobno...

— Dość dobrze — potwierdził Roman.

— A widzisz! Wszystkim, którzy starają się, szukają, dobrze, chociaż czasem, tak jak z Kaziem Domuntem, zdarzają się i okropności... Niecińscy też niebardzo są zadowoleni... Pamiętaj ich?

— Wyśmienicie. Gdzież są Niecińscy?

— Mój drogi, czyż ja to wszystko pamiętać mogę? Ach, ach, ach, nie pamiętam... ale gdzieś daleko... Niebardzo się im powodzi... Narzekają w listach do brata...

— Więc jeden z trzech w domu?

— Dotąd, dotąd, ale już nie będzie, już na wylocie... Zdarza się mu jakieś miejsce doskonałe, z wielką pensją, rządcy dóbr jakichś ogromnych, nad Morzem Białym... Zalesie w dzierżawę wypuszcza i wyjeżdża...

— Po cóż? skoro dotąd...

Pani Paulina żółty palec podniosła w górę.

— Pensja duża, mój drogi, pensja duża, większa niż dochód z całego Zalesia, który przecież pomiędzy trzech się dzieli. Teraz takie czasy, taki świat, że pieniądze — to grunt...

— To prawda — zgodził się Roman i zaraz zapytał:

— A Rosnowscy? Bohdan bawi teraz w Zawrociu. Jakże się powodzi jemu i Zygmuntowi?

— Tym się powodzi, o, tym to świetnie się powodzi! — z przejściem się objaśniła pani Paulina. — Bohdan szczególniej karierę robi, już zrobił... Bardzo rozumny, bardzo miły człowiek... nawet Romuald i Stefek dość go lubią i daleko lepiej uważają go niż innych...

— Niż kogo, na przykład?

— Niż, na przykład, Marcelego Domunta albo tego Nie-

cińskiego, który za miesiąc wyjdzie nad Morze Białe... Oni mój drogi, to jest Romuald i Stefek, mają swoje wyobrażenia i przekonania... oni są bardzo uczciwi, szlachetni, ach, ach, ach! jacy szlachetni!

— Wiem o tym. Ale dlaczegoż stawia wyżej Rosnowskiego nad Marceliego Domunta?...

— Bo widzisz, mój drogi, oni mówią, że Marceli żyje tylko dla pieniędzy, a Bohdan więcej dla nauki, daleko więcej dla nauki niż dla pieniędzy...

— Prawda, że jest w tym różnica gruba — zgodził się Roman i zaraz dodał:

— Muszę koniecznie zobaczyć się z Bohdanem.

— Ach, ach, ach, jaki miły, jaki rozumny! — zachwycała się pani Paulina. — Tylko... tylko... wiesz? dziwna rzecz! dostał małego, maleńkiego, malenieczkiego bzika...

— Bzika? Bohdan? taka, o ile pamiętam, głowa tęga i pozytywna...

— Ach, ach, ach! doskonała głowa... to samo mówią Romuald i Stefek... ale dostał maleńkiego bzika...

— Ależ jakiego?

— Na punkcie psa...

— Co stryjenka mówi?...

— A tak, ma takiego psa... Swoja... Swoją się nazywa... ale sam to zobaczysz, bo pewno lada dzień przyjedzie do Darnówki... teraz jeszcze skończę o sąsiadach...

Dość długo jeszcze mówiła o sąsiadach. Ten tam, tamten ówdzie. Temu na szerokim świecie powodzi się doskonale, tamtemu tylko nieźle, owemu wcale nieosobliwie, ale wszyscy mają nadzieję, szukają, zabiegają, starają się o życie lepsze. Tak, o życie lepsze...

— Bo widzisz, Romku, gdyby dzielili się majątkami, na każdego przypadłaby taka mała częśćka, że nie mogliby z niej żyć dobrze... Romuald i Stefek powiadają, że to nieprawda, ale oni inaczej rozumieją, co to znaczy żyć dobrze, a tamci

inaczej. Każdą rzecz rozmaicie rozumieć można... Prawda? Ja tam nie rozstrzygam. Ach, ach, ach, gdzie mnie tam do rozstrzygania! Tylko też i nie dziwię się. Cóż robić! Chcą żyć dobrze... Na to przecież uczyli się, aby do czegoś dojść... I Stefek doszedłby, gdyby chciał. Ale nie chce. W myśli mu to nawet nie powstało. Czasem serce mi się kraje, kiedy patrzę, że on się tak marnuje... ach, ach, ach! bo jakie to życie? W samotności, w kłopotach, w pracy chłopskiej i... prawdę powiedziawszy, tylko w chłopskim towarzystwie, bo innego tu nie ma... nie nie ma... kropli rozrywki i zabawy nie ma. Co to dziwnego, że tamci szukają lepszego życia?... Stara jestem i chora, a jeszcze, zdaje się, że szukałabym sama, gdybym tylko mogła. Stefek zaś nie chce...

Rozlamentowała się na dobre i trwało to przez kilka minut, po których jednak inne wcale myśli i uczucia strzeliły jej do głowy i do serca.

— Chociaż z drugiej strony, wiesz Romku, jakie to szczęście dla matki mieć przy sobie syna dorosłego, patrzeć na jego pracę, rozum, szlachetność... Ach, ach, ach! Biedna Domuntowa! Peż to razy zalewa się ona rzewnymi łzami mówiąc, że jest wdową po swoich synach! Sama to nieraz widziałam i słyszałam. Trzy córki ma wprawdzie, ale cóż z tego? Więdną, starzeją się, o zamążpójściu i myśleć nie mogą... bo za kogóż? chyba, jak Romuald mówi, za kogutów? Matce żal patrzeć na nie... Ze starą Drzewicką to samo... Albo i siostra Rosnowskich, wdowa, Zawróć od braci w dzierżawie trzyma i coraz to popłakuje. „Moja pani, mówi do mnie, gdyby to oni tu byli, zaraz by to inaczej i Zawróć, i całe życie nasze wyglądało.“ A ja wtedy tryumfuję... Mój przy mnie, ja szczęśliwa matka i moja Bronia hoduje się w domu, dzięki Bogu, nie opuszczonym!...

Teraz znowu uradowanie od niej biło, jak blady blask od słońca jesiennego. Po minucie milczenia jednak westchnęła.

— Ach, ach, ach! ale jemu źle jest żyć, Stefkowi pewno

źle... choć nie mówi tego nigdy, ale czyż może być inaczej? Szukać jednak dobrego życia nie chce... nie chce...

Umilkła nareszcie; ręce z klockami bezczynnie złożyła na poduszce szpilkami najeżonej, zamyśliła się z wyrazem zadziwienia na twarzy. Może usiłowała pogodzić rozterkę swoich myśli i uczuć i dziwiła się, że w żaden sposób dokonać tego nie może. Roman z głową pochyloną, wpatrzony w deski podłogi, milczał także. Rozmowę, która zrazu nudziła go i trochę niecierpliwiła, prowadził potem z coraz większym ożywieniem i zajęciem. Ludzie, których nazwiska odbijały się mu o uszy, byli mu dobrze znani, pamiętał ich wszystkich wybornie. Tego Kazia Domunta, którego spotkała jakaś historia okropna, niegdyś bardzo lubił; ten Rosnowski, który dostał bzika, starszy od niego, był mu zawsze bardzo sympatycznym, a parę razy, w czasie wakacji, przyjacielsko i skutecznie dopomagał mu w uczeniu się łaciny. I ci, i tamci, i owi, należeli do tego samego kółka rezonerów, Donkiszotów, małych poskramiaczy smoków i obrońców niewinności, w którym on i Stefan rej wodzili. Sympatyczne ich twarze przesunęły mu się teraz przed wyobraźnią wieńcem widm rozwiewnych. Ale były to widma braterskie, budzące żal. Gdzież teraz oni wszyscy i gdzie wszystko, co ich było? Donkiszoci i donkiszotyzm, bracia i braterstwo — bańka mydlana! Gdzie podziały się jej tęczę? Pyłki samotne błędzące po przestrzeniach niezmiernych; liście lecące z wiatrami. Wszystko razem: jakieś unicestwienie wielkie, jakaś klęska podobna do trąby powietrznej rozbijającej w perzynę wszystko, co znajduje się na jej drodze. Żyją dobrze. Tak, tak. Alboż nie widział Marcelego Domunta? alboż sam nie żył dobrze? Śmiać mu się chciało. Miał ochotę wyskoczyć przez okno i pójść drogą wijącą się po polach, iść, iść, gdzie oczy poniosą, aby w ciszy pól bez przeszkody myśleć, myśleć, myśleć o czymś niesłychanie zawikłanym, bardzo ważnym, bardzo smutnym.

Ale stryjenka wymówiła kilka słów, które go z zamyślenia obudziły:

— Czy Irusia wyjdzie za Bohdana Rosnowskiego, czy nie wyjdzie? Jak myślisz, Romku?

Skądże on mógłby wiedzieć o tym cokolwiek. Kuzynka Irena jest mu już teraz prawie zupełnie obcą i nieznaną. Ale czy to rzecz pewna, że Bohdan stara się o jej rękę? O, najpewniejsza! Zanim przyjechał, już siostra jego mówiła, że przyjedzie po żonę. Po żonę, to jedna przyczyna, a druga — ażeby tu febrę zgubić. Bo w jakiejś błotnistej części puszczy, której jest dozorcą głównym, na febrę zachorował. Lekarze doradzili mu zmianę klimatu na czas pewien. Dlatego wziął urlop i na parę miesięcy do Zawrocia przyjechał. Zaraz po przyjeździe Kazia Domunta zobaczywszy powiedział mu: „Przyjechałem dlatego, aby febrę tu zostawić i żonę stąd zabrać“. Kiedy Kazio w Darnówce słowa te powtarzał, Irena zaśmiała się i powiedziała: „Pan Rosnowski umie robić dobre interesy. Chce stronom naszym darować febrę, a wziąć w zamian żywą duszę!“ Nie wiadomo, co ona przez to chciała powiedzieć, ale on spotkał się z nią u Domuntów i od tego czasu wiele razy już był w Darnówce. Naturalnie, że przyjeżdża dla niej, wszyscy to widzą...

— A ona? — zapytał Roman.

— Ona! grzeczną jest dla Rosnowskiego, tak jak dla każdego... ale co czuje i myśli, o tym nikt nie wie, bo do zwierzeń skłonną nie jest. Może i pójdzie za niego... ach, ach, ach, pewno pójdzie. Dlaczegożby pójść nie miała? Rosnowski jest przystojny, miły, przy tym świetna partia... Gdyby za niego poszła, byłaby pewno szczęśliwą i żyłaby dobrze. Ale może i nie pójdzie, tak samo jak nie chciała jechać z baronową. Romuald i Stefan nie wpływali na nią wcale, nie namawiali do niczego, ja trochę doradzałam, trochę odradzałam, bo i sama nie wiedziałam doprawdy, jak lepiej... okropnie trudno mnie byłoby z nią się rozstać... Ale kiedy już tak postanowiła, Ro-

muald tak ją całował w rękę, aż mu się łysina zaczerwieniła, a ja rozplakałam się z radości, że ona od nas nie odjedzie...

— A Stefan?

— Ze Stefanem rozmawiali sam na sam z godzinę, po czym ona miała łzy w oczach, ale razem była taka wesoła, jaką jej nigdy nie widziałam... Baronowa było obrażoną i powiedziała do mnie: „Wiesz co, chérie, ta wasza Irena to gęś, która nie rozumie, co to jest dobre życie!” Może to trochę i prawda, ale też i nieprawda, bo Irusia wcale, wcale głupią nie jest, ale tylko nadzwyczajnie do nas przywiązana i ma takie zasady... Tak jak Stefek... Ale ta baronowa to bardzo miła kobieta... a jak żyje! Ach, ach, ach, takie życie, jak jej, to prawdziwe tysiąc nocy i jedna. Starsza ode mnie, a jak jeszcze ładnie wygląda! jak stroi się i bawi! Jeszcze nawet kochają się w niej ludzie. Ach, ach, ach! szczęśliwa! Jakże różne są losy ludzkie na ziemi! Ale z drugiej strony, nie chciałabym być na jej miejscu. Podobno męża nie lubi i dzieci ma niedobre. Powiedziała raz, że najwięcej na świecie kocha jakąś papugę...

— Która już nie żyje — wtrącił śmiejąc się Roman.

— Nie żyje! kakadu baronowej nie żyje! Ach, ach, ach, nieszczęśliwa kobieta! bardzo nieszczęśliwa! Nie chciałabym być na jej miejscu. Chociaż z innej znowu strony takie życie, jak jej, takie apartamenty, zabawy, przyjemności różnego rodzaju, to raj ziemski! to, ach, ach, ach, coś tak ponętnego, czarodziejskiego, że stąd, z tego kąta zapadłego, wygląda jak bajka. Jednak Darnówka, pomimo że jest kątem zapadłym, posiada wiele uroku. Nieprawdaż? Jakie tu są drzewa stare... W zimie nawet, gdy śnieg i szron je okryją, napatrzeć się na nie nie można... Miłe, kochane miejsce, ta cicha, w lecie zielona, a w zimie alabastrowa Darnówka!

Długo jeszcze mówiła, Roman patrzył w otwarte okno. Za niskim płotkiem rozdzielającym dziedziniec od ogrodu, za krzewami rozproszonymi po trawniku, daleko, kilka kobiet wiejskich coś pleło czy zbierało, bo chustki ich czerwone

i żółte świeciły nisko nad ziemią jak piwonie i słoneczniki. Pomędzy tymi formami, przysadzistymi i jaskrawymi, ukazał się ktoś wysmukły, w ubraniu jasnym, przez blask słońca pobielonym. Ta jasna postać przesunęła się kilka razy pośród robotnic, zniknęła za krzewami, po chwili bliżej już ukazała się znowu i wnet drzwiami wychodzącymi na ogród weszła do oficynki. Nad tą budową, niedużą i pobieloną, wznosiła się z komina wstęga dymu, na ciemnym tle lipy bladożłota.

Roman wstał.

— Pójdę przypomnieć sobie różne kąty Darnówki...

— Idź, mój Romku, idź! po wielkim świecie, ach, ach, ach, nasza Darnówka wyda ci się bardzo maleńką... chociaż z innej strony, to kącik miły... ach, ach, ach, jaki miły i kochany!

Jak to pocziwy stryj ma zwyczaj mówić o tym? „Za kogóż by wyszła? chyba za koguta!“ Naturalnie; teraz Roman rozumie, co te słowa znaczą. Jednak znalazł się przecie konkurent... Wprawdzie „Australczyk“... No, skóro jednak innych nie ma!

Po świeżo skoszonej trawie dziedzińca, w której wędnące girlandy powojów wydawały woń migdałową, szedł szybko, ale ze spuszczoną głową i zsuniętymi brwiami. Niebo stało całe w błękicie i złocie, powoje pachniały, w szemrzących liściach drzew ptaki szczebiotały, jednak dla niego w błękicie, złocie, woniach i szmerach pogody najpiękniejszej było w tej chwili coś, co kark zginało i czoło marszczyło. Tymi samymi drzwiami, co Irena, wszedł do oficyny.

Oryginalnie wyglądała w dwu blaskach, które padały na nią od ognia płonącego w wielkim piecu i z okna przysłoniętego z zewnątrz zielonością napojoną złotem słonecznym. W tej dużej izbie kuchennej albo czeladnej znajdowała się spora garść ludzi. Parę kobiet krzątało się około ognia, parę innych, z dziećmi na rękach, stało u okna; w głębi kilku mężczyzn jadło przy długim stole. Roman usłyszał w progu słowa wymówione tonem trochę żartobliwym, trochę upominającym:

— Jeżeli tego same nie zrobicie, jutro rano ja i Bronia przyjdziemy z miotłami i czyściuteńko wymiemy wam mieszkanie! Mam nadzieję, że będziecie się wstydzili.

Stosowało się to widocznie do kobiet stojących z dziećmi u okien, bo parobcy jedzący przy stole spoglądali na nie z uśmiechami, młodzi nawet z głośnym śmiechem. Romanowi także śmiać się chciało, ale z czego innego. Irena odwróciła się zaraz i zobaczwszy go uprzejmie zapytała:

— Czy potrzebujesz czego, kuzynie?

— Chciałem prosić cię, kuzynko, o trochę dzienników, których, jak mi stryj mówił, jesteś strażniczką i rozdawczynią.

— Są one w pokoju moim i Broni. Pójdę tam zaraz.

— Pójdziemy razem.

— I owszem.

Zaraz za drzwiami izby gorącej i ludnej Roman zapytał z uśmiechem:

— Pochwyciłem cię, kuzynko, na gorącym uczynku obietnicy czy groźby niepodobnej do spełnienia.

Spojrzała na niego trochę zdziwiona, ale zaraz domyśliła się, o czym mówił.

— Stosuje się to zapewne do miotły i zmiatania. Dla czegoż myślisz, kuzynie, że tej obietnicy czy groźby spełnić bym nie mogła?

— Alboż umiesz zmiatać?

Zaśmiała się.

— Czy masz mię za taką niedołęgę, abym takiej bagateli robić nie umiała?

— Sama pewno nie możesz o tym wiedzieć.

Szare oczy jej aż iskrzyły się od uśmiechu, w którym Romanowi się wydało, że obok wesołości była ironia.

— Przeciwnie, wiem bardzo dobrze, bo czynię to codziennie...

— Po co? dlaczego?

Przestała uśmiechać się i ze zwykłym już spokojem odpowiedziała:

— Służby mamy bardzo niewiele... Ci w kuchni, a w domu dziewczynka niedorośła i chłopak, którzy zarazem są mymi uczniami. Sami służymy sobie.

Uczuł prawie politowanie.

— Czyżże to jest kaprys? — smutnie zapytał.

Ten smutny ton rozśmieszył ją znowu.

— To system, kuzynie — odpowiedziała.

— Jaki?

— Gospodarski.

Myślał chwilę, a potem patrząc na nią zapytał:

— Tylko?

Ona spojrzeniem spokojnym i błyszczącym wytrzymała jego spojrzenie i odpowiedziała:

— Nie tylko.

Chciał skierować się ku głównemu gankowi domu, ale ona wskazała mu drzwi boczne.

— Pójdziemy drogą krótszą, przez pokój wuja.

— Mnie do dzienników nie jest tak pilno — zażartował.

— Ale Bronia siedzi nad książką i na mnie czeka — odpowiedziała.

Przez drzwi wychodzące na ogród weszli do pokoju, za którego oknem rosły duże, ale przezroczyste krzaki żółtej akacji. Pokój zaś miał kształt dużej szuflady, było w nim łóżko, biurko, obszerne i stare, kilka jeszcze sprzętów starych i najstarszy ze wszystkich fotel głęboki, jeden z tych, które niegdyś nosiły nazwę wolterowskich.

— To pokój wuja. Tu czytuję mu głośno, w zimie więcej, w lecie mniej, ile można i jak się zdarzy... Wuj siaduje na tym fotelu, ja na tym taborecie, tu pali się lampa i — czytamy...

— Plutarcha? — podchwycił Roman.

— Różne rzeczy... czasem dzienniki i powieści, czasem Plutarcha albo Biblię...

Ożywiła się bardzo i kiedy gestami żywymi, choć zawsze spokojnymi wskazywała przedmioty wymienione, oczy Romana były do niej przykute. Teraz dopiero spostrzegł, że ma w warokcu lewkonie, której błada różowość odbijała wdzięcznie od kruczej czerności jej włosów.

— Pokój wujenki jest znacznie większym i wygodniejszym od tego... a nasz, mój i Bronki, tu, obok wuja, abym mu była zawsze pod ręką.

Otworzyła drzwi staroświeckie, niskie, o jednych tylko od drzwiach wapnem wybielonych. W pokoju, do którego weszli, ściany były także pobielone, białe firanki przystrajały okna, u ścian stały dwa łóżka biało zasłane. Przy stole, stojącym pośrodku pokoju, Bronia istotnie siedziała nad książką. Powitała wchodzących skinieniem głowy i znowu zanurzyła się w czytaniu. Irena otworzyła szafkę oszkloną, Roman podszedł do dziewczynki i pochylając się nad nią zapytał:

— Czy to jeografię Bronia studiuje?

Podniosła ku niemu spojrzenie roztargnione.

— Dlaczego to ma być koniecznie jeografia?

— Bo w tej nauce zaszłaś już daleko, aż do piątej części świata... Pewno jesteś teraz w Australii...

— Bardzo trafnie Romek zgaduje. Właśnie teraz uczę się o Australii...

— Stąd to właśnie przyszło jej do głowy przezwisko, które, kuzynie, dała ci wczoraj.

— Za które Romka bardzo przepraszam — tonem skruchy i oczu nie podnosząc znad książki szepnęła dziewczynka.

— Cóż znowu? skądże się wzięły te przeprosiny?

— Wszyscy kazali mi Romka przeprosić. No, już przeprosiłam, a teraz niech sobie Romek stąd idzie i nie przeszkadza...

Roman zwrócił się do Ireny.

— Czy i ty, kuzynko, powiesz mi to samo?

— Bardzo grzecznie przeproszę, ale powiem... bo teraz nie mamy czasu...

— Na próżne gawędy z włóczęgami...

— Tak.

Podała mu paczkę gazet, które on wziął z ukłonem dzięczynnym; ale przez pół minuty jeszcze nie odchodził. Oboje stali, nagle zmieszani trochę, z tajonymi wspomnieniami wspólnej wiosny życia. Umilkli, spoważnieli, ale oczy ich przez tę połowę minuty nie rozłączały się z sobą i śmiały się do siebie.

Kiedy na koniec Roman odszedł, Irena stanęła u okna plecami zwrócona do pokoju i stała tak długo, że Bronia kilka razy wzrok na nią podniósłszy zawołała:

— Iruś! zróbmy już lekcję, bo do obiadu trzymać mię tu będziesz i nie będę miała czasu pójść do gołębi...

Irena odwróciła się, a dziewczynka popatrzawszy na nią swymi żywymi, roztropnymi oczyma zawołała:

— Iruś! czego ty taka smutna?

Była istotnie tak smutną, jaką Bronia nigdy jeszcze jej nie widziała.

Na parę godzin przed wieczorem Roman wszedł do pokoju Stefana. Miał zamiar wziąć stamtąd książkę, ale to, co w tym pokoju zobaczył, tak go zajęło, że pozostał w nim dłużej, niż zamierzał. Były tam jednak tylko rzeczy bardzo proste: żelazne łóżko ze szczupłą pościelą, dwa stoły obciążone papierami, spora szafa oszklona z szeregiem książek, na ścianach para map dużych, kilka litografowanych kopii obrazów sławnych i krzyż duży z czarnego drzewa. Jeszcze kilka krzeseł obitych kraciastym kilimkiem, wiąz kwiatów polnych w dzbanku glinianym, ściany pobielone, sufit z grubymi belkami, dwa okna nieduże otwarte na widok dość rozległy — nic więcej. Rzeczy niezmiernie proste, ale Roman uczuł od razu, że ta prostota posiada dno, na którym spoczywa jej pochodzenie i znaczenie. Bo środki majątkowe pozwalałyby młodemu Darnowskiemu na wcale inne urządzenie mieszkania. Nie mogło tu być przepychu, mógł być komfort. Roman oglą-

dając się po pokoju myślał: „Zwariował na kamedulstwie! Mieszka jak mnich, z wyjątkiem książek i papierów zabazgranych. Więc jeżeli nie kameduła, to benedyktyn.“

Zajmował go szczególniej krzyż tak duży i w taki sposób umieszczony, że zdawał się panować nad tym pokojem, stanowić jego dewizę lub godło. Kilka razy powracał do niego wzrokiem, aż spojrzał na papiery okrywające jeden ze stołów. Mnóstwo kartek okrytych pismem tak wyraźnym, że od razu rzuciły się w oczy imiona własne wsi, miasteczek, okolic, może rodów. Obok tego bez ładu porozrzucane i w części pootwierane książki, broszury, zeszyty z notatkami. Książki gospodarskie i rachunkowe znajdowały się na drugim stole, bliżej okna, przy którym stanąwszy Roman patrzył długo na krajobraz niezbyt wspaniały ani osobliwy, ale pełen szczegółów składających całość ponętą. Za ogrodem darnowskim łąka ta sama, którą widział wczoraj, ciągnąca się pasem długim pomiędzy borem i polem, ubrana w rozrzucone z rzadka drzewa i krzewy. Przeplýwała ją rzeczka wąska, co chwilę chowająca się za olchy lub leszczyny i co chwilę znowu zza nich wybłyskująca cieniutką nicią srebrną. Na ciemnym tle boru najrozmaitszymi odcieniami zieloności odrzynały się drzewa liściaste. Na polu bieleła w oddali płachta gryki kwitnącej zielonością majową, świecił łanek nie zebranego jeszcze końskiego zębu, tu i ówdzie od żółtych próżni wzbijały się krótkie dymy z małych ognisk pastuszków. Nad całym tym obrazem panował punkt z wielką gromadą drzew wysokości rozmaitej i wdzięcznie wychylającym się z niej pałacykiem w blasku słońca olśniewająco białym. Było to niebardzo blisko, ale też niezbyt daleko. W powietrzu mającym już trochę kryształowej przezroczystości pierwszych dni jesiennych wzrok dobry mógł dostrzegać wyraźnie zarysy pięknego budynku i dwie baszty nieduże u góry go przyozdabiające. Wyglądało to z dala wdzięcznie i wytwornie. Białosc pociągała wzrok; patrząc na krajobraz trzeba było powracać ciągle wzrokiem do pałacyku, który stanowił jego

punkt ogniskowy i wydawał się czasem jego strażnicą, a czasem ukoronowaniem. Roman nie mógł przypomnieć sobie, do kogo miejsce to należało i kto w nim mieszkał.

Sam nie wiedząc kiedy, usiadł na krześle stojącym u okna i spoglądając na pokój Stefana, to na krajobraz za oknem, popadł w zamyślenie długie i kamienne. Wrażenia, spostrzeżenia, przypomnienia, zapytania tłoczyły się mu do umysłu gromadnie i bez ładu, nie układając się w żaden ciąg loiczny i nie dochodząc do wniosków żadnych. Były to jakby materiały budownicze gromadzące się w umyśle. Potem złoży się całość budynku, teraz uwaga i wyobraźnia skacze niejako po ceglach, z których on ma powstać.

Irena jest ładną, ale więcej jeszcze miłą i przede wszystkim ma dla niego urok takiej świeżości kobiecej, jakiej od dawna już nie spotykał. Tej twarzy nie dotknęła nigdy ani pylinka bielidla i różu, tym ciałem nie wstrząsała nigdy burza zmysłów. Czysta, świeża, pomimo spokoju ruchów i rysów swobodna w obejściu się, nawet wesoła. Wprawdzie wesołą widział ją tylko z rana, kiedy szła z nim przez dziedziniec, a potem pokazywała mu pokój wuja. Przy obiedzie była już milczącą i zamyśloną, a wnet po nim zniknęła pod jakimś pretekstem nie chcąc towarzyszyć jemu i Broni do gołębnika, w którym dziewczynka hodowała swoje ulubione ptaki. Naturalnie, musi bywać często smutną. Nigdy w to nie uwierzy, aby mogła czuć się zadowoloną z położenia swego i nie lękać się przyszłości, która ją oczekuje. Wprawdzie mogła była z łatwością odmienić tę przyszłość. Chciał bardzo zapytać ją o przyczyny, dla których odrzuciła propozycję baronowej, ale nie śmiał. Rzecz dziwna, ale wobec tej skromnej dziewczyny czuł się daleko mniej śmiałym niż wobec kobiet zajmujących w świecie pozycje wysokie. Bo takie istoty nie wiedzieć z jakiej strony zaczepiać, aby ich nie zranić, nie obrazić, nie zrazić. Ogromnie lękałby się zrazić ją do siebie, chociaż i bez tego czuje, że jest pomiędzy nimi rozdział wielki, a nie ma żadnej

prawie wspólności. Jakto? a przeszłość? Długie dni i tygodnie przed laty wspólnie spędzone? Wspólne czytania, rozmowy, uniesienia, marzenia? Ciekawość, czy ona to wszystko pamięta choć trochę? Bo co do niego, rozumie doskonale, że mógł kochać się w niej bez pamięci. Teraz jeszcze to wspomnienie czyni mu ją bliską. Patrząc na nią doświadcza uczucia odnajdowania czegoś, co kiedyś było mu drogim, a potem gdzieś przepadło. Podobają mu się jej ruchy i dźwięk głosu, cera, włosy, a nade wszystko uśmiech odbijający się w oczach. Gdy raz zacznie myśleć o niej, nie może przestać i budzi się w nim ciekawość paląca tego: co ona czuje, myśli, jaką jest wewnątrz? Dziś przez chwilę, przez krótką chwileczkę, kiedy brał z ręki jej dzienniki, zdawało mu się, że jest wzruszoną. Ale musiało to być złudzenie, skoro nie chciała pozostać z nim dłużej i bez ceremonii wyprawiła go z pokoju, aby nie przeszkadzał lekcji z Bronią. Dziwna kobieta! Żyje na pustyni, a gdy zdarza się jej sposobność, rzadka w jej życiu, przestawania z kimś, komu się podoba, oddała go dlatego, aby spełnić obowiązek codzienny i zapewne nudny! Dowód to najwyraźniejszy podobania się nieodwzajemnionego. Naturalnie. Byłby zarozumiałcem, gdyby przypuszczał co innego, albo głupcem naiwnym, gdyby od niej i od Stefana spodziewał się czegoś innego oprócz zdawkowej uprzejmości, do której obowiązuje gościnność. Jednak szkoda! Jednak wolałby wywieźć w świat daleki wspomnienie ich przyjaźni niż obojętności. W ten sam świat daleki, po którym rozsypali się jak garść piasku dawni jego towarzysze i przyjaciele. Dobrze, że choć z dwoma z nich spotka się tutaj! Co tak strasznego spotkać mogło tego Kazia Domunta, który był takim ładnym, żywym, miłym chłopcem? Bohdan Rosnowski, starszy od niego, wyprzedził też go na drodze życia. Ale obaj idą jedną drogą, więc może zbliżą się i zaprzyjaźnią z sobą choć na ten czas krótki. Nie wiedzieć dlaczego uczuwa potrzebę zbliżenia się i sprzyjażenia z kimś rzetelnego, takiego, które napełnia duszę ciepłem i otwiera ją

zaufaniem. Chce wywieźć stąd, koniecznie stąd, iskrę ciepła, którą by miał schowaną w głębi serca tak, jak się czasem chowa w głębi skrzyni sztukę złota — na czarną godzinę. Po co mu to było, skoro prawdopodobnie nigdy już nie wróci, albo wróci na chwilę po długich latach... Brak konsekwencji i loiki! Wieczna zagadka duszy ludzkiej napełnionej sprzecznościami, losu ludzkiego, który dając jedno musi koniecznie odbierać drugie...

Wstał z krzesła i parę razy przebiegł pokój. Coś go kłuło i niepokoiło. Stanął u okna, spojrzenie jego padło znowu na piękny pałacyk jaśniejący w oddaleniu wielką białością spomiędzy drzew ciemnych.

— Śliczne to być musi miejsce! Temu, kto tam mieszka — dobrze! Ma gniazdo własne, kanwę życia gotową. Może sobie nie wyrzekać się niczego, nie rozstawać się z niczym, nie żałować niczego i — żyć dobrze!

Od łąki niedalekiej, od dalszego boru, od szmaty pola za łąką i skłonu nieba zasnutego fioletową mgłą oddalenia wiała niezmierna świeżość i głęboka cisza zieleni, błękitu, wody srebrnej, ścierniak bladozłotych. Nie przerywał tej ciszy, owszem, zlewał się z nią i dodawał jej głębi turkot młockarni monotonny, głuchy, toczący się w dość znacznej odległości. Odpowiadało mu z wnętrza domu warczenie inne, daleko słabsze, także monotonne i oddaleniem przygłuszone. To ktoś w dalszych pokojach domu szył na maszynie. Raz dała się słyszeć kędyś na dziedzińcu krótka rozmowa dwu głosów męskich, która wnet ustała; raz także głos kobiecy, świeży i czysty, z otwartego okna zawołał:

— Broniu! Broniu! Broniu!

Roman podniósł głowę i pomyślał:

— Miły, śliczny głos!

Zresztą, cisza panowała we dworze darnowskim i dokoła niego. Zwierzęta z pastwisk, ludzie od prac rolnych jeszcze nie wracali. Od więzi roślin stojącej na stole w dzbanku rozcho-

dziła się woń leśna, przypominająca mchy wilgotne — i sosny. Garść wrzosu przemagała w niej liliowością delikatną, spośród której złota różga, niby palma mistyczna, wznosiła wysoko kiść jaskrawożółtą. Paproć zielona wypadając z bukietu opuszczała się na zapisane papiery; po koronkowych jej tkankach promyk słońca biegał złotym esikiem. Kilka takich esików i kółek błyszczało na białych ścianach i migotało w miarę poruszania się z wiatrem liści wielkiego wiązu rosnącego za oknem.

Roman z wolna opuścił się na krzesło i z głową w tył odzruconą, z rękoma nad nią splecionymi długo pozostał. Uczuł prostą, fizyczną błogość idącą od rzeczy prostych i czystych. Z błękitu, z zieleni, z mgły zasnuwającej daleki kraniec nieba, z milczenia pól, z turkotu maszyn, z łagodnego szmeru liści za oknem i swawolnego migotania światełek na ścianie spływała w niego słodycz ukojenia i cisza spoczynku... Z tymi uczuciami przyglądał się znowu pokojowi Stefana ciekawie i uważnie. Ślicznym jest ten pokój w porze błękitów, zieleni, wrzosów liliowych i tańczących po ścianie esików i kółek złotych! Ale jak to wygląda w porach roku innych: twardych, surowych, długich? Tu doświadczył widzenia bardzo wyraźnego.

Wieczór jesienny albo zimowy, mniejsza o to! lecz z czarną ciemnością za oknem, a w pokoju ze światłem lampy, które nie może rozproszyć mroku we wszystkich jego kątach. Ciemność okrywa krajobraz oblany deszczem czy okryty śniegiem i wydaje się otchłanią, w której uwięziona melancholia szumi, jęczy i wzdycha głosami wiatrów. Światło lampy skupia się nad stołem, przy którym na tle rembrandtowskim, to jest na płachcie światła otoczonej ciemnością uwypukla się głowa młodzieńca pochylonego nad papierem, którego powierzchnię ręka jego okrywa pismem szybkim i bujnym. Dokoła ręki piszącej leżą mapy, książki, broszury. Nie jest ona białą ani delikatną, owszem, dość na nią spojrzeć, aby przypomnieć sobie skwary i roboty letnie; niemniej przecież pisze. Jest to ręka, która od młodu przędła promień z gwiazdy wiedzy i teraz przędzie

go w dalszym ciągu. Ciemność za oknem szumi i wzdycha, w domu cicho, tylko ktoś na dole czyta głośno. Jakiś głos kobiecy czysty i świeży czyta głośno. Zresztą nic. Młody benedyktyn z twarzą wypukłą na płachcie światła otoczonej zmrokiem, jak ton na akordzie z tonami innymi, zlewa się z ciszą, samotnością, z zimą i nocą. Świat ze swoim hałasem, z gorączką, z wirrem, blaskiem i jego upojeniami tak stąd daleko, że można mniemać, iż ciemność wisząca za oknem, jest przestrzenią pomiędzyplanetarną rozdzielającą dwa różne globy. On wyrzekł się tamtego. Mógłby znajdować się w jego blasku, wirze, gorączce i upojeniach, ale nie chce. Dlaczego nie chce? Co przykuło go do ciszy, samotności, zimy i nocy? W kącie pokoju świeci iskra stalowa, którą światło lampy krzesze w żelazku kosy opartej o ścianę. W innym miejscu, na ścianie, występują z mroku linie wielkiego krzyża, surowe i czarne.

Roman przetarł dłonią czoło i oczy. Powstawało w nim uczucie szacunku zmieszanego z zadziwieniem dla czegoś, czego jeszcze nie mógł wyrozumieć do dna.

Drzwi pokoju otworzyły się prędko i głośno. Przedtem jeszcze Roman mógł być usłyszeć szybkie stąpania po wschodach, ale był tak zamyślonym, że nie usłyszał. Teraz zobaczył we drzwiach człowieka wysokiego i bardzo szczupłego, który na pierwszy rzut oka wydał się mu nieznanym. Z ręką na klamce, w postawie wahającej się, przybyły stał chwilę patrząc, poznając i nie poznając, aż na twarz uderzająco białą wytrysnął uśmiech, z którym zawołał:

— Romek!

Potem dodał ciszej:

— Jeżeli się nie mylę!

Roman powoli wstawał z krzesła, ale potem rzucił się ku wchodzącemu z okrzykiem:

— Kazio Domunt!

IV

Wzajemne oświadczenia radości, zapytania i odpowiedzi zrazu ogólnikowe, bo chociaż spotkanie się sprawiło im przyjemność szczerą, długie rozłączenie czyniło ich prawie nieznanymi. Mówili dlatego, że trzeba było mówić, ale przypatrywali się sobie ciekawie, jakkolwiek nieznacznie.

Kazimierz Domunt, odkąd Roman go nie widział, zmienił się bardzo. Przede wszystkim wycieniał, po prostu schudł, ale to tak bardzo, że surdut czarny i mocno znoszony sprawiał na nim wrażenie odzieży wiszącej na kołku. Oprócz tego było w nim coś, co dawało się określać przez jedno słowo: spłowił. Białość jego twarzy i rąk chudych sprawiała wrażenie delikatności nienormalnej i niezdrowej. Bardzo jasne włosy opadały na czoło wstrząsane niekiedy w okolicach skroni krótkim drganiem nerwowym; w ogóle zdawać się mogło, że pod opłatkiem skóry twarz okrywającej znajduje się sieć jakaś strun naprężonych i nadczułych. Jednak w uśmiechu szczerym, w błyskach oczu błękitnych, w żywości ruchów i silnym uściśnieniu dłoni ukazywał się dawny Kazio, chłopak wesoły i kolega dobry, trochę lekkoduch, trochę marzyciel, w gruncie zapalka mogąca wybuchnąć płomieniem w zetknięciu ze słońcem, zarówno jak z łożową świeczką. Mówił prędko, mówiąc często pocierał czoło dłonią, ruchy i gesty miał wytworne, świadczące o długim przebywaniu w towarzystwach wyborowych, ale chwilami nerwowe lub nieśmiałe. Postawił sobie krzesło

u okna, tuż naprzeciw Romana, chude dłonie oparł na kolanach.

— Więc tak... więc tak... wyjeżdżasz dla zajęcia posady. Cóż? każdy próbuje... każdy do czegoś dąży, naturalnie. Daleko?

— Trzy doby jazdy...

— Trzy doby jazdy kolejami żelaznymi... można zajechać na koniec świata... Podróż ciekawa, miejsce interesujące, posada piękna, winszuję, winszuję... O dobrych życzeniach moich wątpić nie możesz, starzyśmy druhowie. Jednak szkoda może...

Urwał trochę zmieszany, ale Roman podchwycił:

— Czego szkoda?

— Nic, nic, tak mi się to wymknęło. Naturalnie, teraz, gdyśmy się odnaleźli, wolałbym już z oczu cię nie tracić... abyś znajdował się bliżej naszego kółka, kółeczka małego...

Roman ożywił się nagle, zaczął mówić dużo i prędko. Przedstawiał dawnemu koledze zupełną niemożność pozostania gdziekolwiek w pobliżu Darnówki. Sam tego żałuje mocno, ale człowiek nie powinien poddawać losu swego swoim uczuciom. Uczucia swoją drogą, a konieczność swoją. Grunt materialny pod stopami człowieka to rzecz kardynalna; dopiero, gdy się go już posiada, można sobie haftować życie w różne wzory, choćby i fantastyczne. Cywilizacja wzrastając mnoży potrzeby ludzkie w nieskończoność, tak że nie jest wcale łatwym uczynić im zadość. Mnożąc potrzeby cywilizacja różniczuje też upodobania i zadania, a to czyni niemożliwym kreślenie prawideł dla wszystkich. Co dla jednego jest dostatkem, dla drugiego może być nędzą, i na odwrót. Jeden także czyni to, drugi tamto; jednemu dobrze na tym miejscu przestrzeni i hierarchii społecznej, drugiemu na innym. Nie należy zresztą sztucznie tamować potoków, które wylewają wody z brzegów ciasnych. Skoro dla tych wód łożysko potoku nie jest dość obszernym i wygodnym, muszą one spłynąć na okoliczne pola, a gdziekolwiek spłyną, przyczynią się do użyźnienia

nia kawałka jakiegoś gruntu, bo jak w naturze nie przepada marnie żaden atom materii, tak żadna siła ludzka, w jakimkolwiek kierunku działająca...

Tu, nie wiadomo dlaczego w połowie zdania urwał, nie wiadomo dlaczego uczynił ręką gest lekceważący i nie wiadomo dlaczego wzrok wlepił w ziemię z zamyśleniem nagłym i prawie kamiennym. Domunt słuchał jego długiej mowy bardzo ciekawie i uważnie, parę razy żywo poruszył się na krześle, ale nie powiedział nic, tylko ze spuszczoną twarzą, ruchem nerwowym pokręcał końce jasnego wąsika. Kiedy Roman umilkł, po chwilowym jeszcze milczeniu ozwał się trochę nieśmiało:

— Co się tyczy możliwości, to może znalazłaby się jakakolwiek, ale że niezbyt świetna ani wesoła, to prawda! Takie zapadłe kąty nawet potrzebują gwałtownie ludzi oświeconych.

— A cóż by tam w kątach takich robić mogli! — podnosząc głowę zaprotestował Roman.

Domunt z niejaką żywością odpowiedział:

— Ja ci tego tłumaczyć nie będę, bo naprzód sam jeszcze nie jestem bardzo biegły w znajomości zapadłych kątów, następnie...

Uśmiechnął się i trochę zawahał.

— Następnie, byłyby to fatyga nadaremna! Ty najpewniej w żadnej norze zamieszkać nie zechcesz... chyba by cię do niej, tak jak mnie, zapędziły porządne cięgi!

Roman tak był zajęty swoimi myślami, że nie odpowiedział bezpośrednio, ale znowu zaczął mówić z coraz wzrastającą gorączką w ruchach i głosie. Mówił wiele o ciasnocie stosunków i ciemnocie umysłowej, które panują w kątach zapadłych, i o tym, że człowiek oświecony żadnym sposobem pogodzić się z nimi nie może, a jeżeli się pogodzi, traci swoją wartość właściwą, której nic innego nie stanowi, tylko oświata. Człowiek wtrącony w sferę życia niższą od tej, w której może oddychać pełną piersią, kurczy się, znieczula, przestaje dopisywać swoją

cyfrę do sumy ogólnych postępów ludzkości, ulega zanikowi stopniowemu, lecz nieuniknionemu. Nie jest to bynajmniej pożądanym z przyczyn ogólnoludzkich i społecznych. Ale są też względy indywidualne. Jednostka posiada swoje prawa. Jednym z tych praw, będących poniekąd obowiązkiem, jest zdobywanie dla siebie szczęścia na drogach wszelkich, byle godziwych. Człowiek nie może i nawet nie powinien być wrogiem samego siebie. Jeżeli u końca jednej ścieżki spostrzeża jamę ciemną, a u końca drugiej wzgórze okryte kwiatami, pójdzie drugą i uczyni słusznie, bo posiada prawo wyboru niezaprzeczone. Uczyni nawet dobrze, bo cyferka jego zdobyczy i zadowoleń pomnoży sumę powszechnego bogactwa i szczęścia. Może świat dzisiejszy za wiele upędma się za bogactwem i dostarczanym przez nie użyciem, najpewniej nawet za wiele, jednak również zaprzeczyć nie podobna, że zabiegi, w tym kierunku dokonywane, są jedną z bardzo potężnych dźwigni świata. Nie należy stawać się ślepym bałwochwalcą prądów wieku, ale też nikt nie może ani ich przemóc całkowicie, ani bezkarnie im piersi nastawiać! One miażdżą to, co im jest przeciwne; a którokolwiek nie jest z nimi, jest przeciwko nim.

Mówił tak ciągle i z takim uniesieniem, jak gdyby zażarcie bronił tezy przed oponentami również zażartymi. Tymczasem jedyny słuchacz nie zaprzeczał mu wcale, ani razu nie przerwał mu mowy, słuchał. Kiedy prawie zdyszany od prędkiego chodzenia po pokoju i długiego mówienia Roman umilkł na koniec, Domunt rzekł:

— Mój drogi, na wszystko, coś powiedział, odpowiadać nie będę. Po prostu, nie mam prawa doradzać ani odradzać, bo jedna próba życia nie powiodła mi się fatalnie, a drugą zaledwie rozpoczynam. Próbuj ty także, czyn, jak ci wskazują twoje potrzeby i teorie. Zdaje mi się, że w tym wypadku potrzeby są matkami teorii, ale to do mnie nie należy. Prawa sądu nie mogę mieć nad nikim... ja, którym był sądzony...

Uśmiechnął się w sposób szczególny, krzywo, tak jakby

z trudnością przełykał coś gorzkiego; pod opłatkiem skóry struny nerwów poruszały się i drgały.

— Jedno tylko ci powiem... zdaje mi się, że nawet powinienem powiedzieć...

Zerwał się z krzesła i pochylony, obie dłonie oparł na ramionach dawnego przyjaciela.

— Zmiłuj się, Romku, nie popadaj zbyt w ten tańiec, za który już Żydów na puszczy opadały węże jadowite!

— Co to znaczy? — zapytał rozśmieszony trochę Roman.

Ale uśmiech zniknął mu z twarzy na widok zmiany, która zaszła w powierzchowności Domunta. Jakby weń prąd elektryczny uderzył, tak cały zatrzęsł się i zawrzał. Fala krwi okryła opłatkową białosć jego czoła i policzków, pod nią zadrgała sieć nerwów nadwrażliwych. Rysy wykrzywiły się przykrym uczuciem bólu zmieszanego z szyderstwem.

— To znaczy, mój kochany, żem ja w tej sarabandzie, którą teraz świat tańczy, przyjmował udział zapamiętały, zapamiętały... Cielec złoty na piedestale wysokim aż pod niebo, rozumiesz? Ach, jakże tańczyłem, skakałem, szalałem dokoła niego! Byłem sługą świątyni, rozumiesz? urzędnikiem i wspólnikiem przedsiębiorstwa finansowego wielkiego, ogromnego. Ubierałem ołtarz, celebrowałem, grałem... rozumiesz? na takim instrumencie, co to: *baisse, hausse! baisse, hausse!* Zdaje się, cóż może być lepszego? Najprostsza droga do miliona, a milion, to ta cyferka zadowolenia osobistego, którą się dopisuje do cyfry szczęścia powszechnego. Cha, cha, cha! Niech mię diabli wezmą, jeżeli myślałem o szczęściu powszechnym i jeżeli... przepraszam cię, Romku, jeżeli ty teraz o nim myślisz! Ale swoje trzymałem już w garści. Wtem krach! krach! krach! Runęło! Diabli musieli pękać ze złości, że stłukło się z kretesem jedno z najpiękniejszych ich narzędzi. Co się wtedy stało dokoła mnie... co ze mną! nie wiesz? tym lepiej! Powiem ci tylko to, że na sumieniu mam sto pudów. Ty nie rozumiesz, co to jest mieć sto pudów na sumieniu, i niech cię Bóg strzeże,

abyś zrozumiał kiedykolwiek. Później może opowiem ci wszystko... Były rzeczy straszne...

Obu dłońmi ścisnął czoło, ale zaraz potem wyprostował się i mówił znowu:

— Uniewinniono mię, a jakże! uniewinniono, bo działań umyślnych, świadomości jasnej tego, com czynił, nikt dowieść mi nie mógł. Niewinnym wstałem z ławy oskarżonych, niewinnym uznano mię tego morza nieszczęść ludzkich, z którego wyławiałem sobie milion. Niewinny jestem, rehabilitowany przez prawo, wolny jak ptak... ale w gruncie, w gruncie, w samym sobie, w uznaniu własnym, wiesz Romek? co tam rzeczy owijać w bawełnę!... łachmanem jestem, łachmanem zbrudzonym, starganym, poplamionym w tym miejscu, gdzie sumienie, i w tym, gdzie honor, i w tym, gdzie wspomnienia... Gdyby nie Stefan, dawno byłoby już po mnie, już byśmy z tobą spotkali się chyba na dolinie Józefatowej. Ale Stefan złapał mię za rękę. I wiesz, co on mi powiedział wtedy, kiedy złapał mię za rękę? Dziwny, kochany chłopiec! Powiedział mi wtedy: „Zbrudziłeś duszę, więc ją wypierz; zawiniłeś przeciwko Bogu, ziemi, ludziom, więc odpokutuj, spłać dług, wynagrodź!” Zrozumiałem. Całe moje szczęście w tym, że zrozumiałem. Nie wiem jeszcze, jak będzie, ale chcę duszę wyprać, spłacić długi, wynagrodzić... Stefanowi wdzięczny jestem bez granic... nie tylko za to, że jeszcze żyję, ale za to, że będę jeszcze żyć dobrze...

Roman, z niewysłowionym zajęciem i współczuciem słuchając tych zwierzeń urywanych i niezupełnych, myślał, że ta sprężystość charakteru, którą Domunt odznaczał się w latach młodości, istniała w nim i teraz. Przed chwilą wzburzony i zrozpaczony, uśmiechał się już dość swobodnie, a w oczach świeciła mu nadzieja i energia.

— Mam nadzieję — mówił — mam nadzieję, że wszystko dobrze pójdzie. Na innej wcale drodze, ale do czegoś dojdę, do czegoś, co nie jest byle czym... Skoro żyć nie przestałem, to i uszu nie opuszczę. Wyżej, dalej! Wyżej, dalej! Nie na tamtej

już drodze, na wcale innej, ale zawsze wyżej i dalej! Czy długo, Romku, zabawisz w Darnówce?

Po chwilowym milczeniu Roman odpowiedział wymijająco:

— Mam jeszcze prawie miesiąc czasu wolnego.

— A potem w świat!

— Tak; na koniec świata!

Wyjął z bukietu gałąź wrzосу i przypatrywał się jej w zamysleniu. Domunt patrzył na niego, chwilę milcząc, uważnie i przyjaźnie. Potem żartobliwie zauważył:

— Tak przypatrujesz się tej gałązce, jakbyś na niej coś wyczytywał!

Roman podniósł głowę.

— Czy myślisz, że takie rzeczy nie mają mowy? Mają! Nie ma nic, na czym by nie było czegoś wypisanego. Tak dawno tu nie byłem, że przyglądam się wszystkiemu i — czytam!

— Chciałbym wiedzieć, co wyczytujesz...

Roman ruchem popędliwym rzucił na stół gałązkę liliową.

— Co wyczytuję? A to przede wszystkim, że człowiek jest istotą nieloiczną, niekonsekwentną, złożoną chyba z kilku istot różnych, które mówią głosami różnymi, czują sercami różnymi i wolę rwą w kierunki różne...

Domunt zażartował:

— Proste przysłowie mówi w wypadkach takich: zjeść gorzko, a żal porzucić! Rzecz w tym, aby stanowczo coś wybrać, a czegoś się wyrzec. Raz, dwa, trzy! to mam, w garści trzymam i płacę za nie tamtym, czego się już wyrzekam...

— Właśnie też; takie wybory, wyrzekania się i płacenia jednym za drugie są diabelnie uciążliwe i drażniące. To cierpienie...

Domunt zaśmiał się.

— A ty chcesz życia bez cierpienia... cha, cha, cha! Mój drogi! Właźże lepiej pod niebo po gwiazdy... Gdybyś milion razy schodził z ziemi i na nią powracał, za każdym razem spot-

kałbyś się z takim murem, którego nie mógłbyś przebić głową, ale nie o to idzie!

— O cóż idzie? — zapytał Roman.

Domunt nie miał czasu na odpowiedź. Na wschodach dały się słyszeć szybkie kroki, Stefan wbiegł do pokoju.

— Kazio! — zawołał — już powiedziano mi na dole, że czekasz tu na mnie! Dobry wieczór, Romanie. Jeszcześmy się z sobą dziś nie widzieli. Niegościnnie to z mojej strony, ale przebacz, miałem zajęcia bardzo pilne.

Zwrócił się do Domunta.

— Wracając z łąki spotkałem ojca i byliśmy razem w Kaźmirówce.

— Ja tam byłem od wczesnego rana, a teraz przyszedłem, aby cię zapytać, co będzie z tymi ceglami, bo jeżeli ich wkrótce nie dostaniemy...

— Jakto nie dostaniemy! — przerwał Stefan — to tylko mała zwłoka, ręczę ci, że pojutrze rozpoczniemy już mularkę.

— Czy zauważyłeś, jak postąpił dach na stodole? To mój tryumf!

— I mój także; bo sposób, w jaki kryjemy twoją stodołę, zdobył aprobatę ojca i innych gospodarzy najwytrawniejszych. Za to ogrodzenie ani jeszcze zaczynane.

— To rzecz podrzędna. Idzie mi teraz głównie o roboty mularskie.

— Lękasz się być w zimie bez pieców! — zażartował Stefan.

Nie lękam się niczego, tylko chciałbym jak najprędzej zacząć. W Kaniówce nic wcale do czynienia nie mam, a robotnik bez zajęcia to materiał na szubienicę. Warsztatu potrzebuję.

— Wkrótce mieć go będziesz. Co się tyczy inwentarza, zrobiłem już rachunek, może teraz przejrzymy go razem.

Przy jednym ze stołów okrytych papierami zaczęli przeglądać jakieś rachunki i pograżyli się w tym zajęciu całkowicie. Łatwo było odgadnąć, że przedmiot czytania, któremu się od-

dawali, i wynikających z niego krótkich rozmów był dla obu bardzo ważnym i zajmującym. Stefan, od samego przybycia ożywiony i swobodny, teraz poweselał jeszcze więcej. Miał w spojrzeniu i dźwięku głosu radość bijącą z tajemnych głębin serca. Domunt znowu wydawał się pełnym energii i ochoty do tego, co tylko jemu i Stefanowi było wiadomym. W obejściu się jego ze Stefanem, obok poufałości przyjacielskiej, był odcień uszanowania. Roman przypatrywał się i słuchał, ale chwilami uwagę jego odciągało od rozmawiających przyjaciół coś, co od razu nazwał ptakiem błękitnym. Była to piosnka dochodząca z dołu, nucona przez głos kobiecy świeży i czysty. Ktoś, zapewne na ganku domu, nucił, on łowił uchem nutę piosnki i porównywał ją do ptaka błękitnego, który od kwiatów rosnących na dole wzbijał się ku gałęziom wiązu poruszającym się w górze za otwartym oknem. Gdy nucenie milkło, słuchał znowu rozmowy Stefana z Domuntem, aż kiedy przerwali ją na chwilę, wstał z krzesła i zbliżył się do dwu przyjaciół.

— Moi drodzy — rzekł — bądźcie łaskawi wtajemniczyć mnie w swoją magię. Bo tu jest jakaś magia. Rozmawiacie o płotach, piecach, krowach, koniach, dodajecie i mnożycie małe cyferki, a macie miny ludzi zdejmujących gwiazdy z nieba.

— Albo łapiących za ogon milion — zaśmiał się Domunt.

— O czym właściwie rozmawiacie i co was tak żywo zajmuje!

— Ani gwiazda, ani milion — odpowiedział Stefan. — Rzecz niezmiernie prosta. Kaźmierz bierze od nas w dzierżawę jeden z folwarków, które wykroiliśmy z Darnówki.

Roman z osłupieniem spojrzał na Domunta.

— Ty, Kaziu, masz być dzierżawcą małego folwarku, ty, taki dawniej ambitny i wysoko patrzący.

— A któż ci powiedział, że teraz nie patrzę wysoko? — z żywością przerwał Domunt.

— Ależ to być musi folwarczek bardzo mały!

— Mały — odpowiedział Stefan — jednak dziesięć razy przynajmniej większy od posiadłości naszych chłopów...

— Ależ to co innego...

— Naturalnie, że co innego; bo praca człowieka oświeconego wydobywa z piędzi ziemi to, czego człowiek ciemny z jej wielkiej płachty wydobyć nie potrafi.

Domunt zaś trochę złośliwie dorzucił:

— I wody potoku wylewające się za brzegi, gdziekolwiek spłyną, użyźnią jakiś kawałek gruntu.

Były to słowa przed godziną wypowiedziane przez Romana, i on doskonale pamiętał, że to powiedział. Zastanowił się trochę nad nimi. To prawda, jeżeli o „użyźnianie gruntu“ idzie... Machnął ręką i zaśmiał się z samego siebie. Puste słowa! W dążeniach ku miejscom tego świata najwygodniejszym albo najwyższym komu tam idzie o „użyźnianie“ jakiegokolwiek! Zawsze jednak wyznaczanie sobie miejsc niskich i ciasnych ma w sobie coś dziwnego i odstręczającego. Stając przed przyjaciółmi zaczął znowu:

— Zawsze jednak w głowie pomieścić mi się nie może, jakim sposobem człowiek mający prawo do wymagania od życia...

Domuntowi oczy błysnęły.

— Ależ wymagałem! wymagałem! — zawołał — aż przyszedłem był do tego, że i samego życia już nie chciałem!

Potem spokojniej mówił:

— Któż ci powiedział, że i teraz, osiadając na małej dzierżawce, nie wymagam od życia czegoś więcej nad kawałek chleba...

— Spodziewam się! — przerwał Roman — masz prawo wymagać czegoś więcej.

Ale przerwał mu Stefan:

— Trzeba przede wszystkim postawić kwestię jasno. Czym jest to, co daje człowiekowi prawo do czegoś więcej niż kawałek chleba. Urodzenie? Majątek? Stosunki?

— Nie — zaprzeczył z pośpiechem Roman — oświata i nauka. Myślałem tylko o oświacie i nauce.

— Te dają mnóstwo praw — potwierdził Stefan — a przede wszystkim jedno, najważniejsze prawo, rozróżniania zła i dobra.

Romana uderzyło to określenie zupełnie dla niego nowe. Możliwość rozróżniania zła i dobra, najważniejsze z praw udzielanych człowiekowi przez oświatę. To prawda. Pasztet potem już następuje. Pierwszą jest ta możliwość, ciemnocie mniej dostępna. Tylko znowu to zło i to dobro są rzeczami tak względnymi i podlegającymi zakwestionowaniu... Chodząc po pokoju powtórzył głośno:

— Zło i dobro... rzeczy względne i pod wpływami stref lub czasów rozmaitych sądzone rozmaicie. Ostatecznie, jeżeli się nikogo nie zabije, ani ograbi...

— Nie jest się kryminalistą ściganym przez kodeks prawny — spokojnie przerwał Stefan.

— I po wszystkim! — żartobliwie, lecz z rozdrażnieniem do ukrycia nie podobnym rzucił Roman.

— I po wszystkim! — śmiejąc się potwierdził Stefan.

Umilkli. Roman rzucił się na krzesło u okna i wypuszczając z ust nitki dymu papierosowego patrzył na liście poruszające się u szczytu wiązu. Stefan kreślił na papierze jakieś cyfry; Domunt, z głową opartą na rękę, zamyślił się smutnie. W dole, na ganku domu, warczała maszyna do szycia, ale po chwili umilkła i ptak błękitny wzbił się ku liściom poruszającym się na drzewie. Głos kobiecy nucił piosnkę, której nie tylko nuta, ale i słowa dochodziły tu wyraźnie:

Latem brzoźka mała
Z liściem rozmawiała:
„Rzucisz, listku złoty,
Mnie w jesienne słoty“...

I umilkła; maszyna zawarczała znowu. Rzecz była dość dziwną, ale to nucenie głosu dobrze znanego wzmagało nie-

pokój i rozdrażnienie Romana. Można by powiedzieć, że ptak błękitny dorzucał swoje słowo do rozmowy toczącej się w pokoju na górze i wplątywał się w jej przedzę. Roman wstał i chodząc po pokoju, znowu mówić zaczął:

— Ostatecznie, może ja ciebie, Kaziu, i rozumiem! Po jakichś wielkich burzach i przygodach, które przeżyłeś... po jakichś rozczarowaniach wielkich, które znać po tobie, taki sposób życia, takie zajęcia, takie stanowisko to przystań, port, odpoczynek... naturalnie, to rozumiem... ale czego nie rozumiem...

Uśmiechnął się.

— Czego nie rozumiem, to tego, że dopływając do portu tak nadzwyczajnie, tak arcy skromnego wydajesz się zadowolonym, prawie uszczęśliwionym, jakbyś przybijał do greckiego Sybarys...

Stefan wstał i po raz pierwszy od przybycia Romana popuścił mu dłoń na ramieniu.

— Mój braciszku — rzekł — to już jest magia, to należy zupełnie do dziedziny tej magii, o której wspominałeś przed chwilą...

— Albo, jeżeli wolisz — dodał śmiejąc się Domunt — jest tu w pasztecie, jak się twój stryj wyraża, taki trufel, który tak pachnie...

Śmieli się obaj, ale Roman z rumieńcem wzburzenia na policzkach i z przekąsem w głosie rzucił:

— W tym małym paszteciku jest taki wielki trufel...

— A tak — potwierdził Stefan — historia to zresztą bardzo pospolita, że na dnie rzeczy małych można odkryć wielkie.

— Trzeba tylko znać magię — z kolei zaśmiał się Roman, ale śmiech jego brzmiał fałszywie. Nie chciał przecież okazać uczuć, których doświadczał, i po chwili spróbował zmienić przedmiot rozmowy. Wskazał na kartki zapisane na stole.

— Co to piszesz, Stefanie?

— Prawie nic; zgromadzam trochę wiadomości etnogra-

ficznych o tych stronach i uszczęśliwiam nimi niekiedy jakiś organ specjalny.

— Dziwię się, kiedy możesz znajdować czas na rzeczy takie.

Stefan wzruszył ramionami.

— Jest to przesąd, że rolnicy nie mają czasu dla zajęć umysłowych. Mamy całe miesiące bezrobocia prawie zupełnego, długie wieczory jesienne i zimowe... Istnieją już doświadczenia w tym kierunku na skalę szeroką. Są kraje, w których drobni nawet rolnicy czytują...

Znowu wszyscy trzej umilkli. Domunt przerzucał kartki przez Stefana zapisane, tu i ówdzie przebiegając je oczyma. Roman stał u okna; patrzył na krajobraz, a po chwili przerwał ciszę pytaniem:

— Do kogo należy ten piękny pałacyk?

— Do Henryka Oławickiego — odpowiedział Stefan i może chcąc wynagrodzić gościowi to, co mogło być dla niego nieprzyjemnym w rozmowie poprzedzającej, uprzejmie ciągnął dalej:

— Może pamiętasz świetne kawalkady konne, z panów i pań złożone, które przejeżdżając się po naszych drogach budziły w nas niegdyś ciekawość i zachwycenie. Pochodziły one właśnie od Oławickich, z Górowa.

— Pamiętam. W tej chwili przypominam sobie także iluminację pałacu i jego ogrodów, której przyglądaliśmy się, jeżeli mię pamięć nie zawodzi, z tego samego okna. Tak, tak! Oławicki! I nazwisko to przypominam sobie teraz, choć bodaj słyszałem je wymawianym nieczęsto. Czy pomiędzy Darnówką a Górowem nie było nigdy stosunków bezpośrednich?

— Co za myśl! — zaśmiał się Stefan. — Darnówka posiada wobec Górowa zupełnie taki cenzus towarzyski, jak zagroda chłopska wobec Darnówki. Jakież więc mogły być stosunki?

— Jesteśmy wszyscy równi przed Panem — uśmiechnął się Domunt.

— Jesteśmy chrześcijanami — dokończył Stefan, a wzrok jego, jakby siłą niewiadomą pociągnięty, pobiegł ku krzyżowi na ścianie wiszącemu, i spochmurniał. Po raz pierwszy w ciągu tej rozmowy rysy jego powlekł wyraz surowości chmurnej i nieco nawet twardej.

W tej samej chwili z dołu, od niskich traw i kwiatów, ku gałęziom wiązu wysokiego przepojonym różowością zachodzącego słońca wzbiła się nuta i wlatywać zaczęły słowa piosenki:

„Nie bój się, o brzózko,
Choć za wolą boską,
Ciebie ja porzucę,
Znów do ciebie wrócę“...

— „Brzózka“! — zawołał Domunt — panna Irena „Brzóz-
kę“ śpiewa, a ja nieszczęśliwy jeszcze się z nią nie przywitałem.

Dwoma skokami już był na wschodach. Roman zstępując z nich ze Stefanem rzekł:

— Kaźmierz zawsze taki, jak był. Żywy jak iskra, przed-
siębiorczy i sprężysty...

— Była jednak chwila, w której energia i sprężystość opu-
ściły go zupełnie — odpowiedział Stefan.

Roman przypomniał sobie słowa Domunta: „Dawno byłoby
już po mnie, ale Stefan złapał mię za rękę!“ i zrozumiał, że
pomiędzy tymi dwoma ludźmi zajść musiało coś tak ważnego,
jak śmierć i życie.

Kiedy wychodzili na ganek, stary Darnowski wjeżdżał
w bramę dziedzińca na koniku niedużym, ale zgrabnym i z któ-
rego grzbietem zdawał się być zrosniętym, tak silnie na nim
siedział. Postawa jego, prosta i razem swobodna, miała w so-
bie śmiałość i grację doskonałego jeźdźcy. Z dala można by
go było wziąć za młodzieńca, ale siwe włosy dobywające się
spod czapki białały na zielonym tle dziedzińca jak lecący nad
zgrabnym mierzynkiem płatek śniegu.

Pani Paulina, siedząca na ganku ze swymi koronkami na-
przeciw szyjącej Ireny mówić zaczęła:

— Ach, ach, ach, jak się lękam dla Romualda tej jazdy konnej! W jego wieku i w ogólności nie trudno o jaki wypadek okropny. Ale z drugiej strony, dzięki Bogu, że on jest jeszcze taki zdrow i silny. Kiedy byłam młodą, uczył mnie konno jeździć, ale nie mogłam, zawsze byłam słabą i trwożliwą... Ach, ach, ach, jaka to musi być wielka przyjemność. Ale wszystkie przyjemności nie dla mnie, nie dla mnie... choć z drugiej strony, ot, i tylko co bardzo przyjemną godzinkę spędziłyśmy z Iruśią tu na ganku... Koronki swoje robiłam, ona szyła i śpiewała...

Roman stał przy Irenie.

— Nienawidzę, kuzynko, tej maszyny do szycia.

— Cóż ci ona złego wyrządzić mogła, kuzynie?

— Przeszkadzała pewnemu ptakowi błękitnemu wzlatywać w górę. Co chwilę chwycił go i co chwilę uciekał.

Patrząc na niego, żartobliwie zapytała:

— Jakiegoż to ptaka płoszyła moja maszyna? Może kraskę, bo ona tylko ma skrzydła błękitne?

— W ornitologii biegły nie jestem i nie potrafiłbym kraski ani poznać, ani nazwać. Mój ptak błękitny — to piosenka, którą nuciłaś...

Trochę zarumieniona, spuściła oczy na robotę, ale śmiejąc się odpowiedziała:

— Moje piosenki to w Darnówce ptaki bardzo pospolite, kto tylko chce, mieć je może.

— Czy uczyłaś się śpiewać, kuzynko?

Usiadł przy niej i przez kilka minut rozmawiali o muzyce i śpiewie, ale przerwało im upomnienie się Darnowskiego o wieczerzę.

Przy wieczerzy Domunt opowiadał, że wczoraj wracając z folwarku do Kaniówki spotkał się z Rosnowskim, który także skądś wracał, a zobaczywszy go zaraz z bryczki wyskoczył i kilka minut rozmawiał z nim na drodze.

— Powiedział mi, że tylko co otrzymał list od Marcelego.

Zdziwiłem się, bom nie wiedział, że oni korespondują z sobą, ale Rosnowski objaśnił, że ten list pisany jest w interesie moim i że wkrótce zakomunikuje mi treść jego. Ale ja z góry już wiem coś o niej.

Zamienili się spojrzzeniami ze Stefanem, który zapytał:

— A Swój czy mu towarzyszył?

— Mogłoby być inaczej? — odpowiedział Domunt. — Siedzieli obok siebie na bryczce i byli, jak się zdawało, bardzo z siebie zadowolonymi.

— Czy Swój mówił? — wtrąciła zapytanie Bronia.

— Bardzo mało, kilka słów tylko — z powagą odpowiedział Domunt.

— A co powiedział? — pytała się jeszcze dziewczynka.

— Niech Bronia zapyta się o to jego pana, gdy przyjedzie, co nastąpi bardzo wkrótce, bo Bohdan prosił mię, abym zapowiedział jego rychłą bytność w Darnówce.

Przy tych słowach pomimo woli rzucił okiem na Irenę, na którą pani Paulina już patrzyła i Bronia także.

— Iruś! Iruś! Iruś! — zawołała dziewczynka klaszcząc w dłonie. — Pan Bohdan ze Swojem przyjedzie. Ty będziesz rozmawiała z panem Bohdanem, a ja ze Swojem.

W twarzy Ireny nie drgnął żaden mięsień. Ani śmiała się, ani rumieniła, ani gniewała; nakładała potrawę na talerze i podawała je obecnym ze zwykłym spokojem w ruchach i wyrazie twarzy, nieco tylko więcej niż zwykle zamyśłonej.

Stary Darnowski jedząc odezwał się:

— Marceli mądry i wyższy człowiek, co tu robić, nie może znieść nędzy i poniewierki brata. Zaszczyt mu to przynosi, co tu robić, że chce go z sobą ciągnąć pod górę...

— Ależ ja przeciw nędzy i poniewierce protestuję! — zawołał Kazimierz.

Wtedy Darnowski przestał jeść i z bardzo pociesznymi gestami i minami pokazywać zaczął, jak nieumiejętny i niezgrabny robotnik dach kryje. Przed paru dniami widział Kazi-

mierza siedzącego na przezroczystym wiązaniu z krokwi i w towarzystwie kilku najemników robiącego w taki sposób dach na stodole. Nie umie jeszcze, ale to nic, że nie umie, bo nie święci garnki lepią, tylko że chudy jak świeczka i biały jak margrabina przy robotnikach barczystych i ogorzałych robi wrażenie nędzy...

— Niech tam będzie i nędza! — zaśmiał się Domunt — bom i naprawdę znędzniały. Sprawdził się tedy na mnie werset Biblii o wróblu na dachu.

Ale z pozoru przynajmniej nie brał tej swojej nędzy do serca.

— Zmężnieję — mówił — opalę się, nabędę umiejętności rozmaitych...

— Zobaczymy jeszcze, co Marceli pisze — zauważył Darnowski. — Taki człowiek, jak on, pisać musi, co tu robić, rzeczy piękne, wyższe...

— Nie po raz pierwszy czytać je będę — ze wzruszeniem ramion odrzucił Domunt.

Roman rozmawiał z panią Pauliną, a raczej słuchał jej przewlekłego i prawie nieustannego mówienia, w którym: nie i tak, z jednej strony i z innej strony spotykały się i rozmijały gęsto przeplatane westchnieniami: ach, ach, ach! Słuchał, prawie nie słysząc, bo daleko więcej zajmowało go to, co mówiono o Marcelim i Kazimierzu i dziwnym zajęciu tego ostatniego około krycia dachu. Co to jednak jest, to oranie, koszenie, krycie dachów? Prostota cynecynatowa? Demagogia robespierowska? Chyba nie; bo wszystko tu robiło się i działo zbyt po prostu na Cyncynata i zbyt łagodnie na Robespierre'a. Nie czuć tu było wcale togi rzymskiej, ani czapki czerwonej. Więc co? No, cóż znowu tak dziwnego, cóż takiego, aby trzeba było aż głowę sobie łamać nad tym? Czy nie jest mu to zagadką niezgłębianą dlatego tylko, że przywykł do umieszczania zjawisk pewnej natury koniecznie i tylko pod pewnym kątem? Myśl wydobywa się z przyzwyczajień jak koń

z grzęzawiska. Że oni tego nie czynią bez przyczyn jasnych i poważnych, tego może być pewnym znając stryja i Stefana. Błysnęło mu w myśli przypomnienie słów Stefana: „Jesteśmy chrześcijanami“ i wyraz twarzy, z jakim je wymówił. To, nad czym zastanawiał się w tej chwili, musiało być w związku z jakąś wiarą i zasadą, z czymś, w czym spoczywała „magia“.

Wieczera była skończoną; dziewczęta pierwsze wstały od stołu, za nimi poszedł do bawialni Domunt. Darnowski opowiadał jeszcze synowcowi o pożogach, które każdej jesieni pożerają w tych stronach mnóstwo wsi chłopskich. Wkrótce, za dwa, trzy tygodnie, każdego wieczoru ukazywać się poczną na skłonach nieba łuny ogniste.

— Dlaczegoż tak się dzieje? Z czego pochodzą te klęski periodyczne?

— Hm, jak ci to powiedzieć, kotku? Antropomorfy nie umieją urządzać się po ludzku... co tu robić?... nie umieją...

— Jak to antropomorfy? Kogo tak nazywasz, stryju?

— A chłopów, kotku, chłopów, co tu robić? Myślałeś pewno, że to są ludzie. Gdzie tam, kotku, są to, co tu robić, antropomorfy. Czy ja dobrze jeszcze pamiętam, co to znaczy: antropomorfy? Małpy najpodobniejsze do człowieka, prawda? Nazywają się jeszcze i prymatami, ale przyjmijmy już dla nich jedną nazwę: antropomorfy!

Dziwny jednak ten stary! Nigdy nie można powiedzieć na pewno, czy drwi albo mówi na serio! Ale teraz mniej niż kiedy Roman mógł zastanawiać się nad tym, bo z bawialni dochodziły dźwięki fortepianu i głos kobiecy, który śpiewał koniec piosnki rozpoczętej przed chwilą:

„Choć za wolą boską
Ciebie ja porzucę.
Znowu do cię wrócę;
Ujrzym lubą wiosnę,
Ja zieleńszy wzrosnę.
Będziem znowu z sobą,
Będę szumieć z tobą“.

Miły, śliczny głos! Twarz śpiewającej zanurzona w półcieniu, na którego tle uwypukla się jej wysmukła kibić w jasnej sukni. Domunt stoi w pobliżu fortepianu, także w półcieniu, plecami oparty o ścianę, z ramionami skrzyżowanymi na piersiach i nisko pochyloną głową. Widać, że muzyka sprawia na nim wrażenie bardzo silne, tak jak na wszystkich tych, którzy wiele cierpieli. Lecz któż nie cierpiał? Stryjenka, w starym, głębokim fotelu wyglądająca jak ptak osłabły i nastrzępiony, ma wyraz smutku dokoła ust i w oczach, w których nawet błyszczą łzy. Te blade oczy z miłością spoglądają na śpiewającą dziewczynę, na męża, na Romana, a żółte, splecione na kolanach ręce zdają się być uplastycznieniem westchnienia: „ach, ach, ach!“ Stary Darnowski słucha śpiewu Ireny uważnie, z takim skupieniem, jakby go słyszał po raz pierwszy; światło lampy wprost na twarz mu padając uwypukla jej zmarszczki i wklęśnięcia w taki sposób, że każda z tych zmarszczek i każde z tych wklęśnięć zdają się wraz z każdym tonem śpiewu powtarzać: „co tu robić? co tu robić?“ Przez drzwi otwarte widać Stefana siedzącego przy stole i patrzącego w książkę, której kart nie przewraca jednak wcale. Tuż przy nim Bronia z postawą poważną zwolna przeciąga rękę po sierści wielkiego psa podwórzowego, którego przed chwilą częstowała resztkami wierzery, a który teraz siedzi przed nią wyprostowany, z pyskiem zwieszonym i także słucha. Romanowi nikt nie przeszkadza słuchać z ręką na oczach, u otwartego okna, za którym w ciemności gwiaździstej szeleszczą z cicha bzy i spiree. Cóż osobliwego jest w tym śpiewie? Nic wcale. Słyszał mnóstwo razy głosy większe, ucześniejsze, pod każdym względem doskonalsze i wiedział dobrze, że słuchać ich będzie nadal, ilekroć zechce. Jednak w sposób niepojęty ogarniają go wspomnienia, marzenia i żale. Myśli, że tego głosu i śpiewanych przez niego pieśni prędko już nie usłyszy, może nigdy więcej nie usłyszy. Cóż stąd? Jakąż to sprawi szkodę lub stratę? Żadnej wcale; tylko mu — bardzo smutno!

Przestała śpiewać. Roman obrócił twarz w stronę fortepianu i zobaczył czoło, na które teraz padało światło lampy, gładkie i bladawe, a pod nim dwoje oczu w niego utkwionych. Błyszczące i niepokoju pełne zdawały się one coś badać, o coś zapytywać, czemuś się dziwić. Spotkawszy jego spojrzenie odwróciły się szybko, lecz nie tak szybko, aby nie mógł dostrzec ich wyrazu. Ach! dziwi ją jego wzruszenie! Spostrzegła, że jest smutny i może zapytuje samą siebie, jaką może być tego przyczyna! Czy podobna? Nie byłaby mu zupełnie obcą i, jak przypuszczał, nawet nieco wrogą? Albo czy ma go za tak wystudzonego, może zepsutego przez świat i życie, że nie przypuszcza, aby mu serce mogło uderzyć silnie na dźwięk pieśni z dawna znanej i znowu posłyszanej, posłyszanej w kole twarzy, do których może powiedzieć: „Moi!“ Krótki wyraz, pospolity wyraz, ale czyż ona mniema, że serce i usta jego nigdy go nie zapragnęły?

Teraz w roztargnieniu przebierała klawisze, aż z tonów i akordów oderwanych snuć się zaczęła pod jej palcami melodia łatwa, prosta, którą znał dobrze, zapomniał, teraz znowu pamiętał.

Tam na błoniu błyszczą kwiecie...

Jakie to staroświeckie! Trzeba przybyć do zapadłego kąta, aby spotkać się z tym jeszcze! Ale miłe jak wspomnienie kołębki i w nieskończonej prostocie swojej kryjące głębie dostępne tym, którzy choć raz w życiu kochali błonie okryte kwieciem.

Stoi ułan na pikiecie...

Stara legenda; stary sztych spłowiwały, szarzejący na ścianie komnaty opuszczonej i nagle rozbrły pod niezgasłym promieniem pamięci!

Dźwięki legendy tak dawne i rzewne, że kilka już pokoleń przy nich marzyło, wspominało, żałowało, rozpyływały się pod

niskimi sufitymi starego domu, wylewały się przez otwarte okna na bzy i spiree, ze szmerem liści leciały w zmrok gwiazdzisty.

A gdy zsiądę, prawo znane,
Jutro kulą w łeb dostanę...

Wstał, przeszedł pokój i stanął przy fortepianie, a gdy grać przestała, milcząc wyciągnął do niej rękę. Ona podniosła się z taboretu powoli, sztywnie i końcami palców zaledwie dotknęła jego dłoni. Spojrzenie jej obojętne, rysy zeszywniałe zdawały się mówić, że nie pojmuje zupełnie, za co dziękować on jej może, jaką przyjemność sprawiać mu mogą jej proste, dawne pieśni.

W kwadrans potem stary Darnowski przerywając rozmowę gospodarską z Domuntem i z synem, zbliżył się do siedzącego na stronie, zamyszonego synowca. Stanął przed nim, wpatrzył się bacznie w jego twarz posmutniałą i pobladłą, wstrząsnął głową, chciał coś powiedzieć, ale nie powiedział nic, tylko spojrzenie jego oczu ognistych stało się pod siwymi brwiami miękkiem, prawie pieszczotliwym. Położył mu dłoń na głowie i pochyliwszy się w czoło go pocałował. Roman zdjął z głowy tę dużą, zgrubiałą rękę i przycisnął do niej usta. Przypomniał sobie chwilę bardzo dawną, gdy dzieckiem będąc w zrujnowanym domu ojcowskim płakał z pobudek wcale niedziecinnych, a ten sam człowiek, tak samo jak teraz, rękę na głowie, a usta na czole jego opierając mówił: „Nie smuć się, Romku, nie desperuj! co tu robić? Wszystko naprawię!”

I naprawił. Ale teraz było wcale co innego.

V

O dość wczesnej, porannej godzinie Roman znajdował się na łące, w miejscu, gdzie rzeczka wypływając spod gęstwiny krzaków biegła wśród rozstawionych z rzadka cienkich brzózek i osinek. Gdzie indziej szersza znacznie, tu była tylko nitką srebrną wijącą się po kamykach czerwonych z metalicznym klekotaniem małego wodospadu. Tak jak woda śród drzewin, klekotanie to wiło się śród ciszy, będąc jej jedynym odgłosem stałym. Bo ptaki w drzewach to odzywały się, to milkły, bór nad łąką stojący czasem szumiał z cicha, czasem milkł, tylko woda po kamykach klekotała nieustannie, jednostajnie. Pod zaroślą krzaczystą i cienkimi drzewami pełno było cienia, a w cieniu wyraźnych barw i kształtów. Niektóre z drzewin chmiel obejmował w niezliczone skręty zieleni ciemnej, owieszanej gronami bladych kwiatów. Były to piramidy ze szczytami zaostrzonymi, u których wierzchołka listki osin, gdzie-niegdzie już zarumienione, poruszały się w powietrzu swoim drżeniem wiecznym i sprawiającym ciche furczenie, które słabym echem wtórowało klekotowi wody. Mnóstwo roślin z końcem lata rozkwitało powtórnie; marchwie dzikie tworzyły gaje zielonawo-białe, przytulie opuszczały na trawę zwoje żółtych koronek, u stóp boru iskrzyły się szafirem i purpurą wielkie kity żmijowców i krwawnic. Słońce ukryte jeszcze za borem przysyłało tu tylko skośne promienie, które osypywały wodę deszczem iskiek srebrnych, lecz trawy i kwiaty pozostawiały w cieniu chłodnym i wilgotnym. Niekiedy w głębi boru ozywało się chrapliwe krakanie wrony lub przeszywał powietrze ostry pisk krogulca; od dworu darnowskiego zaleciały parę

razy stępione przez odległość szczekania psów i stuki siekiery; potem znowu stało się cicho, tylko strumień klekoce po kamkach i różowe listki osin upowitych w chmiele drżą w powietrzu wtórując strumieniowi słabym furczeniem. Po błękitnym niebie idą zwolna stada obłoków białoszarych, puszystych...

Roman, który przebył już znaczną część łąki, stanął tu zatrzymany wdziękiem ładnego kącika natury. Miał na sobie ranne, modnie skrojone ubranie, palto zawieszane na ramieniu i połyskujące podszewką jedwabną, zgrabny, mały kapelusz na głowie, spod którego widać było jego ciemne włosy i dół twarzy otoczony wąskim zarostem. Ze zwojami dzikiego chmielu nad głową, ze swawolną nicią strumienia u stóp zanurzonych w trawach brązowych i zmoczonych rosą, miał z dala pozór figurki z żurnalu mód wyciętej i skądciś tu przywianej. Z bliska przecież można byłoby dostrzec na twarzy jego ślady nocy przespanej niedobrze. Wczoraj do bardzo późna słuchał świerszczów grających w trawie i ech różnych, którymi dzień ubiegły ozywał się mu w sercu i głowie.

Był tak zamyślony, że nie słyszał kroków, lekkich wprawdzie, które z tyłu zbliżały się ku niemu, i usłyszał dopiero głośnie klaśnięcie w dłonie połączone z okrzykiem:

— Dzień dobry! Ranny dziś ptaszek z Romka!

Była to Bronia, która jak prawdziwe dziecko cieszyła się, że go znienacka zaszła i może nastraszyła. Naturalnie, że nie zląkł się, jednak podając rękę dziewczynce, nie zaraz odpowiedział na jej powitanie. Patrzył dalej nieco, ku borowi, gdzie na stoku pagórka obrosłego sosnami stała Irena. Stała wśród kilku sosen z dala od siebie rosnących, w klombie paproci zielonych i rdzawych. Paprocie były wysokie i wyrastały kępami z mchu szmaragdowego. Kobieta w jasnej sukni do kolan w nich zanurzona miała pozór wysmukłego kwiatu wynurzającego się z gęstych zwojów koronek leśnych. W kapeluszu słomianym, którego brzeg szeroki twarz jej ocieniał, z koszy-

kiem zawieszonym na ręku, stała w postawie wahającej się i niepewnej. Niezawodnie wolałaby niepostrzeżenie prześliznąć się brzegiem lasu i uniknąć spotkania niepożądanego. Roman odgadł to z jej postawy i podniósł rękę do kapelusza, aby z dała ją powitać, ale ona sama wyszła z paproci i prędko po łące szła ku niemu. Uprzejmość i gościnność wzięły w niej górę nad niechęcią. Niedaleko strumienia dzwoniącego po kamkach podali sobie na powitanie ręce sztywne i chłodne. Na gle przecież rysy Ireny zmąciły się zaniepokojeniem.

— Co ci jest, kuzynie? Wyglądasz blado i mizernie? Czy nie czujesz się chorym?

Od żywości i dobroci, z którymi wymawiała te zapytania, było takie ciepło serdeczne, że Roman, sam nie wiedząc jak i kiedy, rękę jej do ust poniósł.

— Dziękuję ci, kuzynko, jestem istotnie chorym, ale na taką chorobę, z której człowieka wyleczyć może tylko jego wola własna.

Szybko cofnęła mu rękę, ale z rozbłyśniętymi oczyma zapytała:

— Jakaż to choroba, kuzynie?

— Kaprysy — odpowiedział — nic, tylko kaprysy.

Po czym patrząc na strumień powoli mówił dalej:

— Człowiek goni marę, która się mu pięknie wyśniła, a gdy ją pochwyci, już jej nie chce, i gryzie się tym, że nie chce; czego by zaś chciał, sam nie wie dobrze.

Słuchała uważnie, potem z uśmiechem, który jednocześnie wytryskał na ustach i w oczach, odpowiedziała:

— To jest rzeczywiście jakiś człowiek kapryśny. Nie znam jeszcze takiego.

— Poznajże teraz — z żartobliwym ukłonem rzekł Roman. Równie żartobliwie dygając odrzekła:

— Bardzo mi smutno.

— Poznawać takiego człowieka?

— Tak; bo jemu na świecie i świecie z nim nie musi być wesoło.

— O, o! dlaczegoś światu z nim? Cóż on biedny winien przeciw światu?

Pomyślała chwilę i trochę wahając się, z cicha odpowiedziała:

— Może to, że świat jest dla niego tylko dodatkiem...

— Do czego?

— Do niego samego.

Roman był zdziwiony.

— Masz na myśli samolubstwo, kuzynko?

— Mniej więcej — zaśmiała się. — To jest taka deklinacja: ja, moje, mnie, dla mnie, o mnie, przy mnie, we mnie...

W tej chwili Bronia z pękiem kwiatów, które zrywała nad strumieniem, przybiegła wołając:

— Iruś, idźmy już! Jeżeli ciągle robić będziemy takie popasy, chyba wieczorem przyjdziemy do Kaźmirówki. Bo to już drugi popas! Pierwszy był w Wolince...

Rzuciła ręką w stronę lasu, z którego przed chwilą wyszły.

— Panie idą do Kaźmirówki — zawołał Roman — ja także!

— W takim razie ja tam nie pójdę — rzekła Irena.

— Czy dlatego, aby w towarzystwie człowieka kapryśnego nie było ci, jako częścce świata, smutno?

— Po części dlatego, ale głównie, że ta wycieczka staje mi się już niepotrzebną. Miałam tylko zaprowadzić tam Bronię...

— A po cóż Bronia potrzebna w Kaźmirówce?

— Bo tam dziś Lunia na cały dzień przyjedzie — objaśniła dziewczynka.

— A któż to taki Lunia?

Bronia parsknęła śmiechem.

— O Boże, czyż nie Australczyk z Romka? Na pięć minut dziesięć zapytań.

Lunia, to siostra najmłodsza pana Kazimierza, rówieśnica i serdeczna przyjaciółka Broni. Przyjeżdża często z Kaniówki do świeżo zakładanego folwarku, trochę dlatego aby gospoda-

ryć u brata, trochę... tak sobie... dlatego że jemu to przyjemnie. Dziś właśnie ma tam przybyć, i Irena przyrzekła wczoraj przyprowadzić Bronię, aby dziewczynki dzień ten razem spędziły.

— Ponieważ tam idziesz, kuzynie, powierzam tę małą opiece twojej, a sama powracam do domu. Dziś tygodniowe pieczywo chleba i rozdział jego pomiędzy czeladzią, przy którym muszę być obecną.

— Chciałbym zapytać: po co? ale boję się Broni.

— Idźmy już, bo Lunia na mnie czeka.

Ale Romanowi wcale nie było pilno odchodzić. Chciał bardzo powiedzieć Irenie, że ten długi pas łąki ścielący się u stóp wzgórza zarosłego lasem, z zakrętem, który kres jego tajemniczo ukrywał za wzgórzem, zdawał się wołać na patrzącego: „Chodź! chodź!” Chciał bardzo powiedzieć: „Chodźmy razem!” Jednak nie powiedział, bo u niej błysk ciepła serdecznego, a potem wesołości poufalej zniknął już bez śladu. Spokojnie i z dala, nie podając mu nawet ręki, skinęła głową na pożegnanie.

— Do widzenia. Opiece twojej, kuzynie, powierzam tę małą. Odprowadź ją do domu, gdy sam wracać będziesz.

Odeszła w stronę Darnówki. Roman patrzył za nią i myślał, że ranne przechadzki oblewają twarze młodych kobiet świeżością jutrzeńki, a oczy ich napełniają blaskami nieba. Irena była dziś świeża jak jutrzeńka, a w oczach jej parę razy i najwyraźniej w świetle dostrzegł niebo. Szła brzegiem strumienia po kępach nierównych i trawach splątanych krokiem tak równym, jakby miała pod stopami gładką posadzkę. W chodzie jej był rytm linii nie zakłócony krzywizną żadną, siła i zdrowie ciała zżytego z naturą. Gdy za coraz oddalającą się patrzył, wzrastała w nim chęć zawołania: „Wróć się i chodźmy razem!”, aż uczuł, że gdyby cudem ona sama wróciła i ukazując szlak łąki powiedziała mu: „Chodźmy razem!”, byłby niewypowiedzianie, ogromnie szczęśliwym. Ale na to trzeba było chyba cudu.

Bronia ociąganiem się jego do ostatka już zniecierpliwiona wsunęła mu rękę pod ramię i bez ceremonii pociągnęła go na przód. I czego to było przypatrywać się tak długo Irusi odchodzącej? Poszła do domu, bo jej pilno do różnych zajęć, i koniec! Ona w swoją drogę poszła, a im trzeba iść w swoją jak najprędzej, bo Lunia czeka. Wstały dziś z Irusią bardzo wcześnie, o całą godzinę wcześniej niż zwykle, właśnie z powodu tej wycieczki, ale idąc zboczyły do Wolinki...

— Cóż to takiego ta Wolinka?

— Jakto co takiego? Wieś...

— Prawda; teraz nawet trochę ją sobie przypominam. Taka duża wieś, która niegdyś należała do Darnówki. Po cóżście tam chodzili?

— Jakto po co? Kondratkowej syn bardzo chory.

Roman zaśmiał się i z imienia, i z pewności Broni, że każdy musiał wiedzieć o istnieniu Kondratkowej i o tym, dlaczego Irena do niej chodzi. Aby podrażnić się z dziewczynką zapytał jeszcze:

— A któż to taki ta Kondratkowa?

Tak jak się spodziewał, Bronia trochę ze śmiechem, a trochę z irytacją zawołała:

— No, czyż nie Australczyk z Romka! — a zaraz potem z żywością wielką wytrzepała przed nim całą historię jakiejś rodziny chłopskiej, jej szczęście i nieszczęście, wraz dziesiątkiem różnych imion i zdarzeń.

Kiedy skończyła, Roman rzekł:

— No, dobrze, niech już ja będę sobie Australczykiem, a Bronia niech mię z krajami nieznanymi poznajamia. Zgoda?

Podniosła głowę i spod szerokiego brzegu kapelusza spojrzała na niego ze zdziwieniem w błękitnych oczach.

— A po cóż to Romkowi? Za kilka dni pojedzie sobie znowu i może nigdy już nie wróci.

Nie odpowiedział nic, tylko pomyślał: „Ten drobiazg ma słuszność. Po co?” Myślą wrócił do Ireny. Skąd jej przyszła

do głowy ta zabawna deklinacja: ja, moje, mnie, dla mnie, przy mnie, we mnie itd.? Śpieszno jej było do asystowania przy pieczywie i rozdzielaniu chleba! Ochmistrzyni! A przy tym słowik domowy i troszkę — filozofka. Bo jest tu i filozofia jakaś! Ja, moje, mnie, dla mnie, we mnie... Jakże się to godzi z doglądaniem pieczywa? No, naprawdę, dlaczegóżby godzić się nie miało? Nawet to bardzo naturalne, że się godzi, bo to pieczywo, to nie ja, nie moje, nie dla mnie... Przypomina sobie doskonale takie bochny chleba razowego wielkie, ciemne, ze wzorami liści klonowych na białym od mąki spodzie, z zapachem, który, zdaje mu się, że w tej chwili czuje. W oddalonej przeszłości swojej, w tej samej Darnówce, widywał często stryjenkę rozdzielającą pomiędzy ludzi takie pachnące bochny. Na Darnówce ciążyły wówczas długi, on wie jakie, oboje właściciele jej pracowali dużo i usilnie. Teraz jedno z nich osłabło i już nie może. Wyręcza je Irena. Zamiast w towarzystwie baronowej Lamoni bujać po zagranicy dogląda pieczywa... Nie ja, nie moje, nie mnie, nie dla mnie... Czy to jutrenka wschodzi za wzgórzem porośłym sosnami i bije ku niemu jakimś światłem nieznanym?

Skřęcili razem z łaką za wzgórze porośłe sosnami i stanęli wobec krajobrazu rozległego, tego samego, który zajmował przestrzeń widzialną z okna pokoju Stefana. Za żółtymi ściernikami, poplamionymi przez ciemne płachty ziemi świeżo zoranej i przez majową zieloność łanków końskiego zębu, pałacyk Oławickich w potężnej grupie drzew świecił białością olśniewającą. W innej stronie — inny punkt biały, dalszy, lecz jeszcze dość wyraźny, aby rozpoznać, że jest nim kościół. Tuż pod wzgórzem, do boku jego jednym krańcem przyczepiona, niwka gryki kwitnącej. Można by mniemać, że na ten kawałek ziemi spadł śnieg gęsty, gdyby spod białości puszystej nie przebijały się na kształt sieci żyłek czerwone łodygi i listki.

Roman stanął i towarzyszkę swoją zatrzymał.

— Patrz, patrz! znowu pałacyk górowski! Zewsząd go wi-

dać! A tam to kościół parafialny zawrocki, prawda? Jakaż ta gryka biała! Aż oczy mrużą się od tej białości.

Obejrzał się na przebytą drogę. Nad łąką wznosiła się para lekka, której nie spostrzegął, gdy przez nią przechodził. Już też zaczynała się rozpraszać, ale jeszcze tworzyła mgiełkę, w której drzewa i krzaki stały jak w porozdzieranej krepie srebrnawej. Wilgotna świeżość wiała stamtąd i trochę tej tajemniczości, którą mają cienie leniwie usuwające się przed pełnią światła. A pole było zupełnie suche, ciepłe, jasne; przeważał na nim koloryt złoty, wśród którego pałacyk górowski, kościół daleki i niwka gryki olśniewały blaskiem rzeczy białych, gdy uderza w nie z całą siłą światło słoneczne.

Bronia wyciągając szczupłe ramię wskazywała różne punkty widnokregu.

— Tak; to jest kościół zawrocki, a zaraz za nim ten koniuszeczek, koniuszeczek ogrodu z topolami, to dwór zawrocki państwa Rosnowskich.

— Wiem, wiem, pamiętam Zawroć...

— Reszty dworu stąd nie widać, zasłania go kościół i ten las... to jest dębowy las przy samym dworze. A ta wieś co tam daleko, nazywa się Żwirówka, a ta bliższa — Horniczka... Naszej Wolinki stąd nie widać, bo za lasem, tylko ot, widać Romek, ten dym, co podnosi się nad drzewami tam daleko, daleko... to z Wolinki... tam, między małym laskiem a wielkim borem jest Wolinka...

— I Kondratkowa?

Ale ona w zapale nie zważała na przerwę.

— Stąd też i Kaźmirówkę widać. Niech Romek popatrzy dobrze i zgadnie, gdzie Kaźmirówka?

— Może to ta gromada drzew przy drugim brzegu łąki, nad samą rzeczką...

— Zgadł Romek. Bliżej byłoby dojść tam z Darnówki przez łąkę, ale rzeczka przegradza. Niektórzy chodzą po kładce, ale my wolimy trochę dalej... Kawałek łąki obchodzi się

polem, i już! A właśnie tu jest najładniej, bo stąd całą łąkę widać, i Górów, i Zawroć, i tyle, tyle pola, kochanego pola...

Roman ciekawie popatrzał na szczebioczącą dziewczynkę. Boże wielki! Ten dzieciak już naprawdę kocha te pola! „Tam na błoniu błyszczy kwiecie“...

— Którędyż teraz pójdziemy, Broniu?

— Tą drogą koło gryki, a potem tą miedzą, co to taka cała błękitna od cykorii.

— Widzisz, Broniu; lepszą jesteś, niż się to zdaje tobie samej. Nie chciałaś z początku poznajamiać mię tu ze wszystkim, a teraz mówisz, jak się nazywają nie tylko miejsca, ale i kwiaty.

Dziewczynka zmieszała się trochę.

— Cóż mi to szkodzi — szepnęła — jeżeli mogę zrobić przez to Romkowi choć najmniejszą przyjemność, to i owszem.

Nagle krzyknęła:

— Oj, Boże, jakież pyszne rumianki! Widzi Romek, te krzaki całe w kwiatach żółtych jak słońca na miedzy i na polu... tam... i tam... i tam! To jest rumianek farbierski. Nasze chłopki czyszczą nim dzieże i dlatego nazywa się on u nich dzieżnik.

— Prawdziwy botanik z Broni. Znasz po imieniu wszystkie kwiaty!

Szli właściwie nie miedzą, ale tak zwaną granicą rozdzielającą grunta do dwóch właścicieli należące. Miedze bywają wąskie; tu szeroki pas zielony ciągnął się pomiędzy łąnem żętym a innym, świeżo pod zasiew jesienny zorany. Drzewiaste i rozgałęzione łodygi cykorii, z poprzączepianymi do nich gwiazdami błękitnych kwiatów, rosły na niej tak gęsto, że nadawały jej kolor błękitny, który gdzieniegdzie centkowały krzaki rumianów żółtych, wysokie baldachy białych biedrzeńców i marchwi, szkarłatne kity szczawiów grubych jak miotły. Wszystko to zmieszane z lasem brązowych mietlic tworzyło gęstwiny takie, że trzeba było je obchodzić zbaczając na ścier-

nisko lub przedzierać się przez nie jak przez niską puszcę. Bronia co chwilę to opuszczała towarzysza, to wracała do niego ze wzrastającym wciąż w ręku pękiem roślin.

— Jeszcze trochę — zaśmiał się Roman — a nie udźwigniesz już tego snopa. Przestań wędrować to tu, to ówdzie i idźmy już ciągle razem.

— Dobrze — z chętną uległością odpowiedziała i znowu drobną rękę wsunęła mu pod ramię. Po chwilowym milczeniu Roman z niejakim wahaniem w głosie zaczął:

— Powiedźże Australczykowi i to jeszcze: dlaczego właściwie kuzynka Irena nie chciała odjechać stąd z baronową?...

Stopami w grubym obuwiu poważnie obok niego drepząc, a co chwilę wypłutując je spomiędzy twardych łodyg cykorii, podniosła głowę i spod słomianego kapelusza popatrzyła na niego oczyma znowu zadziwionymi.

— Jakże można pytać się o takie rzeczy? — odpowiedziała.

— No, cóż tak dziwnego znajdujesz w moim pytaniu?

— Naturalnie, bo Irenka jest tu potrzebną, a gdzie kto jest potrzebny, tam siedzi.

Aha! „Stoi ułan na pikiecie!“

— Krótko i węzłowato powiedziałaś. Ale komuż Irenka tu potrzebna?

Jeszcze większe zdziwienie Broni i bardzo energiczny gest ręki dźwigającej nieprawdopodobnie wielką miotłę z kwiatów.

— Oj, Boże! ależ wszystkim! Tatce, mamie, Stefkowi, mnie...

— Kondratkovej — wtrącił Roman.

— I Kondratkovej — potwierdziła z zapalem — całej Dar-nówce, całej Wolince...

— No, dobrze, dobrze, już rozumiem. Ale każdy człowiek i o sobie także myśleć musi...

— Więc cóż?

— Więc to, że gdyby kuzynka Irena pojechała z baronową, mogłaby być szczęśliwszą, niż jest teraz...

— Dlaczego?

— Teraz ja powiem, że Bronia jest Afrykanką, bo pyta się o rzeczy, które w Europie wiadome są każdemu. Dlatego że mogłaby świata dużo zobaczyć, bawić się wesoło, brać dużą pensję, wyjść dobrze za mąż.

Bronia zamyśliła się, ale po chwili przecząco wstrząsnęła głową.

— Ja nie wiem, ale Irusia nie byłaby tam szczęśliwą...

— Dlaczego?

— Bo ona kocha nas, Darnówkę...

— Kondratkową — wtrącił znowu Roman.

— Kondratkową — z głębokim przekonaniem powtórzyła.

— Mogłaby się odzwyczaić. Człowiek może się odzwyczaić od najmilszych rzeczy i ludzi...

Dziewczynkę mieszała trochę ta dysputa.

— Ja nie wiem — powtórzyła — ale słyszałam, jak Irunia po wyjeździe pani baronowej mówiła do tatki: „Ja bym tam umarła i z tęsknoty, i ze zgryzoty sumienia...”

Tak, tak!

„A gdy zsiądę—prawo znane,
Jutro kulą w leń dostanę...”

Górne! Ale któż na świecie myśli o górności takiej? Archajizm, utopia! Chociaż kto wie... On wdrapywał się na górę zupełnie przeciwległą, i cóż?... jak? No, nic, wcale nieosobliwie...

— Czy Bronia pamięta, jak to tam w tej piosnce, którą kuzynka Irena wczoraj przy fortepianie śpiewała: „Ty pójdiesz górą, ty pójdziesz górą”... A dalej jak?

Szeroki brzeg słomianego kapelusza podniósł się wysoko nad gorąco zarumienioną od przechadzki twarzą dziecinną, a spod niego głosik bardzo cienki i trochę fałszywy zaśpiewał bardzo głośno:

Ty pójdziesz górą, ty pójdziesz górą,
A ja dolinę,

Ty rozkwitniesz różą, ty rozkwitniesz różą,
A ja kaliną!

— Tak, górą i doliną... — w zamyśleniu powtórzył Roman. Po czym zupełnie do samego siebie, ale półgłosem, powiedział:

— Tylko że nigdy nie można być pewnym, co na świecie jest górą, a co doliną...

Dziewczynka dosłyszawszy te słowa zaśmiała się głośno i serdecznie.

— Oj, Boże! Co Romek wygaduje! Chyba w Australii ludzie nie umieją rozpoznawać na pewno, co jest górą, a co doliną. To już ja nawet wiem dobrze!

— I pewno lepiej wiesz o tym ode mnie, moja ty siostrzyczko!

Trochę ze śmiechem, a trochę z rozrzewnieniem zajrzał pod słomiany kapelusz i ogorzałą łapkę na jego ramieniu leżącą silnie uściskał. Uczuł, że to stworzenie świeże, żywe i roztropne było mu drogim, a imię siostry, które mu dawał — bardzo miłym. Ona ciemnymi paluszkami na wzajem ściskając mu rękę swawolnie podniosła do samej jego twarzy swoją olbrzymią wiązkę kwiatów.

— Niech Romek powącha! pachnie, prawda?

Pachniało miętą, miodem i migdałami. Pełną piersią wciągnął w siebie te mocne i rzeźwe wonie, wyprostował się, zdjął z głowy kapelusz i ze spojrzeniem zawieszonym na obłoku szarym, stojącym pod morzem błękitnym z cicha rzekł:

— Dobrze!

Czuł, że jest mu tak dobrze, jak nie było już bardzo dawno.

W tej chwili Bronia wyrwała się mu spod ramienia i z wesołym okrzykiem: „Lunia! Lunia!“ pobiegła naprzód.

Od bliskiej już gromadki drzew rozłożystych, zza których błyskała żółtość świeżo sposzytej strzechy, szła na spotkanie przybywających dziewczynka nieco wyższa od Broni, wątłejsza, z główką utopioną w wielkim bogactwie czarnych włosów.

Z tej gęstwiny czarnej wynurzał się jak z chmury owal twarzy bladawej, szczupłej, bardzo delikatnej.

Sam sobie pozostawiony, bo natychmiast po spotkaniu się dziewczęta go opuściły, Roman objął wzrokiem małe podwórko odgrodzone od pola płotkiem z długich dylów, widocznie tymczasowym, bo niziutkim i miejscami poprzerywanym. Pod grupą drzew, zza których pobłyskiwała rzeczka, domek stary, lecz jeszcze mocny, świeżo znać powiększono, bo kawałek ścian żółtych odbijał od czarności tych, które stały już przedtem. Wyglądało to na łataninę: jedno okna były nowe, inne stare; część strzechy złota od świeżutkiej słomy, a część zielonkawa od drobnego meszku. Na świeżo zbudowanej stodółce tylko połowa dachu była ukończoną, druga rysowała się na tle nieba suchymi liniami nagich krokwi. Para jeszcze budynków mniejszych i większych, kawał ogrodu zasadzony warzywem, sterczący cienkimi pniami młodych drzewek owocowych, świecący gromadką ulów błękitnych — i nic więcej. Dość pusto i nieopętnie. Tylko drzewa grube i rozłożyste stanowiły ozdobę miejsca i uciechę oczu. Właśnie teraz jarzębiny były ubrane w grona jagód czerwonych, które iskrzyły się gdzieś pośród kłonów i dębów. Najwyższy jesion już nieco żółkł u szczytu, w dole, za ogrodem, czerniało gęste zarośle leszczynowe.

W pobliżu stodółki do połowy pokrytej, pośród białego wzgórza wiórów i drzewnego miału, dwaj ludzie stojący na dość wysokich klockach piłowali kłodę drzewa złożoną na kozłach. Roman zbliżał się do nich w celu zapytania o Domunta, gdy piła przestała zgrzytać i jeden z traczy szybko zeskoczył z kłoca.

— Romek! jak się masz! Bóg zapłać, że przyszedłeś! Spodziewałem się zresztą tego, ale nigdy bym nie przypuszczał, że zdołasz wstać tak wcześnie. Gdzież Bronia? Już z Lunią zapewne. To dopiero dzień szczęśliwy! Moje złote dziewczątko przy mnie i ty przyszedłeś, mój stary chłopcze! Nie śmiej się!

stary! bo stare to czasy, gdyśmy razem łacinowali, łobuzowali, i — złote sny śnili!

Rękawem płóciennej kurty ocierał z czoła pot kroplisty, a drugą ręką, od piły zaczerwienioną, mocno ścisnął i wstrząsał rękę Romana. Mówił, jak zwykle, dużo, prędko, i wydawał się w humorze złotym. Oczy świeciły mu wesołością, wargi były purpurowe. Spojrzał na słońce, potem na towarzysza pracy stojącego przy kłodzie i zawołał:

— Czas południować, bratku! Zawołaj tamtych z dachu i idźcie jeść śniadanie.

A do Romana rzekł:

— Głodny jestem, że zjadłbym wilka pieczonego. Od dwóch godzin już piłą robię.

Roman zauważył:

— Nauczyłeś się godzinę poznawać według słońca.

— Po trochu, mój drogi. Cóż chcesz? piłując albo dach kryjąc nie podobna mieć w kieszeni zegarka...

— Zmieniasz zajęcia... sposób doradzany podobno przez higienę.

Szli ku domowi. Domunt popatrzał na towarzysza.

— Zdaje mi się — rzekł — że trochę ironizujesz... Czuję to w głosie twoim. Nie obrażam się wcale, ale pożałuj samego siebie i przestań głupstwa myśleć...

— Mnie bo się zdaje — z żywością odparł Roman — że to ty... że to wy głupstwa robicie. Bo po co ci taka robota? Czy nie jesteś w stanie nająć jednego robotnika więcej?

— Prawdę mówiąc — odpowiedział Domunt — położenie moje jest takim, że każdy grosz oszczędzony, choćby najmniejszy, stanowi rzecz ważną. Kaźmirówkę biorę w dzierżawę za pieniądze pożyczone od matki. Ale gdyby i nie to, powiedz mi z łaski swojej, dlaczego właściwie nie mam pracować w ten właśnie sposób? Dlaczego? no, pomyśl tylko i powiedz: dlaczego?

— Ależ tu wcale i myśleć nie ma potrzeby! Po prostu dla-

tego, że uczyłeś się, że sposobileś się do czego innego, że jesteś człowiekiem oświeconym, wyższym...

Po małym podwórku rozległ się śmiech Domunta, lecz nie wesoły, tak jak przedtem, owszem, goryczą ostrą zaprawiony.

— Wyższym! ja jestem człowiekiem wyższym!

Pochwycił rękę Romana.

— Ach, Romku, chyba ty sobie żartujesz ze mnie! Nie żartowałeś? Wierzę, ale nigdy już nie dotykaj we mnie tej struny, która milknie, kiedy piłuję lub coś podobnego robię, ale gdy się odezwie, stu diabłów chciałbym spiłować, aby ją tylko zagłuszyć. Moja wyższość! Dajże pokój! Od kogo ja mam być wyższym? Zdaje się, że nie ma takiego robaka...

Nie dokończył i uspokoił się wkrótce.

— Zresztą, gdyby i nie to... Pycha, mój drogi, słusznie w katechizmie stoi na czele grzechów głównych. Słusznym też jest rozkaz dawany na chrzcie świętym wyrzekania się pychy. Pokora może być służalstwem i podłością albo rozumem i cnotą. Co do mnie, całe moje szczęście w tym, że po tym, co ze mną było, potrafiłem być pokornym. Ale to ty wszystko możesz wiedzieć i rozumieć równie dobrze jak ja albo i lepiej ode mnie, tylko masz głowę wypchaną pacierzem za panią matką i dlatego dziwisz się bez przyczyny. Trzeba, abyśmy z sobą pomówili obszernie. Tylko nie teraz. Teraz głodnym jak wilk. Zjesz ze mną śniadanie? prawda? I cały dzień w Kaźmierówce przepędzisz? Co ci to szkodzi? Nie masz teraz nic do czynienia. Ja po śniadaniu muszę wrócić do roboty, ale ty sobie z dziewczętami pogawędzisz, poczytasz, mam tu parę książek, a około wieczora siądziemy pod drzewami nad rzeczką i długo pogawędzimy... Dobrze? Opowiem ci wszystko, mój dobry, stary chłopcze!

Roman ucisnął mu rękę, stanęli obaj pod oknem otwartym, znajdującym się w starej części domu. W nowej nie było jeszcze pieców; tu ogień palił się na dużym kominie, a przy nim w towarzystwie czy pod dowództwem starej kobiety ubra-

nej po wiejsku Bronia i Lunia krzątały się szczebiocząc. Właściwie szczebiotała Bronia; Lunia spostrzegłszy brata zwróciła ku niemu twarz bledziutką, w czarną gęstwinę włosów oprawioną i przemówiła:

— Będziesz miał dziś, Kaziu, na śniadanie takie kartofle, jakie najlepiej lubisz. Sama ci je przyrządzam.

Mówiła i poruszała się z powagą, głos jej był przyciszony i melodyjny. Miała pozór boginki dozorującej garnka kuchennego.

— Byleby prędeż, maleńka, bo jeść mi się chce piekielnie i — gościa mamy!

Odeszli od okna i skierowali się ku rzeczce.

— Jaka ona ładna! Prawda? — zapytał Domunt.

— Kto? twoja siostra? Śliczna istotnie. Rysy regularne, włosy przepyszne, ale jest w niej coś niezwykle delikatnego i jakby — smutnego.

Spojrzał w górę.

— Wspaniałe drzewa!

— Co dzień błogosławię tego, kto je zasadził — odparł Domunt. — Jest to mój dobroczyńca bezimienny. Dobrze mi będzie pod nimi...

— Czy wcale już nie masz majątku? — zapytał Roman.

— Najmniejszego. Marceli od dawna już spłacił mi moją część Kaniówki. Wróciłem tu ze świata goły jak bizun i gdyby nie matczyisko pocziwe, nie miałbym nawet za co wziąć tej dzierzawki. Ale ona tam miała jeszcze kilka groszy, które mi pożyczyła...

— I nie miałeś już przed sobą żadnej drogi innej?

— Owszem, owszem, Marceli wzywał mię do siebie, złote góry obiecywał...

— Nie chciałeś?

Energicznie wstrząsnął głową.

— Za nic!

— Rozumiem i nie rozumiem... — z wahaniem wymówił Roman.

Domunt ręką machnął.

— Bo masz głowę pełną pacierza za panią matką!

Staął, rozejrzał się dokoła, po polu rozległym, po widzialnym kawałku łąki, po rzeczce, drzewach, ogrodzie z młodziutkimi drzewkami i błękitnymi ulami.

— Oj, rękawy zawinę i do głowy po rozum chodzić będę! Uprawiać, zasadzać, ulepszać, siać na zagonach ziemi i na mózgach ludzkich... gmach roboty i nadzieja plonu! Powiadasz, żem wyższy nad taką robotę! Śmiej się z tego! Jam jej jeszcze niegodny i cała moja godność w tym tylko, że przystępuję do niej z pokorą i ze świadomością, żem się zadłużył i muszę spłacić długi... z ochotą także... z wielką ochotą!...

Wyprostował się, włosy z czoła odgarnął, Romanowi się wydało, że urósł, zmężniał i że nappełnił go oddech szeroki i silny. Chorobliwą białość jego twarzy pokrywać już zaczął cień ogorzeliżny i uspokajała się pod nią ruchliwa sieć nerwów. W oczach przesuwających się po widnokregu płonęła ta ochota, o której mówił, i świecił ten rozum, po który miał chodzić do głowy.

Roman przenikliwie na niego patrząc zapytał:

— Wszystko to włożył ci do głowy Stefan, prawda? Wydobył z niej pacierz za panią matkę, a włożył natomiast...

— To, co ty rozumiesz i nie rozumiesz — podchwycił Domunt — tak, on uratował mię od dwóch rzeczy ostatecznych: od śmierci przedwczesnej i ciemnoty grubej...

— Od ciemnoty?...

— Tak; na najważniejszą prawdę życia.

— Wielki Boże! — zawołał Roman — gdzież jest ona? Albożem także jej nie szukał i nie pytał o nią!... Wszyscy szukają i pytają...

— To historia długa, mój drogi. Opowiem ci ją przy końcu dnia, bo teraz... Oto co teraz, słyszysz?

Z otwartego okna domku wychyliły się dwie główki dziewczęce, z których jedna donośnym i melodyjnym głosem wołała:

— Kaziu, Kaziu, czy tu przyjdziecie na śniadanie, albo może przynieść je wam pod drzewa?

— W mig przyniesiemy! — cieniutko powtórzyła druga.

VI

Opowiadanie Domunta trwało niedługo, bo historia nie była długą ani niezwykłą; tylko zakończenie jej było niezwykłym.

Początek taki: ród szlachecki zamożny, życie dość szerokie, w którym nie było przepychu, ale było wiele tego, co będąc zbytkiem, uchodzi za skromny dostatek. Dwór stary i wygodny, jakieś półtora tysiąca morgów ziemi nienajlepszej i nie-najgorszej, z lekkim ciężarkiem małych długów. Stary Domunt, jako jedyny posiadacz tego wszystkiego, był dość mądrym, ale czterech synów i trzy córki uznawano powszechnie za gromadę zbyt dużą, aby na Kaniówce lub na jej działach mogła żyć dobrze. Uznawano powszechnie, że gdyby ta gromada podzieliła się Kaniówką, każdy z jej członków zszedłby na chłopą; chociażby nawet wiele uczył się i nauczył, musiałby zejść na chłopą, ale dla wyniku tak niesłychanie skromnego nawet nie było warto się uczyć. Stąd, prawie bez naradzania się, samo przez się, siłą rzeczy, powstało w rodzinie przekonanie, że bracia uczyć się muszą i będą, dlatego aby móc żyć bez Kaniówki, czyli aby zdobywać karierę w świecie. Gdyby ojciec wcześniej ustąpił był z areny życiowej, zapewne jeden z braci pomyślałby o pozostaniu w domu, jakkolwiek zawsze byłby to los Kopciuszka, bo Kaniówka, z obowiązkiem spłacenia części należnych rodzeństwu, pożal się Boże! Ale ojciec żył i rządził majątkiem wtedy jeszcze, gdy wszyscy czterej rozproszyli się po różnych drogach i dążyli do celu, którym był zrazu byt zapewniony, a potem największe możliwie wzra-

stanie w fortunę i dostojęństwa. Ponieważ zaś w tych czasach nie podobna było chadzać drogami pobliskimi, rozproszyli się po dalekich. Sprawa cała była prostą jak „dzień dobry“, zupełnie poprawną, zupełnie też pospolitą, a z upływem czasu giniącą jak ziarno maku w korcu spraw takich samych i coraz liczniejszych. Ani aktorowie, ani widzowie nie mieli jej do zarzucenia rzeczy najmniejszej; owszem, pierwsi czuli się w prawie do aplauzu za energię i przedsiębiorczość, drudzy aplaudowali. Ślicznie. Tylko, że jeden z braci sprawiał zrazu trochę kłopotów. Z naturą burzliwszą od innych czy gorzej nagi-nającą się do reguł szkolnych, może z umysłem mniej systematycznym albo temperamentem mniej wytrwałym, Kazimierz zmienił parę razy wydziały uniwersyteckie, nie mógł od razu zdecydować się na obranie sobie zawodu specjalnego, stracił trochę czasu. Może go coś pociągało do Kaniówki, bo po jed-nych wakacjach nie zdołano go wypchnąć nigdzie; cały rok przesiedział w domu. Zaczynało to być groźnym; rodzina za-troszczyła się o syna i brata. Osadzenie go w Kaniówce nikomu na myśl nie przychodziło, bo byłoby po prostu zgubieniem chłopca roztropnego i zdolnego, który mógł, tak jak bracia, robić karierę, a tylko chwilowo popełniał głupstwa. Miałże eko-nomować ojcu, czynnemu jeszcze i dość despotycznemu, albo zagrzebać się na wydzielonym mu kawałku Kaniówki? Ktoś bąknął o przemyśle, o osiedleniu się w mieście sąsiednim z ja-kimś handlem lub rzemiosłem, ale wniosek ten odrzucony zo-stał z oburzeniem. To dobre dla idiotów lub mizeraków osta-tecznych. On miał zdolności umysłowe niemniejsze od innych, trochę majątku, stosunki rodzinne, a wśród nich krewnego, który w jednej z największych stolic europejskich dorobił się fortuny milionowej na drodze spekulacji przemysłowych i pie-niężnych. Ten krewny Domuntów słynął za głowę finansową pierwszego rzędu, stał na czele paru bardzo znacznych przed-sięwzięć finansowych. Wysłanie do niego Kazimierza po chleb i przyszłość zdawało się wprost wskazanym; istnienie jego

w rodzinie — prawie opatrnościowym. Wprawdzie dochodziły tu o nim pogłoski takie, o jakich rodziny słuchać i głośno mówić nie lubią. Na tym słońcu były plamy podobne do gangreny. Cóż to znaczy i cóż to szkodzi? Dorobił się milionów, więc i Kazimierz stawszy się jego pomocnikiem i uczniem może dorobić się ich także, nie zarażając się przeto gangreną. Po cóż zaraz miałby się zarażać? Z pożytecznego skorzysta, szkodliwego uniknie, i po wszystkim. Zresztą, czy to, co szepczą, jest jeszcze prawdą? Daleko trudniej stwierdzić gangrenę na ciele milionera niż biedaka, u którego ona wyłazi na wierzeh przez dziury w odzieży! Więc może przesada, może i potwarz. Tyle potwarzy ściga zawsze człowieka, któremu się powiodło! Chłopakowi zapaliło się w głowie od perspektywy przebywania w wielkiej stolicy zagranicznej, zostania pomocnikiem wielkiego finansisty, zrobienia w czasie może niedługim wielkiej fortuny. Napisano do krewnego. Odpisał serdecznie. Kazimierz puścił się w drogę z głową pełną marzeń, które zaraz, od pierwszego kroku w świecie nowym, urzeczywistniać się zaczęły.

Zdarza się nierzadko, że w sercu Midasa, któremu wszystko w świecie przemieniło się w złoto, istnieje strunka drobna, lecz nieśmiertelna, która przy dotknięciu wydaje ton czysty i serdeczny. Może to jest dowodem, że nawet w Midasie istnieje coś takiego, co ani na kruszec zamienionym, ani przez ciało pożartym być nie może, albowiem nie jest z kruszczu ani z ciała. Krewny milioner przyjął Kazimierza z otwartymi ramiony, a dopatrzwszy w nim podobieństwa wielkiego do swojej ciotecznej siostry, którą za młodu bardzo lubił, już go z domu swego nie wypuścił i do członków rodziny najbliższej zaliczył. Była to właśnie chwila powstawania wielkiego przedsiębiorstwa finansowego, którego Kazimierz stał się od razu urzędnikiem i spółnikiem. Po śmierci ojca wziął od brata zapłatę za swoją część Kaniówki i pod życzliwym przewodnictwem Midasa zaczął nią robić, zdziwiony i zachwycony, że po prostu w oczach mu rośła. Nie obchodziło się to bez pracy twardej, często go-

rączkowej, ale on do niej okazał się zdolnym i ochotnym. Znaczna część dni, czasem i nocy spędzał nad cyframi lub w czynnościach innych, do jego położenia w przedsiębiorstwie przywiązanych. Za to w przestankach bawił się, używał. Midas lubił go stale i podwyższał szybko jego stanowisko w przedsiębiorstwie i otaczającym towarzystwie. Oprócz owej strunki niezgasłych przywiązań rodzinnych były inne przyczyny faworu wyjątkowego. Chłopak roztropny, żywy, z powierzchownością przyjemną i obejściem się jednającym sympatię i zaufanie, był dla planów i robót Midasa narzędziem bardzo pożytecznym. Przedsiębiorstwu, będącemu spółką olbrzymią, jednał spółników. Dzięki swojej żywości, elegancji, a z innej strony pewnej wrodzonej dobroduszości umiał wszędzie wejść i ze wszystkimi mówić. Wiara jego w moc i rzetelność podstaw gmachu midasowego była tak szczerą i nieograniczoną, że зараżał nią innych. Powstanie takiej wiary w umyśle dość bystrym z natury miało przyczyny bardzo proste i prawie konieczne. Brakowi doświadczenia i zapalczywości charakteru dopomagała tu wdzięczność. Czuł się bardzo wdzięcznym temu, który go dobrodziejstwami osypywał. Dzięki jemu żył w zbytku i uciechach najrozmaitszych, miał też przed sobą przyszłość pełną zbytku i uciech. Byłoby podobnym, aby tych dobrodziejstw nie usiłował odwdzięcać ze wszystkich sił swoich? Odwdzięczał. Pracował sam, nieraz nad siły, i do ołtarza, któremu służył, przyprowadzał ofiarników. Dzięki jemu, do kasy midasowej lał się wążutki zapewne, ale nieustanny strumyk złota. Był pewnym, że urośnie on w rzekę, z której pełnymi haustami pić będzie zawsze sam i pić będą ci wszyscy, którym on szczęście to gotował służąc zarazem Midasowi.

Teraz, ilekroć z oczami zamkniętymi myśli o kilku latach przebytych w kuźni Midasa, widzi zawsze obraz szczególnie. Jest to przestrzeń niczym nie obwiedziona, kulista, napełniona światłem gazowym czy elektrycznym i mgłą podobną do szampana musującego, bo złożoną z mnóstwa kropelek złotych,

drobniutkich, dokoła siebie wirujących. W tym świetle sztucznym, w tej mgiełce złotej i ruchliwej, w zmieszanych zapaszkach gazu, wina, perfum i sadzy przesuwają się i krążą obrazy rzeczy i ludzi najrozmaitszych. Są to korowody kobiet z buketami lub wachlarzami w rękach i mężczyzn z piersiami jaśniejącymi od honorowych odznaczeń, ramiona w czarnych rękawach wznoszące kielichy toastowe, plecy w surdutach wytartych zgięte w kształt półobręczy nad stołami do pisania, nogi motyle na deskach scenicznych, fraki, białe krawaty, szmery jedwabiów, muzyka, powozy z grzmotem kół wjeżdżające w bramy wysokie, stoły do uczt nakryte, albo kartami zasypane, albo takie, na których piętrzą się papiery pełne cyfr... Cyfry! ach, te są wszędzie! Na twarzach i sukniach ludzkich, na obnażonych ramionach kobiecych, frakach, wachlarzach, na plecach zgiętych w kształt półobręczy, w żrenicach rozpalonych, na włosach siwych, na szafie żelaznej Midasa. Krążą one dokoła głów ludzkich, z ust wylatują, roją się w powietrzu, ziemia nimi usłana i niebo zakryte, latają, rozmijają się, układają szeregi nieskończone, tworzące pojęcia ilości niepojętych. Wszystko to razem pod zamkniętymi powiekami idzie, wiruje, zaciera się, rozprasza, powstaje znowu, ścisza się w tłumy, rozciąga w szeregi... Zawsze w przestrzeni kulistej jak w globie napełnionym światłem gazowym, mgłą musującą miliardami kropelek złotych, mieszaniną zapaszków gazu, wina, perfum i sadzy. Sarabanda! Kazimierzowi wystarcza, aby oczy zamknął i dłonią je przysłonił, już jest przed nim! Świeci, tańczy, pachnie, mieni się jak Salamandra... Moloch, żrący plemię ludzkie, bestia apokaliptyczna!...

W człowieku, który z oczyma zasłoniętymi dłonią, nagle jakoś zgębiony wyrzekał na doświadczane wizje chorobliwe, łatwo było odgadnąć cierpienie dojmujące bez znajomości nawet wszystkich jego przyczyn.

— Daj pokój, Kaziu — rzekł Roman — otrząśnij się z tych wspomnień, jeżeli cię tak trują!

Domunt, jak ze snu obudzony, spojrział dokoła. Słońce bliższe zachodu ukryło się za lasem obrastającym wzgórze, więc dziedzińczyk i otaczające go pola stały w świetle czystym jeszcze, lecz trochę już przyćmionym. Nad rzeczką, od której wiała świeżość źródlanej wody, tuż przy rozmawiających, kwitły kępy spóźnionych niezapominajek, a dalej nieco jaskółki krążyły nisko nad mokrym brzegiem szukając żeru na liściach ogromnych grzybieniów. Pod niebem robiło się różowo i złoto od obłoków, które nasiąkały światłami zachodu.

Z otwartych drzwi domku wyszły dwie niedorośłe dziewczynki, obejmując się przeszły dziedzińczyk i usiadły na białym pagórku z wiórów. Bronia położyła na kolanach książkę otwartą, nad którą obie się pochyliły. Domuntówna, wyższa nieco, zarzuciła ramię na szyję przyjaciółki i twarz zbliżyła do jej twarzy; wtedy głowy ich przybrały podobieństwo uderzające do tych kamei, które ukazują na rumianym przezroczu dwa wysuwające się z za siebie profile dziewicze. Już ukończyły zajęcia gospodarskie i uzbierały mnóstwo orzechów wśród leszczyń pobliskich; teraz z oczyma utkwionymi w książkę siedziały cichutko na pagórku z wiórów pod stodołą, której nowa strzecha świeciła wysoko jak odłamek bladego złota.

— Luniu! — zawołał Domunt — chodź do mnie.

Zerwała się, przebiegła dziedzińczyk i pod drzewami przed bratem stanęła. Nie zmieniając postawy, tylko ze wzniesionymi ku niej oczyma, Domunt rzekł:

— Pocałuj mię, maleńka!

Pochyliła się, mocno pocałowała go w czoło.

— Cóż dalej? — zapytała.

— Nic; wracaj, skąd przyszłaś.

Uśmiechnęła się i odbiegła.

— Kiedy odjeżdżałem z domu, miała lat cztery i była śliczna jak marzenie. Przepadałem za nią, nosiłem ją na rękach, matka żartowała, że kiedykolwiek uduszę ją całując. Potem, w świecie, wspominałem ją częściej niż kogokolwiek z ro-

dziny. Nic dziwnego; kochać siostrę, to naturalne, zwłaszcza małą, tyle młodszą. Ale co dziwne, to że gdym powrócił, długo nie śmiałem jej pocałować. Zdawało mi się, że coś niewidzialnego odpycha mię od niej, że nie wart pocałunku dobrego dziecka i że on je splami.

Bo kiedy runął gmach wznoszony przez Midasa, z gruzów jego wytrysnęła fontanna błota i oblała nie tylko architekta, lecz także pomocnika głównego cieczą czarną i cuchnącą. Dopóty dzban wodę nosi, dopóki się ucho nie urwie. Ucho midasowego dzbana było mocne i trwało długo, ale nie należało do tych, które trwają wiecznie, bo są i takie. Urwało się; z rozbitego dzbanka wyciekło na jaw oszustwo przemysłne i mądre, nie tyle przecież mądre, aby nie mogły zakraść się do niego omyłki, które go zgubiły. Niewiele przed katastrofą złowrogie przebłyśki prawdy zaczynały już dręczyć spółnika szczęśliwego i najgorliwszego z pomocników, ale odwracał się od nich lekając się ubliżyć dobroczyńcy, nie mając siły rękoma własnymi rozrywać złotej nici życia wesołego i bezpiecznego. Więc gdy prawda stanęła przed nim naga, oblana światłem, które odsłaniało wszystkie jej przyczyny i następstwa, doświadczył uczucia skończenia świata. Ruina — ale czyja? Jego własna? Był to już pyłek tak drobny, że stracił go prawie z oczu oślepionych widokiem ruin, które zaległy dokoła, a których części pewnej on był sprawcą, on sam, bezpośrednim, czynnym, odpowiedzialnym sprawcą. Zabrano mu wszystko, co posiadał; on w dodatku do mienia byłby oddał życie, aby nie widzieć i nie słyszeć tego, na co patrzeć i czego słuchać musiał, dopóki nie zamknęły się za nim wrota więzienne. Wielki Boże! Dziś jeszcze dość mu zamknąć oczy, aby ujrzeć pod powiekami czaszkę tego malutkiego urzędniczka z biur midasowych roztrzaskaną wystrzałem pistoletowym. Otaczało ją z krzykami rozpaczki kilka istot młodych lub małych, jedna z nich, dziecko namiętnie do ojca przywiązane, całowała siwe i okrwawione włosy. To niby najstraszniejsze. Niby, bo było mnóstwo rzeczy

prostszych, które pod pozorami powszednimi miały bezdnie krzywdy i nieszczęścia. Kto nie doświadczył, ten nie pojmie, czym jest dla człowieka spadające mu na głowę przekleństwo ludzkie, zasłużone, spowodowane czynem własnym, niewątpliwym. Jemu ono ugrzęzło w mózgu na podobieństwo komara, który zakradłszy się do ucha człowieka śpiącego brzęczeniem nieustannym wprawia go w obłąd. Niejeden taki komar, ale ich wiele uwięzło w masie napełniającej jego czaszkę. Zgubieni przychodzili tłumnie, uporczywie; ani uciec, ani ukryć się nie podobna było przed ich twarzami przerażonymi, zapytaniem, wyrzutami, pogrózkami, bo od razu w połowie uwięziony stracił swobodę ruchów. Zrazu gniewał się, sarkał, usiłował zabić w sobie poczucie winy własnej. Alboż chciał tego, co się stało? Alboż znał dno rzeczy, dla której pracował? Alboż nie jest jej ofiarą, tak jak i tamci? Ale to dobrowolne oniemianie sumienia trwało niedługo, po czym szybko spuszczać się zaczął na nie ciężar coraz większy, ogromny, wprost już do niesienia niepodobny — sto pudów! Stało się na koniec tak, że gdy zamknięto za nim drzwi celi więziennej, powiedział sobie: sprawiedliwie! i uczuł ulgę. W ogniu hańby przepalał się i nieco umniejszał ciężar przywalający sumieniu. „Jedno za drugie“ — myślał. Byłby wolał oddać życie, ale nikt wcale zabierać mu go nie chciał; hańba, od śmierci gorsza, wydała się mu niejakiem wet za wet, sprawiającym ulgę. Teraz wie, że był to przebłysk pojęcia o pokucie, o opłaceniu potem własnym i krwią własnego serca za tę krew i za te poty śmiertelne, którymi oblał innych. Wówczas to pojęcie nie było w nim ani jasnym, ani ujętym w słowa; jednak w samotności, nudzie i wszelkiej męce więziennej, na indagacjach, które rzucały go w rumieńce obraz poskramianych, na ławie oskarżonych przez dwa dni śmiertelne, przez które w obliczu stolicy wielkiej ważyły się losy jego czci i przyszłości, mówił sobie ciągle: sprawiedliwie! sprawiedliwie! Najcięższe z tych mąk były właśnie tymi, które sprawiały mu najwięcej pociechy tajemniczej,

kładnącej maść kojącą na tę z ran jego, która krwawiła się najsrożej — pod brzemieniem stupudowym. Wtedy dopiero, gdy usłyszał słowo: niewinien!, gdy powiedziano mu, że wraca do ludzkości jako jej członek wolny i poważania godzien, wtedy dopiero, gdy zdjęto z niego wszystkie ciężary, oprócz tego jednego, który był w nim samym, uczuł się bez granic i bez pociechy — nieszcześnie...

Umilkł teraz, wzruszony, zmęczony, a na Romana spojrzawszy zmieszał się i zadziwił.

— Co to, Romku? Łzy masz w oczach! Nie odwracaj się, nic nie pomoże, bo już widziałem! Żałujesz mię, mój dobry stary!

Roman walcząc ze wzruszeniem zawołał:

— Pal diabli spekulantów, rabusiów, bankrutów! Ale to sobie powiedz, że w tym wypadku na ławie oskarżonych siedział człowiek z wielką duszą!

— Któż to był taki? Ja... ja to niby?... O Boże! Nic podobnego! Mizerakiem wszechstronnym byłem podówczas i dopiero teraz dźwigać się zaczynam. W tym kącie zapadłym są zioła, z których cieką balsamy. Kiedym już postanowił był osiąść w Kaźmirówce, stary pan Romuald swoim zwyczajem zaczął żałośnie głową kiwać: „Co ty wymyślasz, kotku — prawil z oburzeniem — co wyrabiać zamierzasz? Ależ ty w tej norze ani kawałeczka pasztetu mieć nie będziesz“. Patrz, patrz, Romku! Twoje oczy wilgotne, twoja przyjaźń pocziwa — czy to nie pasztet?

Bo teraz, jak bywa zwykle tylko w zaraniu życia, przyjaźń, współczucie, czystość serca i myśli były dla niego nowalią. Odwykł był od nich, przestał wierzyć w samo ich istnienie. Przed katastrofą pysznił się i cieszył tym, że go kochano, że mu sprzyjano, że niemało ludzi wprost przepadało za nim. Kąpał się cały w dymie wonnym i w cieple przyjemnym, które owiewały krewnego Midasa, młodzieńca mającego przed sobą przyszłość midasową. Ani przypuszczał, że to blask tarczy złotej,

pod którą ukazał się światu, czyni go tak ponętnym. Mnie-
mał, że jaśniej światłem własnym i dobywa iskry z serc ludz-
kich krzesiwem przymiotów własnych. Po katastrofie przeko-
nał się, że był tylko cyfrą dopisaną do pewnej sumy, którą na-
leżało przekreślić, gdy tylko suma zniknęła. Noszono go na
rękach nie za to, jakim był, ale za to, kim był i kim być
mógł w przyszłości. Jego zalety osobiste stanowiły tylko do-
datek przyjemny do rzeczy, stokroć od nich ważniejszej. Gdyby
ich nie posiadał, to jest gdyby nie był młodym, przystojnym,
przyjacielskim, skorym do pracy, zarówno jak do zabawy i do
wspaniałomyślnych przysług, gdyby nawet był czymś wprost
przeciwным, noszono by go na rękach również, tylko z mniej-
szą przyjemnością. Suknia z niego opadła i ludzie względem
niego zmienili się do gruntu. Jednakże był tym samym, co
przedtem, z jedną przyczyną więcej, aby go kochano. Bo Bóg
i powszechna nędza ludzka wskazują wyraźnie, że najważniej-
szą przyczyną do kochania człowieka jest jego nieszczęście. Ale
znajduje to w świecie tłumaczenie zupełnie odwrotne: kocha-
nymi są tam tylko chodzący w sukniach pomyślności, zaś przy-
odziani w boleść stają się zawalidrogami, których należałoby
wyrzucać za drzwi życia, bo są do życia niezdatnymi. Przez
litość daje się im jałmużnę z grosza, jeżeli o nią proszą; jeżeli
nie proszą — zapomnienie. Jedyną ich zasługą może być je-
szcze: pozwolić zapomnieć o sobie. Tak jest w świecie, który
nazywa się chrześcijańskim; w warstwach społecznych, które
się nazywają najwyżej ucywilizowanymi. Tak jest na punktach
ludzkości poczytywanych za najbardziej oddalone od tego
stanu pierwotnego, w którym każdy dzikus z pękiem liści do-
koła nagich bioder chadza, poluje, cierpi głód i obżera się —
po osobno.

Å jednym z ironicznych pociągnięć pędzla na obrazie ludz-
kości jest to właśnie, że człowiek nieszczęśliwy najmniej mo-
gąc być kochanym najwięcej tego potrzebuje. Sprowadza to
zjawisko uderzania sercem o mury, z którego niejednokrotnie

wypływa zanik serca; zdarza się przecież, że pozostaje ono całym, tylko nalany po brzegi trucizną zwątpienia o ludziach i sobie.

Kazimierz Domunt powrócił do Kaniówki tak ogołoconym z mienia, że w drodze przymierał głodem. Tu argonautę, który zamiast runa złotego przywiózł do domu hańbę, chorobę i nędzę, spotkały udręczenia nowe. Dom stary upadał w ruinę, w ogrodzie rozległym drzewa usychały. Matka płakała, jeżeli nie łzami, to mimowolnymi westchnieniami, siostry starsze w domu pustym i smutnym wiedły jak kwiaty bez słońca, najmłodsza zrazu go nie poznała. Bracia daleko, majątek w dzierzawie, pustka, bezczynność. Dokoła również pustka i cisza. Cisza nie taka, jaka w dzień pogodny panuje nad polem okrytym żniwiarzami, ale taka, jaka rozlega się nad cmentarzem, gdzie nie ma już żadnej roboty, bo umarli śpią, a żywi — odeszli. Dlaczego? Dlaczego? Gdzież są ci, których głowy, głosy, serca, ręce powinny życiem napełniać miejsca, od których wzięły życie? Są tam, gdzie on był, żyją dlatego, dlaczego on żył. Gra im pobudka ta sama, która grała jemu. Tylko, że z nich nie spadły suknie pomyślności. Z niego spadły, więc powrócił. Powrócił, gdy stał się łachmanem wyrzuconym na śmietnisko. Z tamtych niektórzy powrócą także, lecz wtedy dopiero, gdy starość im włosy z głów i siłę z żył wyżenie. Więc ta ziemia, to powietrze, to niebo są śmietniskiem, na które pada to tylko, co gdzie indziej zbrudziło się albo podarło, a od którego uchodzi wszystko, co świeże i mocne! Myśli te podnosiły w nim oburzenie, nade wszystko — przeciw samemu sobie. Nic zresztą nie mógł robić ani przedsięwbrać, bo nie już tu do niego nie należało. Kilka długich tygodni bezczynności absolutnej i zupełnego sam na sam z sobą doprowadziło go na dno przepaści, zaludnione takimi widmami, że doświadczył żądz ucieczki, chociażby przez wrota śmierci.

Najmłodsza z sióstr garnęła się do niego, śpieszyła z oddawaniem mu przysług drobnych, przypominała dawną jego do-

broć dla niej, o której przechowała mętne wspomnienia. Ale on ją obojętnością udaną ranił i zrażał. Nie czuł się godnym przyjaźni i pieszczot tego dziecka. Ta niewinność nie powinna była bratać się z bliską z krwią i błotem, które go okrywały. Lunia martwiła się i dziwiła. W jej wyobraźni dziecinnej bracia prawie nieznani stali się bohaterami jednego z tych mitów, które błędzą po wyobraźniach dziewcząt wzrastających w odosobnieniu od świata i mających w sobie zarody marzycielstwa. Wyidealizowała ich, modliła się za nich i — do nich. Nikt nie myślał o wyprowadzaniu jej z błędu, który zresztą dla matki szczególnie wcale nie był błędem. Jakiegokolwiek cienie padały na obrazy tych drogich nieobecnych, ukrywała je przed samą sobą, cóż dopiero przed dzieckiem najmłodszym; światła, jakiegokolwiek były, prawie pomimo woli zwiększano tu i wysuwano naprzód, nie tylko przed obcymi, ale przed samymi sobą.

Raz tedy u stołu dziewczynka rozgadana, co zdarzało się z nią bardzo rzadko, głosić poczęła sławę swoich bohaterów. Pod światłem lampy wiszącej nad stołem, z oczyma płonącymi zapalem pod gęstwiną włosów kruczych, palcem jednej ręki przebiegając palce drugiej wyliczała:

— Pierwszy: Marcelli. Wcale go nie pamiętam i tylko z fotografii wiem, jak wygląda. Rozumny, jak nikt w świecie. Przedsiębiorstwa ogromne prowadzi i interesy świetne robi, takie trudne interesy, że komu innemu głowa pękałaby od nich, ale jemu się udają, bo jest nadzwyczajnie rozumny, energiczny i pracowity. Już jest bogaty, będzie jeszcze bogatszy, powróci do Kaniówki, kiedyś, kiedyś, gdy wszyscy już będziemy starzy, będzie żył z nami i będzie nam wszystkim bardzo dobrze. Drugi: Adzio; tego troszkę znam, bo dwa lata temu był tu przez cały miesiąc. Taki ładny, ładny i wesoły; tam, gdzie jest, wszystkie panny w nim się kochają. Trzeci: Feliś, nie taki ładny, jak Adzio, ale za to pracowitszy... taki pracowity, że nie chce nigdy oderwać się od swojej pracy i choć na miesiąc do

nas przyjechać. Za to, chociaż młodszy, ma już wyższe miejsce od Adzia i wszyscy mówią, że będzie miał prędko coraz wyższe, coraz wyższe. Czwarty: Kazio...

Tu zatrzymała się, oczy jej utkwiły w twarzy jedyne go z jej bohaterów, który był obecnym. Po chwili z wybuchem zawołała:

— Kazio dobry, dobry... pamiętam, jak lubił i pieścił mię, kiedym jeszcze była bardzo małą. Dobry i szlachetny... najlepszy, najszlachetniejszy ze wszystkich ludzi, którzy są na świecie...

Trudno powiedzieć, dlaczego przymioty dobroci i szlachetności, zajmujące najwięcej miejsca w jej micie dzieciennym, skupiły się głównie na jednym z braci. Może było to sprawą wspomnień najtkliwszych, wzmianek i rysów tu i ówdzie pochwytanych, dość, że w ten sposób go określiwszy zerwała się z siedzenia i z otwartymi ramionami do niego biegła. Ale on, pobladły zrazu, potem z twarzą zarumienioną i drgającą, usunął ze stukiem krzesło, na którym siedział, i wybiegł z pokoju wprzód, nim ktokolwiek jedno słowo przemówić zdołał. Matki i siostry rozeszły się milcząc i wzdychając, Lusia płakała w ciemnym kątku. On chodził po oddalonej części ogrodu. Boże! Boże! Co to dziecko wygadywało! Czterej bohaterowie: jeden majątek ogromny zbiera; w drugim wszystkie panny się kochają; trzeci dostaje miejsca coraz wyższe; czwarty, on, Kazimierz, najszlachetniejszy i najlepszy z ludzi... cha, cha, cha, cha! Czemuż nie powiedziała: rabuś, bankrut, świeży wyzwoleniec turmy... O dziecko nieszczęsne, którego wyobraźnię sposobią do lotu sny o bohaterach — takich!

W ogrodzie kaniowskim był staw obszerny, który niegdyś zdobił dwór ten szybą kryształową, a teraz, nieco już zamulony, z brzegami wysychającymi, zieleniał z dala powierzchnią okrytą pleśniami. Ale drzewa rosły nad nim, tak jak dawniej, a wśród nich cztery sokory młode, lecz już wysokie, które w języku rodzinnym Domuntów nosiły imiona czterech synów ro-

dziny. Stary Domunt, zwyczajem tradycyjnym w wielu domach, zasadzał był własnymi rękoma każde z tych drzew w roku przybywania na świat każdego z synów. Sokór Marcelego miała względem innych wysokość i powagę siostry najstarszej; Kazimierz stanął przy swojej, objął ją ramieniem i do jej pnia przycisnął zimne czoło.

Wieczór wiosenny pachniał wilgocią świeżo spadłego deszczu i migotał gwiazdami zza obłoków przelatujących pod niebem z szybkością fal pędzonych wiatrem. Mięiste liście sokor, z którymi wiatr igrał, sprawiały szmer podobny do łopotu skrzydeł, a lipy w pobliżu rosnące szumiały inaczej: basowo, poważnie i miękko. W tych szumach rozmaitych staw połyskiwał z jednej strony jak szyba srebra przygasłego, z drugiej zapadał pod lipami w ciemność otchłaniową. Po niedawno minionej zimie świat był jeszcze surowy i chmurny, niemniej bardzo piękny.

Kazimierz stojąc pod sokorą łopocącą liśćmi jak skrzydłami nie widział świata ani jego piękności. Za chwilę wszystko, co jest pięknym, i wszystko, co jest szpetnym, miało dla niego zniknąć na zawsze. Nie czuł rozpaczy, ani nawet smutku. Ręce i czoło miał zimne jak lód i cały był zimny, zarówno moralnie, jak fizycznie. Nikogo i niczego nie żałował, wszystko przybrało w jego oczach rozmiary drobnostek bez znaczenia i bez wartości, wobec tego czegoś nieznanego a wiekuistego, które wnet odsłonić miał przed sobą ręką własną. Od wielu już dni myślał nad tym, co czekać go może tam... po drugiej stronie... Na dnie duszy doszukał się myślą pewności, że Bóg istnieje, a wraz z Nim dobro i miłosierdzie, których na ziemi nie znalazł. Było mu za nimi strasznie tęskno. Tu pozostać nie chciał już za nic. Z uczuć ziemskich miał jeszcze jedno tylko, słabe zresztą i którego ani spostrzegał w sobie, ani nazywał. Była to słaba, niewyraźna tkliwość dla tego drzewa, do którego latorośli szczupłej przyprowadzała go matka, gdy ledwie zaczynał chodzić, i wskazując mu ją mówiła: „Patrz! to twoja so-

kór! Tamte Marcysia... Adzia... Felisia... a ta twoja!“ Potem przywiązywał do pnia cieniutkiego czółno, którym, wyrostkiem będąc, pływał po stawie, potem jeszcze w niedużym jego cieniu czytywał pierwsze książki i snuł pierwsze marzenia młodzieńcze. Teraz z całego świata jedno to drzewo obudzało w nim tkliwość niewyraźną; dlatego obejmował je ramieniem i do pnia jego przyciskał czoło. Ona, ta sokór rodzinna, jego własna, jedyna już na świecie rzecz jego własna i nie wiedząca o niczym, co z nim było, przyjmie go w ramiona, które nad jego głową śpiesznie, głośno łopocą liśćmi mięsistymi jak skrzydłami.

Podniósł głowę i rękę; pomiędzy liście łopocące wpadła jakaś rzecz obca i jednym końcem zawiesiwszy się na gałęzi, drugim gubiła się w palcach, które ją wiązały w kształt osłonięty cieniem gałęzi. Zanim jednak te palce zimne i nie śpieszące się, bo stanowcze, roboty swojej dokończyć zdołały, ogarnęła je żelaznym uściskiem ręka jakaś, a druga, nie pozostawiając na opór ani sekundy czasu, za ramię go pochwyciła i od drzewa odepchnęła. Zarazem w grubym cieniu chmur nadlatujących gromadnie głos przytłumiony przerażeniem i gniewem przemówił:

— Tak, tak! Przewidywałem to, lękałem się tego... Kiedy przyjechałem i powiedziano mi, że od godziny już chodzisz po ciemnym ogrodzie, poszedłem szukać cię, prawie pewny, że tak znajdę... Boże wielki! jakież to wszystko dusze słabe i marne! Czy nie dasz nam już silniejszych i większych?

Z westchnieniem ogromnym, które podniosło pierś mówiącego, wzmógł się też gniew, z którym mówił dalej. W żelaznym ręku trzymając ciągle rękę pojmanego mówił dalej:

— Broić umiałeś, a od naprawy i odpowiedzialności — zmykasz! Lubieś grać w piłkę z życiem, a kiedy ono zmienić się musi w lemiesz — zmykasz! I może jeszcze myślisz, że kopnąć nogą życie, kiedy ono przestało być rozkoszą, to męstwo lub bohaterstwo! Wyperswaduj to sobie. Nic łatwiejszego

niż być uciekinierem w znaczeniu każdym. Każdy kiep to potrafi. Tylko kpy i tchórze biorą nogi za pas przed pierwszym lepszym strachem. Wielka mi rzecz skończyć rachunki z życiem! Nie, kotku! Nie masz prawa. Zadłużyłeś się po uszy! Wpierw długi płacić!

Było coś twardego i prawie nielitościwego w tej mowie prędkiej, ale dobitnej, gniewnej, ale zarazem stanowczej. Kazimierz uwięziony w silnych rękach targnął się i spróbował walczyć.

— Jakim prawem... — syknął.

Ale tamten ani myślał odpowiadać i ciągnął dalej to, co zaczął:

— Raz zemknąłeś był przed życiem twardym, ale które mogło być dobrym, i ślicznie na tym wyszedłeś; teraz znowu chcesz zemknąć przed splatą długów... Ależ tak robić nie wolno! Nie wolno i — głupio! Licho i głupio! Byłeś na deszczu, wchodzisz pod rynnę. Od dawna już chciałem ci to powiedzieć, dziś po to przyjechałem, i w porę!...

Kazimierz szarpnął się znowu.

— Jakim prawem dyktujesz mi, co mam czynić, a czego nie czynić?

Tamten w jednej dłoni zatrzymując jego rękę, drugą położył mu na ramieniu i łagodniej rzekł:

— Prawem brata. Cóż? Myślałeś może, żeśmy obcy sobie? Myliłeś się. My bracia — podwójnie. Jeżeli nie masz nikogo, kto by cię kochał nieszczęśliwym i zhańbionym, ja kochać cię będę. Jeżeli nie masz na kim się oprzeć, oprzyj się na mnie. Będę ci wdzięcznym za to, bo po to żyję. Jedna ludzkość nas urodziła i jedna ziemia. Bratem twoim jestem podwójnie.

Pojmany płakał. Aby móc żyć, może on potrzebował tylko mieć dobrego brata. Jego bracia byli daleko, już prawie ich nie znał. Ten, który tu był, bardzo łagodnie teraz, jak do chorego dziecka przemówił:

— Ukłęknij, Kaziu!

Wahał się, ale krótko. Pośród chmur chyżo przelatujących zajaśniały gwiazdy, w których świetle twarz Stefana upukliła się na tle ciemności jak wizja siły wzruszonej i dobrej.

— Uklęknij i módl się! „Boże, któryś mię stworzył, ziemio, z której powstałem, przebaczenie! Żem prawu Twojemu, Stwórco, służyć nie chciał, przebaczenie! W planie Twoim olbrzymim i dla naszych umysłów zakrytym rzuciłeś wielką linię cierpienia. Nie wiem, czym jest ona i do czego wiedzie, ale że odwróciłem od niej serce i siły swoje — przebaczenie! W gmach, który wznosisz i którego widzimy zaledwie kącik drobny, włożyłeś ciężką cegłę krzywdy. Nie wiem, jakimi były w tym zamiary Twoje, ale żem nie chciał razem z innymi dźwigać tej ciężkiej cegły, przebaczenie! Odtąd życie mi będzie pokutą, oczyszczeniem, płaceniem długu Tobie i ziemi Twojej. Szatana i pychy jego wyrzeknę się i ujmę w karby zmysły moje. Ręce zaprzęgnę do trudu, czoło okryję potem i cierpiąc z cierpiącymi służyć będę przyjściu królestwa Twojego na ziemię!”

Taką modlitwę dyktował zrozpaczonemu rówieśnikowi fanatyk idei dobra. Potem otworzył przed nim ramiona i uściśnęli się w milczeniu, jak bracia — podwójni.

Nie odjechał zaraz. Do późnej nocy w zamkniętym pokoju sam na sam rozmawiał z Kazimierzem. Nazajutrz zaprowadził Lunię do ogrodu i usiadłszy z nią na ławce rzekł:

— Trzeba Kazia bardzo kochać. Nie trzeba nigdy mówić, że on jest najlepszym z ludzi, ale trzeba towarzyszyć mu jak najczęściej, rozrywać go, gdy jest smutnym, dopomagać mu we wszystkim...

— Kiedy on nie chce mojego kochania, odwraca się, ucieka ode mnie — ze łzami w oczach poskarżyła się dziewczynka.

— Już nie będzie — upewnił ją Stefan — ale niech Lunia wie, że swoim przywiązaniem wiele dobrego może zrobić Kaziovi.

Smutne zazwyczaj oczy małej zapaliły się radością i dumą.

Serce jej uderzyło mocno do zadania, którego wielkość więcej czuła, niż rozumiała.

Wkrótce potem nadszedł list od Marcelego z żądaniem, aby brat co prędzej do niego przybywał, z obietnicami pomocy, poparcia i szybkiego zmazania przeszłości. Kazimierz pojechał z tym listem do Darnówki. Niedaleko dworu zobaczył Stefana, idącego za pługiem. Słyszał był o tym jego własnoręcznym pracowaniu około roli, ale zobaczył je wtedy po raz pierwszy. U brzegu pola Stefan pług zatrzymał i przeczytawszy list najstarszego z Domuntów spokojnie zapytał:

— Pojedziesz?

Kazimierz zawrzał cały.

— Po wszystkim, co przebyłem! Po tym, cośmy z sobą mówili! Znasz do dna moje myśli i uczucia. Jakże możesz pytać, czy pojedę!

Stefan wsparty na pługu słuchał uważnie, potem rzekł:

— Chodź!

W bladym złocie słońca kwietniowego kilka pługów przesuwano się po czarnej ziemi ryjąc w niej lemieszami bruzdy głębokie. Skowronki ogłuszająco śpiewały nad pobliskim łąnem zielonej runi. Stefan wraz z Kazimierzem zbliżył się do jednego z pługów, który stanął w połowie zagona.

— Mój ojciec — rzekł — naucz go orać! Potem oddamy mu w dzierżawę jeden z naszych folwarków, który na cześć jego nazwiemy Kaźmirówką.

Stary pan Romuald zachnął się i zaczął sarkać.

— Orać? On będzie orać i może także kosić, siać, snopy zwozić? Facecja! Co tu robić? Czy mi się śni, kotku?

Ale Stefan przerwał ojcu:

— Wszystko to ty i ja, ojciec, czynimy sami. Gdybyśmy nie czynili, można by do nas stosować przysłowie o lekarzu mającym przede wszystkim leczyć samego siebie. Ale czynimy, więc i uczyć możemy.

Pan Romuald, kiedy raz wziął się do czego, nie żartował.

Roman trząsał głową potakująco, na znak, że także wie coś o tym. Uczeń tego człowieka zawziętego we wszystkich postanowieniach i robotach swoich oblewał się niekiedy dziesięciu potami na dzień. Ale jakoś nie przykrzyło mu się to wcale. Owszem, sypiał spokojniej i zaczynał nawet miewać sny przyjemne. Tracił także newralgię w policzku, i ciężar stupudowy na sumieniu ciążył mu mniej dotkliwie. Jednak miał wątpliwości niejakkie. Cóż? Orać, siać, rąbać, piłować analfabeci umięją i pospolicie oni tylko to czynią. On umiał czytać biegle i mnóstwo rzeczy innych. Co uczyni z tym bagażem? Czy rzuci go za siedem gór i lasów jako rzecz niepotrzebną? Trochę szkoda! Kiedy raz mówił o tym, Stefan, według zwyczaju swego, słuchał uważnie, a potem rzekł:

— Śmieję się z tego, bratku! Gdybyś był sto razy uczeńszy, niż jesteś, jeszcze nie miałbyś zanadto tego dobrego ziarna. Powiem ci parabolę. Kiedy do ciemnego pokoju wniesioną zostanie lampa, tym, którzy się w nim znajdują, robi się zaraz weselej i łatwiej, bo światło jej pada na ich twarze i roboty, a gdy który chce iść po co, nie potrzebuje rozbijać łba o ścianę, bo ona wskazuje mu drogę. Gdyby wiele takich lampek, byłaby iluminacja, nieprawdaż?

Roman powstał z trawy, na którą występowała już chłodna rosa, i rozejrzał się dokoła. Czerwona zorza stała za lasem obrastającym wzgórze; nad jej różanymi blaskami zmieszanymi w powietrzu ze zmierzchem zapadającym świecił wysoko cieniutki sierp księżyca.

Roman czuł, że nad niewykończonym domkiem, niedbale rzuconym płotkiem i małym podwórkiem folwarku oprócz zorzy, zmroku i księżyca unosiło się jeszcze coś niedostępnego dla zmysłów, lecz głęboko leżącego się do duszy. Zrozumiał, że ze światłem zorzy i księżyca unosił się nad tym miejscem blask tego słupa gorejącego, który przyświeca drogom ludzkim, a w mowie ludzkiej nosi nazwę ideału. Gdy ten słup płonie, ludzie idą drogą prostą ku ziemi obiecanej, gdy gaśnie,

błądzą i marnieją. Zrozumiał to i doświadczył rzutu duszy, która wzbiła się ku szczytowi słupa gorejącego i zaraz potem upadła mu do stóp. Jednak stał zamyślony i niespokojny.

— Jednak — rzekł — nie rozumiem. Jeszcze nie mogę zrozumieć, jakim sposobem będziecie mogli tyle wyrzekać się i znosić. Bo czyż Stefan jest szczęśliwym? czy ty, Kaziu, będziesz szczęśliwym?

Domunt zaśmiał się.

— Ależ nie o to idzie, mój drogi — zawołał.

W tej chwili bryczka zaprzężona parą koni wjeżdżała na dziedzińczyk; przysłano ją po Lunię z Kaniówki, o kilka wiorst stąd odległej. Bronia też zbliżyła się do Romana.

— Jeżeli Romek chce tu jeszcze siedzieć, sama powrócę do domu.

— A nie bałabyś się wilków, myszko? — zażartował Roman.

— Wilków teraz nie ma, ale jeżeli ja z Romkiem iść nie zechcę, będzie do rana błądził po polu, bo żadnej drogi tu nie zna — odcięła się dziewczynka.

VII

Dnie mijały, Roman nie opuszczał Darnówki. Często też odwiedzał Kaźmirówkę, na krócej lub na dłużej, sam albo z Bronią. W czasie gdy Kazimierz nie mógł dotrzymywać mu towarzystwa, czytywał nad rzeczką, zbierał z dwoma dziewczątkami orzechy w leszczynie albo szedł sam drogą wiodącą przez pole ku pałacykowi górowskiemu i nieco dalszemu kościołowi w Zawrociu. Pałacyk zaciekał i pociągał go zawsze. Kaźmirówka i Górów! Co za różnica miejsc i losów. Jeżeli tu może być lampka, to tam chyba pochodnia taka, jakie palą się na wysokościach wielkich, aby przyświecały w nocy okrętom żeglującym po przestworzach morskich. Przy tym jaśniej, bo jaśniej. Bez trudu, wyrzekań się, wyborów wcale niełatwych. Stryjowi powiedział, że chciałby kiedykolwiek zobaczyć z bliska Górów, jeżeli podobna, obejrzyć szczegółowo to miejsce piękne i zdające się panować nad okolicą, na kształt punktu ogniskowego albo strażnicy.

— A dobrze, kotku — odpowiedział stary Darnowski — czemuż by nie? Można oglądać tę strażnicę, ile się podoba... co tu robić? oj, oj jak można! Strażnica! to prawda! I punkt ogniskowy także. Naturalnie, naturalnie! Trafnie nazwałeś rezydencję Oławickich, co tu robić, bardzo trafnie. Tak, tak; punkt ogniskowy i strażnica. Pojedziemy tam kiedykolwiek!

Chciałby także być w kościele zawrockim, o którym miał wspomnienia dość mętne, lecz pociągające. Raz zbierając z Bronią orzechy zapytał:

— Kiedyż pojedziemy do kościoła? Już dwie niedziele minęły, a jeszcześmy tam nie byli.

— Bo mama była chorą i deszcz padał, ale pojedziemy tam na Zielną...

— Kiedyż to będzie?

— Oj, Boże, Romek nie wie, kiedy Zielna? Któregoż dziś mamy?

— Czy ja wiem? pogubiłem dnie u was... zdaje się, że dwunasty...

— No, to Zielna piętnastego... Środa, czwartek, piątek, sobota... W sobotę!

Zaraz potem Bronia oświadczyła, że pomimo obecności Luni w Kaźmirówce, musi wcześniej wracać do domu; gdyby nie uroczyste przyrzeczenie, które dała przyjaciółce, byłaby nawet dnia tego wcale z domu nie wyszła, bo jest bardzo niepokojna o Irusię i czegoś jej żal, sama nie wie dlaczego, ale taki jej żal Irusi!

— A cóż jest kuzynce Irenie?

Bronia wcale nie wiedziała, co jej było, ale że coś złego, o tym miała przekonanie najmocniejsze. Albo chora jest, albo czymś bardzo zmartwiona, to pewno. Od jakiegoś czasu nie gawędzi z nią w czasie lekcji i po lekcjach, jak to bywało dawniej, ani zaśpiewa nigdy, ani zaśmieje się, czasem zaś tak się zamyśla, że gdyby jej kto nad głową wystrzelił, to by może nie usłyszała. W zeszłą niedzielę, kiedy to mama była chorą na migrenę, Irusia prawie cały dzień w jej pokoju przesiedziała, a Bronia zastępowała ją przy gospodarstwie...

— Doskonale pamiętam ten dzień uroczysty — przerwał Roman — bo byłeś w nim ze swoim fartuszkim gospodar-skim uroczysta jak święto; co ci nie przeszkodziło stłuc dwa talerze i jedną szklankę...

— Niech Romek nie żartuje, bo mnie się płakać chce...

— Jeżeli Broni chce się płakać, to już chyba skończenie świata nastąpi — zażartował jeszcze.

— Niech Romek nie żartuje, ale słucha... — upomniała znowu dziewczynka.

Słuchał i żartami ukrywał tylko przed nią, może przed samym sobą, wzruszenie, z którym słuchał o domniemanej chorobie albo wielkim zmartwieniu Irusi. Bronia jednak nie miała do opowiedzenia nic nadzwyczajnego; to tylko, że kiedy owej niedzieli weszła raz do przyciemnionego pokoju matki chorej na migrenę, znalazła Iruś, klęczącą przy jej łóżku, szepczącą jej coś po cichu i troszkę płaczącą. Troszkę tylko... Nie trzymała nawet chusteczki przy oczach, ale że miała łzy w oczach i nawet parę ich na policzkach, tego Bronia była pewną. Przedtem nigdy nie zdarzało się to Iruś. Doglądała zawsze mamy w czasie jej chorób drobnych, ale częstych; aby jednak szeptała o czymś albo płakała, tego Bronia nie spostrzegła dawniej nigdy. Musi mieć chyba zmartwienie wielkie, albo może jest niezdrową. Pewno nawet, że nie jest zupełnie zdrową, bo ile razy Bronia ją zapytała, dlaczego jest jakąś inną, niż była, zawsze odpowiadała, że głowa ją boli. To rzecz zupełnie nowa, bo dotąd Iruś zdrową była jak ryba. Może zaraziła się od mamy, która, gdy tylko ma migrenę, na krok od siebie jej nie puszcza. Czy migreny są zaraźliwe? Romek, chociaż i nie doktor, może wie, czy migrenami można zarazić się od kogo? Roman, chociaż nie był doktorem, upewnił ją, że migreny nie należą wcale do chorób zaraźliwych, i tak się zamyślił, że paru zapytań, które jeszcze dziewczynka mu zadała, nie usłyszał, a zamiast orzechów zerwał z krzaka kilka szorstkich liści leszczynowych. Bo tę rozmowę prowadzili wśród leszczyn tak wysokich i gęstych, że cały świat przed nimi zasłaniały. Bronia w zapale orzechobrania przedarła się sama i towarzysza wprowadziła w największą gąszcz zarośli, Lunię trochę opodal pozostawiwszy. Miała już fartuszek i wszystkie kieszenie napełnione orzechami, których powłoka ruda i lśniąca wyglądała z szorstkich, seledynowych kielichów; że jednak wiele ich jeszcze znajdowało się na krzakach, zaczęła

je pełnymi garstkami oddawać Romanowi prosząc, aby je kładł do kieszeni surduta i choćby do kapelusza.

— To dla Irusi. Ona bardzo lubi orzechy i tak śmiesznie je gryzie! Weźmie w usta, rozkąsi łupinę i chrumst, chrumst, już po orzeszku! Nikt nie potrafi gryźć ich tak prędko, ani ja nawet. Tatko i Stefek aż zachodzą od śmiechu, kiedy Irusia zacznie po swojemu jeść orzechy. Chrumst, chrumst, i po wszystkim!

Śmiała się. U niej śmiech po żalu i żal po śmiechu przychodziły jak sekunda po sekundzie. Ale Roman biorąc z jej garstek orzechy i napełniając nimi kieszenie był ciągle bardzo zamyślonym. Wkrótce też wyszli z leszczyn; małe przyjaciółki bardzo zawzięcie szeptały o czymś do siebie przed pożegnaniem, a Roman idąc z Domuntem ku wrotom podwórka zapytał:

— Czy nie wiesz, dlaczego Bohdan Rosnowski nie przyjeżdża do Darnówki? Odkąd tam jestem, nie był ani razu, chociaż podobno...

— Bo miał znowu atak febry. Widziałem kogoś z Zawrocia, kto mi mówił, że Bohdana znowu febra zaatakowała, bardzo zjadliwa podobno i uparta...

— Co to za historia z tą febrą Rosnowskiego, z tym psem i z tym bzikiem? — trochę ironicznie i niechętnie zapytał Roman.

Po myśli kręciły się mu wyrazy: „Martwi się i płacze, choć bez chusteczki przy oczach, bo konkurent nie przyjeżdża i myśli, że go utraci, albo i utraciła. Naturalnie. Cóż może być więcej naturalnego? Dwadzieścia pięć lat... sam rozkwit młodości, konkurent rzadki jak łabędź czarny i podobno partia świetna!”

Co do febry Rosnowskiego, była to historia dość ładna, którą Domunt znał i Romanowi opowiedział. W puszczy powierzonej zarządowi jego znajdowała się miejscowość rozległa, lecz bardzo mało znana, bo odstręczająca groźbą zarazy cię-

kiej, niekiedy śmiertelnej. Lasy i gleby dziewicze, mokre, bujne wyziewały tam febrę. Poprzednicy Bohdana ptakami przelatywali przez to miejsce, końcami skrzydeł zaledwie dotykali gruntu złowrogiego. On, przeciwnie, osiedlił się w nim na czas dość długi, sprawdził rozległości, zbadał bogactwa, stwierdził możliwość uzdrowotnienia, opisał je, można powiedzieć, że po prostu odkrył. Chaty leśników albo szałaszy budowane na prędcie służyły mu za mieszkanie, a wśród podwładnych, którzy w tym groźnym miejscu otaczali go z niechęcią dość naturalną, jedynym towarzyszem i przyjacielem jego był Swój...

— Pies?

— Tak; przed kilku laty szczenięciem wywiózł go z Zawrocia i podobno lubi go aż do śmieszności graniczącej z bziakiem...

— Musi to być jednak biczek malutki, bo nie przeszkadzający temu, że ze wazech stron jest on dobrą, a nawet świetną partią — zauważył Roman.

Domunt zaśmiał się.

— Skądże ci ta uwaga przysłała do głowy?...

— No, bo przecież ten bohater puszczy stara się o Irenę. Ma to być rzeczą pewną.

— Jest pewną — potwierdził Domunt — widziałem go przy niej parę razy i spostrzegłem wyraźnie, że jest nią zajęty...

— A ona? — zapytał Roman.

Domunt wzruszył ramionami.

— Nie wiem, ale przypuszczam... Cóż? jakkolwiek wydawała mi się zawsze zupełnie zadowoloną z położenia swego, jednak zakochanie się, wyjście za mąż prawie zawsze stoi u końca każdego położenia kobiety niezamężnej. Ma ona wprawdzie pewne pojęcia i dążenia, z którymi osoba i życie Bohdana niekoniecznie się harmonizuje, ale... czy ja wiem? serce nie służy... u kobiet zwłaszcza.

— I u mężczyzn często — gorzko jakoś dorzucił Roman.

Znajdowali się już u końca między zarosłej błękitną cykorią, kiedy dopędziła ich Bronia, zdyszana od prędkiego biegu.

— To już doprawdy! nie mogliście trochę poczekać na mnie! — dysząc ciężko i szybko, wyrzucała przyjaciółom, ale zaraz uczepiwszy się ramienia brata trzepała dalej:

— Lunia ani jutro, ani pojutrze nie wyjedzie z Kaźmirówki. Mówi, że jej coraz ciężiej rozstawać się z panem Kaźmierzem i że gdy on na stałe już przeniesie się do Kaźmirówki, ona też zostanie z nim tam zupełnie. Już i mama jej zgodziła się na to...

— Oddają mi moją złotą myszkę na gosposię, towarzyszkę i uczennicę — uśmiechnął się Domunt. — Przywiązała się do mnie ogromnie i zadanie włożone na nią przez Stefana wzięła tak do serca, że stałem się jedynym celem jej myśli i marzeń.

Szedł chwilę milcząc, potem ozwał się znowu:

— Miłosierdziem wielkim na tym świecie jest to, że człowiek, w najlepszym nawet wypadku bardzo biedny, znajduje zawsze po drodze jakieś serce, choćby malutkie, ale bliskie, swoje, które staje się dla niego źródłem letejskim i razem katarskim, to jest dającym zapomnienie i ochłodę.

— Nie zawsze — zaprzeczył Roman.

Spojrzał w górę i ku krańcowi widnokregu. Jak świat szeroki i długi nie miał żadnego serca bliższego, swego...

Mijali właśnie szmerzący wodospadek i wznoszące się nad nim gdzieniegdzie piramidki z osin spowiniętych w chmiele, gdy Bronia wyciągając naprzód rękę zawołała:

— Idą na spotkanie nasze... widzi Romek? widzi pan Kaźmierz te trzy osoby? To mama i Irusia... ale kto trzeci? Tak daleko, że jeszcze nie poznają...

— A ja poznaję — rzekł Domunt — ale nie powiem, niech Bronia odgaduje...

— Już wiem... czy widzi Romek psa?... ja widzę! To Swój! O, biegnie już do nas! Kiedy jest Swój, to jest i pan Rosnow-

ski. On nigdy nie rozstaje się ze Swojem i ciągle z nim rozmawia.

— Co Bronia plecie? jakże można z psem rozmawiać?

— Zobaczy Romek. Swój dużo nawet mówi...

— Co Bronia wygaduje? jakże pies może mówić!

— Zobaczy Romek! Swój! Swój! Pójdź tu! Widzi Romek, jaki on ładny! Taki duży, kudłaty, a łagodny jak baranek!

Był to na poły kundel krajowy, na poły pasterz tyrolski, niezwykle duży, z sierścią bardzo obfitą, głową ogromną i potężnym, kiciastym ogonem: piękne, silne zwierzę w łaty szare i żółte. Z Bronią, która przepadała za psami, łączyła go już widać znajomość dość bliska, bo wielkimi susami nadbiegłszy skoczył jej wprost na piersi, po czym w mgnieniu oka opadł na ziemię, okręcił się i wracał do osób nadchodzących ze strony przeciwnej. Stamtąd głos męski, przyjemnie brzmiący wołał:

— Swój! Swój!

Pies już stał oparty przednimi łapami na piersi mężczyzny, który go wołał, kudłaty łeb przybliżał do samej prawie jego twarzy i w sposób urywany, radosny poszczekiwał. Mężczyzna zaś mówił:

— Dobrze, dobrze, już wiem! Ci państwo, na których spotkanie wyszliśmy, już nadchodzą. Puśćcie mię do nich...

— Hau, hau! — szczeknął pies tak zupełnie, jakby mówił: dobrze! dobrze! i poskoczył na bok, zaś właściciel jego szybko postąpił naprzód i z ręką przy kapeluszu przemówił:

— Na wypadek, gdybym nie był poznanym, przedstawiam się...

Ale nie skończył, bo Roman zdejmując kapelusz wydeklował:

— Epaminondas post pugnam apud Mantineam cum gravi...

— Cha, cha, cha! — zaśmiał się Rosnowski — więc pa-

miętasz... Prawda! Dopomagałem ci borykać się z łaciną, ja, wielki siedmioklasista, tobie, żaczkowi.

Ręce ich spoiły się uściskiem silnym, ale krótkim.

— Góra z górą — mówił Rosnowski — trzebaż trafu, abyśmy jednocześnie znaleźli się w tych stronach!

Roman podaniem ręki witał się z Ireną, której dnia tego jeszcze nie widział. Wyszedł do Kaźmirówki przed południem, kiedy ona była czymś gdzieś zajęta. Szybkim spojrzeniem ogarnął jej twarz i postawę. Spostrzeżenia Broni musiały być pustym płodem wyobraźni dziecinnej. Jest spokojną jak zwykle i nawet wygląda bardzo świeżo. Wprawdzie jest przyczyna, która mogła nadać jej cerze tę piękną świeżość!

Szli wszyscy ku dworowi i znajdującej się u końca łąki bramce ogrodowej.

W powierzchowności Rosnowskiego były niektóre cechy wybitne, świadczące o indywidualności odrębnej i może nawet oryginalnej. Pięknym nie był, bo trochę zbyt duża szerokość ramion, obok wzrostu zaledwie średniego, czyniła postawę jego nieco ciężką i kwadratową. Ale czoło miał szlachetnie zarysowane, rozumne i wysokie pod przerzedzającymi się nieco włosami, a w niewielkich, piwnych oczach dużo też rozumu wraz z trochę znużenia czy smutku. Cera jego była żółtawą i policzki nieco obwisłymi od niedawnego znać schudnięcia, co chwilami, szczególnie gdy milczał i patrzył wzrokiem znużonym, czyniło go starszym, niż był istotnie. Za to głos przyjemnie brzmiący nabierał niekiedy tonów bardzo ciepłych, choć znowu niekiedy zdawał się w nim przebijać ton wyższości, wprawdzie bardzo lekki, bo cały układ Rosnowskiego odznaczał się grzecznością prawie zbyt dużą, prawie wyrafinowaną. Mówiąc, w sposób niejako okrągły pochylał głowę ku osobie, do której mówił, i w gestach ręki, dość częstych, miał także okrągłość jakąś, grację niezupełnie naturalną, jakby nabytą i sztuczną. W ogóle sprawiał wrażenie człowieka rozum-

nego, bardzo pewnego siebie, trochę znużonego, z trochę też smutku kędyś na dzień.

Z tymi ciepłymi tonami w głosie brzmiącym miękko i przyjemnie witał Romana, lecz wnet potem, gdy wypytywał go począł o miejsce, warunki, nadzieje, wśród których miał żyć i pracować po wyjeździe z Darnówki, miał trochę pozór mentora albo tryumfatora, który już spory kawał drogi uszedł z powodzeniem niezaprzeczonym.

— Cieszę się bardzo — mówił — że spotkaliśmy się właśnie w chwili, gdy otrzymałeś to, co ci się niewątpliwie należało, co zapewnia przyszłość nie tylko materialną. Bo co do mnie przynajmniej, to po dość długich już doświadczeniach doszedłem do przekonania, że nie ma dla człowieka nieszczęścia większego nad niemożność wyrabiania, ćwiczenia i rozwijania w całej pełni swoich energii i zdolności. Im wyższym i szerszym jest pole działalności, tym większa szansa szczęścia, a przynajmniej... zapomnienia o powszechnym, koniecznym nieszczęściu.

Przy ostatnich słowach uśmiechnął się i wzrokiem, który nagle przybrał wyraz znużenia, spojrzął gdzieś daleko, po czym zaraz na parę sekund zwrócił go ku Irenie, która opodał nieco od rozmawiających szła sama jedna brzegiem strumienia. Zaraz jednak z okrągłym gestem szyi i ręki zwrócił się znowu do Romana:

— Jeżeli moje doświadczenie na cokolwiek przydać ci się może, gdybyś wypadkiem potrzebował jakichś wiadomości, wskazówek, którymi mógłbym ci być użytecznym, miej mię, proszę, za swego wiernego przyjaciela i sługę.

Było to bardzo uprzejme i wytworne, ale zarazem trochę z wysoka wzięte i powiedziane.

Pani Paulina wskazywała oddalony punkt łąki, na którym stała grupa drzew pięknie oświetlona i wycieniowana przez zachodzące słońce.

— Po takiej naturze dzikiej i poetycznej, wśród jakiej pan

przebywa — mówiła — nasze drzewiny muszą wyglądać bardzo mizernie. Ach, ach, ach! Jakaż to być musi wspaniała ta puszcza ogromna i prawie dziewicza! Kiedy czytam w podróżyach o takiej naturze olbrzymiej, prawie bajecznej, zdejmuję mię ogromna tęsknota za światem innym, piękniejszym. Ach, ach, ach! chciałabym bardzo podróżować, zawsze marzyłam o podróżach, ale, ach, ach, ach, marzenia a rzeczywistość to wielka różnica. Chociaż... z drugiej strony... może to już przyzwyczajenie, ale drzewa darnowskie tak kocham, tak kocham, że gdy którego z najulubieńszych nie widzę długo, mówię mu zawsze: „Jak się masz!“, jakby czemuś żywemu.

Rosnowski patrząc na grupę drzew przez panią Paulinę wskazywanych rzekł z uśmiechem:

— Sielanka!

— Nie jesteś czcicielem natury? — z trochę ironii zapytał go Roman.

— Owszem, owszem, tylko że za dużo żyję z nią sam na sam.

Opowiedział, że z puszczy, której jest jednym z głównych dozorców i gospodarzy, wydała się zaledwie parę razy na rok dla odwiedzenia miasta oddalonego i w którym nic go szczególnie ani zajmuje, ani bawi. Zresztą, żyje w samotności głuchej mając do czynienia tylko z podwładnymi rozsianymi na przestrzeniach znacznych i przybywającymi do niego tylko po rozkazy i dla narad o interesach. Za to często w rozmaitych kierunkach objeżdża puszcę i może pochlubić się tym, że jest jednym z pierwszych, którzy na te obszary rozległe wprowadzili uprawę racjonalną, doświadczyli i zastosowali do nich teorie wskazywane przez naukę. Zgromadza też materiały obfite do dzieła, które może przyniesie parę zapatrywań się niezwykłych na wielką kulturę leśną...

— Samotność twoja jest bardzo zapełnioną — zauważył Roman.

— Bardzo zapełnioną — uśmiechnął się Rosnowski —

upływają miesiące, ba, czasem bardzo długie, w czasie których nie mam do kogo przemówić jednego...

Tu, jakby tknęło go przypomnienie naglące, zwrócił głowę ku lasowi, u którego brzegu migotały dwa biegające punkty. Była to Bronia uganiająca się pomiędzy drzewami z psem dużym i wesołym.

— Swój! Swój!

Piękne zwierzę przybiegło natychmiast w poskokach i parę razy okręciło się u nóg pana, który patrząc na nie tonem wyrzutu zapytał:

— Gdzie byłeś?

Pies podniósł pysk i wydał parę urwanych szczeknięć.

— Porzucasz mię! — mówił Rosnowski — wiesz jednak, że tego nie lubię!

— Hau, hau! — zaszczekał Swój tonem trochę smutnym.

— Strzeż się, Swój, bo przestanę cię lubić i źle nam będzie!

— Hau! Hauuu! hauuu!

Było to już nie szczekanie, ale wycie zupełnie żałosne.

— No, nie płaczże już zaraz! Przepróż mię!

— Hau, hau, hau, hau!

Tym razem szczekanie objawiało radość. Pies po uśmiechu i tonie głosu zrozumiał, że otrzymał przebaczenie, rzucił się na pierś pana i lizał jego rękę.

— Dosyć już tych przeprosin. Możesz iść, ale nie odchodź daleko, bo nie lubię tracić cię z oczu.

Jeszcze jedno szczeknięcie pokorne, przymilone i Swój zaczął kroczyć z powagą o kilka kroków przed idącymi, w prostej linii przed swoim panem.

Pani Paulina unosiła się nad rozumem tego zwierzęcia, a zwłaszcza nad jego przywiązaniem. Domunt powstrzymywał się przez chwilę, ale potem opanowany wesołością wrodzoną i trwającą w nim pomimo wszystko, zaczął bez ceremonii śmiać się. Rosnowski wyłącznie do Romana przemówił:

— Przed trzema laty wywoziłem go stąd szczenięciem.

Przywiązaliśmy się na wzajem do siebie. Żyjemy tylko we dwóch.

Potem zwrócił się do Domunta:

— Bardzo rad jestem, żeśmy się tu spotkali, bo miałem prosić Stefana, aby na godzinkę dziś jeszcze ze mną do pana pojechał. Otrzymałem niedawno list od Marcelego tyczący się pana i nie mogłem dotąd zakomunikować jego treści, bo byłem chory i nie wyjeżdżałem z domu.

— Domyślam się treści listu Marcelego — odparł Kazimierz, który nagle się zachmurzył.

— Zakomunikuję ją dziś panu i Stefanowi, a jeżeli pan pozwoli, złożymy małą naradę nad odpowiedzią, którą bratu pańskiemu mam wysłać.

Kazimierz skłonił się dotykając lekko czapki. Stosunek jego z Rosnowskim był dość dalekim i etykietalnym; za to dla Marcelego uczony leśniczy zdawał się wyznawać szacunek bardzo wysoki i uczuwać sympatię żywą. Zaraz opowiadać zaczął Kazimierzowi o ostatnim widzeniu się swoim z jego bratem, przed parą laty. Spotkali się wypadkiem w mieście, które Rosnowski odwiedzał niekiedy, a do którego interesy sprowadziły na chwilę najstarszego z Domuntów. Nagadać się z sobą nie mogli. Marceli jest wcieleniem człowieka nowożytnego, takiego, jakich właśnie świat dzisiejszy potrzebuje najbardziej i czci najwięcej. Energia niezmordowana, rozum trzeźwy i bystry, nauka duża, jakiś duch pchający do wiecznego dążenia naprzód. Daleko też zaszedł i zajdzie jeszcze dalej. Za lat niewiele będzie to fortuna bardzo wielka i imię bardzo głośne.

Roman zbliżył się do Ireny, ciągle opodal trochę idącej.

— Stosunek tego biednego Bohdana ze Swojem prawie do łez mię rozczuła — rzekł półgłosem.

— Tkliwość twoja jest wielką, kuzynie — odpowiedziała.

— Zazwyczaj bywa umiarkowaną, ale ten casus psychologiczny dziwnie do niej trafia. Głęboko rozumiem tego więźnia, który w samotności swojej pokochał pająka...

W oczach jej zapaliło się światło żartobliwe, ale nic nie odpowiedziała. Roman ciszej jeszcze niż przedtem rzekł:

— Przypuszczam też, że twoje dobre serce, kuzynko, zlituje się nad samotnikiem.

Spojrzała na niego zadziwiona i nagle spłoniona, ale trwało to sekundę, po czym śmiejąc się odpowiedziała:

— Moje dobre serce jest bardzo niespokojne o wieczerzę dzisiejszą. Wujenka chciała koniecznie, abym z nią poszła na wasze spotkanie. Poszłam, a teraz co najprędzej biegnę do domu.

Wzięła za rękę Bronię i bardzo szybko wyprzedziwszy towarzystwo zniknęły obie wśród drzew ogrodu.

Na dziedzińcu panował już zmrok zupełny. Pani Paulina i Domunt weszli do domu, Rosnowski przystał i wzięwszy Romana pod ramię zaczął powoli przechadzać się wzdłuż krzewów rosnących pod oknami już oświetlonymi.

— Jak długo tu zabawisz?

Pytanie to posiadało dla Romana właściwość irytującą. Bąknął coś o kilku dniach, tygodniu... Rosnowski zaczął znowu winszować mu posady otrzymanej.

— Nie tylko dlatego ci winszuję, że to jest byt, nawet dobrobyt zapewniony, bo przecież wartość życia nie sprowadza się do żywności lepszej lub gorszej. Jesteśmy dziećmi światła umysłowego, w jego kręgu żyć i jemu służyć musimy. Swój! czego jesteś taki smutny?

Pies krok w krok za nim chodzący podniósł głowę, ale tym razem nic nie odpowiedział.

— Choćby nawet ta służba ciężką była, musimy służyć postępowi i kulturze świata... inaczej, jesteśmy niedołączkami lub dezterterami...

Przechodzili około okien jadalni, przez które widać było jeden stół nakryty do wieczerzy i drugi, mniejszy, przy którym siedziało kilku ludzi. Jednym z tych ludzi był Stefan, trzej inni, w odzieży grubej, mogli być chłopami zamożnymi lub

małymi mieszczanami z miasteczka sąsiedniego. Pomiedzy nimi a Stefanem leżały papiery rozrzucone na stole; slychać też było mały gwar ich rozmowy.

— Potrzebuję pomówić obszernie z młodszym Domuntem w obecności Stefana — mówił Rosnowski — ale widzę, że teraz zajęty jest jakimś konsylium. Niechże je skończy. Jaki dziwny chłopiec z tego Stefana! prawda? Jak ty się z nim godzisz? Bo co ja, to wcale jeszcze go nie rozumiem... jakieś marzycielstwo... jakaś utopia czy zdziczałość...

Roman nie odpowiadał; Rosnowski też zaczął zaraz mówić o stolicy, w której dotąd Roman przebywał.

— Ach! te wielkie miasta! — westchnął — to są prawdziwe zbiorowiska światła!

— Trochę także i błota — uśmiechnął się Roman.

— Jesteś nieco rozczarowanym, jak uważam... Zapewne! masz słuszość. Każdy medal ma dwie strony, z których jedna jest odwrotną. Jednak ci tylko, którzy żyją w tych wielkich zbiorowiskach światła, albo przynajmniej zachowują z nimi spójność ciągłą i ściśłą, mogą cokolwiek zrobić... czymkolwiek stać się i cokolwiek zrobić dla postępu świata...

Przechodzili znowu około oświetlonych okien jadalni. Roman widział dokładnie profil Stefana, delikatny i nieco zaostrzony, pomiędzy otaczającymi go twarzami grubymi i płaskimi. Przez głowę przemknął mu wyraz: lampa! Swoją zaszczał parę razy z cicha i trochę smutnie.

— Czego chcesz? a, wiem już, wiem, nudzisz się! chcesz do domu!

— Hau! hau!

— Poczekaj trochę! Z dawnym kolegą spotkałem się i rozmawiam. Nie co dzień spotyka się ludzi, których się o wschodzie życia znało i kochało. Powinieneś to rozumieć, Swoją, bo sam kochać umiesz...

Swoją słuchał z uwagą wytężoną i odpowiedział już tylko warknięciem cichym i zrezygnowanym.

Rosnowski stanął i zatrzymując towarzysza, poufale dotknął klapy jego surduta.

— Tylko, wiesz co, Romanie? ożeń się wpierw, nim wyjeździesz, ożeń się koniecznie, bo samotność, tęsknota to rzeczy piekielne... Pomimo pracy, nauki, powodzenia czasem zwariować można. Zresztą, nie wiem... Możem ja tylko taki... Matka, siostry, wychowały we mnie zwierzę sentymentalne, którego pozbyć się nie mogę... Możemy wszyscy zbyt sentymentalni i w tym bieda nasza! Ale co tu robić? Z takimi, na przykład, Darnowskimi, co tu robić? Po prostu śnią na jawie...

Roman patrzył właśnie przez oświetlone okno w głąb jadalni, gdzie nieznanomi ludzie stojąc już rozmawiali ze Stefanem. Wysoka i rzeźka postać Darnowskiego nie miała w sobie cech senności. Nawet „zwierzę sentymentalne“ z niej nie wyglądało, a przynajmniej zachowywało się daleko spokojniej niż u Rosnowskiego, który ciągle trzymając w palcach klapy surduta Romana, z niepokojem daremnie powściąganym bardzo cicho mówił:

— Musiałeś już z bliska poznać swoją kuzynkę, pannę Irenę. Znałem ją niegdyś, długo nie widziałem, teraz mię oczarowała. Można znaleźć piękniejsze od niej, ale ma w sobie spokój, wdzięk i jakąś czystość doskonałą, które czarują!... Taka dobra, pewna dusza patrzy jej przez oczy, nawet przez ruchy, prawda? Szalenie miłą byłaby taka towarzyszka życia... Czego chcesz, Swój? Dokuczasz mi na koniec! Bądź łaskaw grzeczniej się zachowywać!

Pies wielką łapą dotknął go był parę razy w bok i rękę, ale usłyszawszy przemówienie do niego zwrócone, szczechnął z cicha: tak! tak! i ze zniecierpliwionym stęknieniem runął jak długi u nóg pana. Rosnowski mówił, a raczej szeptał dalej, coraz niespokojniej:

— Lękam się tylko, bardzo się lękam, czy nie zaraziła się... teoriami! Takie rzeczy są dla kobiet niepotrzebne i — niebezpieczne. Mogą bardzo stawać im w drodze do szczęścia, które

dla kobiety w czymże być może? Naturalnie, w miłości, w rodzinie, w niczym innym. Stefan jest fanatykiem i mógł bardzo tej dobrej i ślicznej dziewczynie wmówić swoje sentymentalne — przepraszam cię — bzdurstwa. Lubię go i szanuję, ale to siła stracona, dezterter wielkich spraw świata...

Ten, o którym mówił, wyszedł w tej chwili na ganek w towarzystwie swoich gości, z którymi zamieniał uściśnienia rąk i pożegnania. Żegnając go dziękowali, on zaś jeszcze przypominał im coś i zalecał. Po chwili odeszli ku dwom jednokonnym wózkom stojącym przed oficyną, a młody Darnowski zwrócił się do Rosnowskiego i Romana, którzy właśnie wchodzili na ganek. Wydawał się zadowolonym i nawet wesołym.

— Przepraszam was, moi drodzy, za chwilowe zaniedbanie, ale ci ludzie to moi koledzy. Rolnicy, tak jak ja, radzą się u mnie czasem w swoich małych kłopotach. Chciałeś, Bohdanie, abyśmy pomówili o interesach Kazia? Owszem, zaraz po wieczery proszę was wszystkich do mego pokoju na górę. Pomówimy tam swobodnie i obszernie.

Mniej niż w godzinę potem wszyscy czterej znaleźli się w pokoju Stefana, w połowie tylko oświetlonym lampą palącą się na stole, pośród mnóstwa papierów rozrzuconych. Rosnowski, który od lat wielu po raz pierwszy był w tym pokoju, ciekawie rozejrzał się dokoła i Roman spostrzegł, że spojrzenie jego kilka razy powracało do wiszącego na ścianie krzyża. Przez otwarte okno wchodziła tu świeżość wieczorna wraz z zapachem kwiatów rosnących na klombach. Promień lampy padał na szafę z książkami i w jednej z jej szyb zapalał żółte światelko. Swój leżał u nóg pana, który wyjmując z kieszeni pugilares i rozwijając list z niego wyjęty ozwał się z żartobliwością osłaniającą trochę zmieszanie.

— Przede wszystkim, moi panowie, miejcie to na uwadze, że posła nie ścinają ani wieszają nawet w czasach wojennych. Posłem jestem od Marcelego Domunta do jego brata i posel-

stwo swoje chcę sprawić w obecności ludzi bliższych mu ode mnie.

Stefan skłonił się lekko. On, Rosnowski i Roman siedzieli przy stole; Domunt umieścił się dalej, nieco w cieniu. W liście, który Rosnowski czytał, Marceli Domunt prosił dawnego sąsiada i kolegę, z którym przed paru laty odnowił znajomość, o wywarcie wpływu na Kazimierza i jeżeli to było podobnym, o skłonienie go do przyjęcia propozycji starszego brata, parę razy już czynionych i odrzucanych. Jakkolwiek obowiązki zawodu, z którymi łączyły się wszystkie upodobania i nadzieje piszącego, od dawna już rozłączyły go z rodziną, to jednak nie utracił serca dla niej i los każdego z jej członków obudzał w nim zajęcie i troskliwość. Katastrofę, która zdruzgotała karierę Kazimierza świetnie rozpoczętą, odczuł boleśnie; zaraz też o tym, co zaszło, uwiadomiony przez matkę ofiarował się bratu z pomocą chętną. Zawezwał go do siebie, chciał mu dać zajęcie, byt zapewniony, możność odznaczenia się i postępowania naprzód. Na tę propozycję otrzymawszy odpowiedź odmowną pisał i nalegał po raz drugi ze skutkiem tym samym. Odmowę swoją Kazimierz tłumaczy pobudkami tak dziwnymi, że czytając jego listy prawie oczom swoim wierzyć nie chce. Píše o potrzebie oczyszczenia się przed samym sobą, spłacenia długów ziemi, którą był opuścił, dania z siebie przykładu pracy prostej i pozbycia się pychy, zadawalania potrzeb serca uczuciami rodzinnymi itd., itd. Czy podobna? Czy naprawdę istnieją jeszcze gdziekolwiek ludzie myślący w sposób podobny i czy to nie jest snem, że brat jego, niedawno jeszcze taki trzeźwy i tak wiele dla przyszłości rokujący, należy do ludzi z takim bajecznym sposobem myślenia? Skąd się to u niego wzięło? Na jaką Atlantyde trafił po swoim rozbiciu? Zapewne to rozbicie winne wszystkiemu. Marceli rozumie i z łatwością wyobraża sobie, jak bardzo koleje przebyte i cierpienia przeniesione wstrząsnąć musiały systemem nerwowym Kazimierza i wszystkie jego urojenia nieprawdopodobne przypisuje zde-

nerwowaniu zapewne szalonemu. Przypomina sobie zresztą usposobienia brata, które zawsze czyniły go skłonny do entuzjasmowania się z przyczyny byle jakiej, do wyłamywania się spod reguł i wymyślania dla siebie dróg i celów coraz nowych. Takie natury zapalczywe i szukające są bardzo szlachetnymi naturami, ale też więcej od innych narażonymi na zmarnienie i zgubę. Marceli nie może spokojnie myśleć o prawdopodobnej zgubie brata, jakkolwiek nie widzianego od lat wielu. Nie może spokojnie wyobrażać go sobie osiadłego na małej dzierzawce i oddającego się grubym pracom fizycznym. To jest nędza, upokorzenie i marnowanie sił i zdolności. Gdyby nie było już możliwości innej, to coś robić? są i muszą być na świecie nędzarze gatunku rozmaitego. Ale skoro są środki, jest droga, w ręce wchodzi i naprasza się sposobność życia innego, lepszego, trzeba być szaleńcem, aby tak uparcie trzymać się jakichś idei przedpotopowych. Bo dziś już chyba jakaś skamieniałość przedpotopowa może roić o wdziękach stanu pasterskiego i popędzając woły deklamować z rozkoszą bukoliki. Każdy zaś, kto zna świat społeczny, wie o tym, że z pędem nieposkromionym zdąża on do celów bynajmniej nie idyllicznych. Motorem jego jest energia śmiała, niezmordowana i w pewnej mierze nawet bezwzględna; osiami, dokoła których się obraca, są: bogactwo i potęga. One tylko są szanowane, one dyktują prawa świata, one zarządzają losami jednostek i ludów. Może to być dobrze, może być źle, ale jest i panuje, a temu, co jest i panuje, tylko szaleńcy mogą wytaczać wojnę, zawsze dla nich przegraną. Gdy na zielonych łąkach deklamować będą idylle albo opowiadać parabole ewangeliczne, wóz bożków świata przejdzie po nich i kości im pogruchoce. Wszystkie te względy i rozważa skłoniły piszącego do nowej jeszcze próby ratowania brata. Dowiedziawszy się z listu matki o pobycie Bohdana w tamtych stronach, udaje się do niego z prośbą itd., itd. Jako umysł trzeźwy, jasny i doświadczony, znajdzie on może drogę do umysłu Kazimierza, wstrząśniętego

przez zdarzenia dziwne i rzeczywiście srogie, przekona go może itd., itd.

Tu Bohdan Rosnowski plecy na poręcz krzesła odrzucając rękę białą i pulchną z listem niedoczytanym na stole położył. Z okrągłym ruchem szyi zwracając się ku Kazimierzowi powiedział w zwięzłych słowach, że zdania wyrażone w liście Marcelego podziela prawie zupełnie; prawie, bo w jednym z nich uczyniłby modyfikację, według niego bardzo ważną. Mianowicie, do dwóch osi świata przez Marcelego wyliczonych dodałby trzecią i nawet umieściłby ją na miejscu pierwszym, jako źródło, z którego powstają dwie następne. Bogactwo i potęga. Bardzo dobrze. Ale trzeba mówić: wiedza, bogactwo i potęga, bo właściwie pierwsza wytwarza następne i bez niej nie ma ich i być nie może. Ale to dowodów zmierzających do przekonania pana Kazimierza nie tylko nie osłabia, lecz jeszcze je wzmacnia. Do dwu motywów, które powinny nakłonić go do przyjęcia propozycji braterskiej, przybywa trzeci. Poświęcając się idylli albo, jeżeli kto woli, parabolom ewangelicznym, nie tylko nie doścignie bogactwa i znaczenia w świecie, które jest częstką potęgi, ale zmarnuje siły i zasoby umysłowe, a jemu, to jest mówiącemu, o ten właśnie punkt najwięcej idzie i z niego to wychodząc czuje chęć najżarliwszą poparcia całą małą wymową swoją żądania i prośby Marcelego Domunta.

Kiedy przestał mówić, milczenie panowało w pokoju przez minut parę. Stefan, trochę chmurny, paląc zwolna papieros, patrzył na papiery stół okrywające; Roman trochę nagłym, nerwowym ruchem wstał z krzesła i odszedł ku oknu, gdzie usiadł w zupełnym prawie cieniu. W cieniu także siedzący Kazimierz po paru minutach zaledwie ozwał się głosem, który usiłował być swobodnym, ale w którym czuć było wzruszenie:

— Czy pan ma zamiar odpisywać Marcelemu?

— Naturalnie, jakże może być inaczej? Jakimkolwiek byłby rezultat naszej rozmowy dzisiejszej...

— Raczże pan z łaski swojej napisać mu przede wszystkim to, że czuję się wzruszonym jego przyjaźnią i dobrocią prawdziwie braterską, co zresztą sam parę razy mu wyrażałem. Ma on niewątpliwie serce dobre i zdolne do uczuć bardzo szlachetnych, ale nie zgadzamy się w przekonaniach, oto wszystko. Może ta niezgoda wyniknęła z różnicy natur albo losów i wpływów, ale jest, a temu, co jest, według własnych słów Marcelgo, nie należy wypowiadać wojny...

— Bo można być zdruzgotanym lub kogoś zdruzgotać! Racja! — uśmiechnął się Rosnowski.

— Tak jest — ciągnął Kazimierz — ja zostanę małym dzierżawcą i będzie mi z tym dobrze, tak jak jemu jest dobrze być wielkim aferzystą. Inna wiara, inne życie, tak być musi. Ja kocham go pomimo jego afer, których nienawidzę, niech on nie odbiera mi przychylności swojej pomimo mojej dzierżawki, którą gardzi. Jeżeli kiedykolwiek przyjedzie w te strony, z radością powitam go w Kaźmirówce i uczęstuję misą kartofli albo szklanką mleka. Będzie to idylla, z którą rad bym podzielić się z nim, choć przez krótki moment, gdyby tu przybył. Ja do niego nie pojadę.

— Stanowczo powiedziane — rzekł Rosnowski.

I zaraz zwrócił się do młodego Darnowskiego:

— Cóż ty na to, Stefanie?

Małe, ale rozumne oczy jego nabrały wyrazu ciekawości bardzo żywej.

Stefan wzruszył ramionami.

— Jeżeli kiedykolwiek wpływałem na Kazia, to już jest rzecz zrobiona i skończona. Teraz niech robi, jak chce. Zresztą, nie wywiera się na człowieka wpływu przez słowa.

— Przez cóż się go wywiera?

— Przez przykład i uczucia — odpowiedział Stefan.

Uśmiechnął się i trochę drwiąco dodał:

— Niech Marceli obudzi w bracie, a raczej wskrzesi miłość dla afer, a zarazem przekona go, że one są dla niego obo-

wiązkiem, a pojedzie on najpewniej robić afery... Mieć dla czegoś miłość i czuć się względem czegoś do obowiązku, oto wszystko. Bez tego nic nie ma albo wszystko jest złe.

Rosnowski żywo poruszył się na krześle.

— Przepraszam cię, mój drogi. Miłość, obowiązek, bardzo dobrze, bardzo pięknie, sam to uznaję i sam tym żyję, tylko nie rozumiem, nie mieści mi się w głowie, pojąć nie mogę, do czego tu to wszystko? Co ma do czynienia miłość i obowiązek w tym, że ty, na przykład, człowiek dostatni, orzesz, kosisz, rąbiesz, że pan Kazimierz, człowiek oświecony i który może czynić wcale co innego, robić to będzie? Jakie tu kochanie? Co za cel? zmiłuj się... to coś mamutowego... ale może ja tu czegoś nie rozumiem? Jestem w tym stronach prawie obcym, więc wytłumacz mi, proszę, co wy właściwie robicie? Co to takiego, co wy robicie? Jaki to gatunek zabawki, czy utopii, czy powracania do stanu pierwotnego? Będę ci bardzo wdzięcznym, jeżeli mi wytłumaczysz...

Teraz oczy gorzały mu po prostu od ciekawości, z jaką wpatrywał się w Stefana, i policzki żółtawe poczęły się zarumieniać.

Stefan zaśmiał się.

— Jeżeli spodziewasz się, że wydeklamuję ci idyllę, to się zawiedziesz. Parabola wprawdzie jest, ale na dnie; na wierzchu zaś znajduje się fakt nadzwyczajnie prosty i prozaiczny, ten, że ja nie jestem, a raczej nie będę wcale człowiekiem, jak powiedziałeś, dostatnim...

— Jak to? — zawołał Rosnowski — przecież Darnówka...

Ale w tej chwili przerwało mu mowę uczucie zimna i wilgoci na ręku. To Swój dotknięciem pyska przypominał się panu swemu, przy czym patrząc mu w twarz rozumnymi oczyma warczał z cicha i trochę żałośnie. Rosnowski oburknął go prawie gniewnie:

— Nie mam czasu, Swój! Nie przeszkadzaj mi! Leż spokojnie!

Pies ziewnąwszy szeroko i głośno natychmiast zwinął się u jego krzesła w kłęb kosmaty. Rosnowski znowu chciwymi od ciekawości oczyma patrzył na Stefana, który mówił:

— Mam przecież brata i siostrę, a żywię nadzieję, że długo jeszcze nie utracę rodziców swoich. Podzieliliśmy tedy Darnówkę na cztery części, z których jedna należeć będzie do Leosia, gdy skończy nauki, druga stanowi posag Broni, w trzeciej osiedlę się sam, gdy się ożenię i zechcę mieszkać, jak chłopci nasi mówią, oprócz, to jest osobno i niezależnie od reszty rodziny...

— Ożenisz się! — z wahaniem w głosie powtórzył Rosnowski.

— Naturalnie, że się ożenię, może nawet wkrótce. Dla czegoż nie miałbym się ożenić?

— Bo mi ten twój pokój mocno pachnie całą zakonniką...

Mówiąc to rzucił spojrzeniem dokoła i dłużej nieco zatrzymał je na krzyżu.

Tak to się zdaje przybywającym z wielkiego świata — uśmiechnął się Stefan — w rzeczy samej zaś jest to zwyczajna izba rolnika-gospodarza, w której nie ma tylko...

Może chciał powiedzieć: zbytku, ale wpadł mu w mowę głos od okna:

— Parawaników chińskich!

To wtrącenie w rozmowę nazwy przedmiotu zupełnie jej obcego rozśmieszyło wszystkich.

— Skądże ci znowu parawaniki przyszły do głowy? — zapytał Rosnowski obracając się do Romana siedzącego prawie za plecami rozmawiających.

— Bo są modne i wiele ich widywałem.

— Otóż — ciągnął Stefan — chociaż nie mam w swoim pokoju parawaników chińskich, ożenię się jednak kiedyś, może wkrótce i osiadę na jednej czwartej Darnówki. Zanim zaś to stanie się ze mną, a Leos i Bronia wyrosną, wypuszczamy folwarki w dzierżawę... Mamy w tym wyliczenie swoje... takeśmy

już z ojcem uradzili. Realnie więc będę właścicielem jednej czwartej Darnówki, co nie jest wcale bogactwem i może być dostatkiem tylko przy pracy uporczywej i umiejętnej...

— Która w każdym razie mogłaby nie być własnoręczną — zarzucił Rosnowski.

— Zapewne — potwierdził Stefan — chociaż i taka nie zaszkodzi pewnie ani kieszeni, ani zdrowiu, ani głowie.

— Pytanie!

— Dla mnie rozstrzygnięte. Ale nawet przypuszczając, że jak ty, Bohdanie, mniemasz, zaszkodziłaby głowie, jest jeszcze wzgląd, który czyni ją dla mnie konieczną.

— Mianowicie?

— Mianowicie wzgląd zrzucenia pychy z serca. Jestem, mój drogi, stanowczym zwolennikiem zrzucania pychy z serca i zakasywania rękawów do robót prostych, takich, jakie się nadarzają, jakie są możliwymi, jakie nie wymagają od człowieka, aby im poświęcał to, o czym zapominacie, ty i Marceli, w swoim wyliczaniu osi świata...

— Więc oprócz dwóch Marcelego i trzeciej mojej, wynalazłeś jeszcze jaką?

— Nie wynalazłem jej, tylko, trochę może wyjątkowo, przypomniałem sobie o niej.

— Jakże się ona nazywa?

— Bardzo skromnie i staroświecko. Cnota.

— A! No, tak, zapewne, dlaczegoż nie? — rozważał Rosnowski — tylko to może posiadać tłumaczenia najrozmaitsze. Cnota! Ale jaka? Jest dwadzieścia tysięcy cnót! Synowska, małżeńska, ojcowska, obywatelska, kupiecka, europejska, afrykańska...

— I tam dalej — przerwał Stefan — tylko że wszystkie, oprócz afrykańskiej, nad którą niech Afrykanie łamią sobie głowy, mają jedno źródło, bez którego żadnej z nich nie ma. Trzeba coś kochać, poczuwać się względem czegoś do obowiązku i wiedzieć, że nie świat jest naszym sługą i podnóż-

kiem, ale my jesteśmy sługami cierpień ludzkich i idei boskich. Trzeba umieć kochać i służyć, chociażby służba była ciężką. To jest warunkiem wszelkiej cnoty i bez tego nie ma żadnej. Kto chce być dobrym synem, ojcem, obywatelem, Europejczykiem itd., musi zacząć od stania się dobrym człowiekiem. Inaczej nic z tego nie będzie...

— To jest — uwyraźnił Rosnowski — musi coś kochać, poczuwać się do obowiązku względem czegoś, zrzucić pychę z serca...

— I — dokończył Stefan — nie wołać z kazalnicy do innych: zrzucicie! ale przede wszystkim zrzucić samemu.

— Rozumiem — rzekł Rosnowski.

Uśmiech trochę ironiczny, z którym dotąd mówił i słuchał, zniknął mu z ust, zamyślił się na chwilę, po której, z zamyśleniem jeszcze, mówić zaczął:

— Jest w tym pewna głębia i loika, nad którą zastanawiać się warto. Nasuwają mi się tylko dwie poważne wątpliwości. Pierwsza ta, że skąd wy nabierzecie tyle robót prostych, ażeby one tym, którzy zdejmą pychę z serca, dały po prostu kawałek chleba? Co do mnie, nie wierzę, aby znalazło się wielu takich, którzy by zgodzili się zostać niepysznymi panami. To ideologia. Ale przypuśćmy... zawsze jednak, pyszny czy niepyszny, człowiek jeść musi. Dobrze, gdy kto, jak ty, Stefanie, ma warsztat albo warsztacik; będzie jednak zawsze wielu takich, którzy przyjdą do ciebie i zapytają: a po czymże, u licha, mamy orać?

— A ja nie zdolny będę dać im na to odpowiedzi, ja jeden, ani nawet nas dwóch, ani trzech, ani dziesięciu nie odpowiemy na to w sposób zadawalniający. Tylko wiele głów i wiele dobrych woli może stworzyć taką odpowiedź! Jakże chcesz, aby ona istniała, skoro nie ma takich głów i takich woli, które by jej szukały?

Tu do rozmowy wmieszał się Domunt przytaczając jakieś fakty i przykłady z życia Niemiec, w których stolicy długo

przebywał; Roman także ze swego oddalonego miejsca u okna rzucił parę uwag zaczerpniętych z doświadczeń i stosunków stron innych. Rosnowski nie był obcy różnym ekonomicznym potrzebom i robotom. Przez jakiś kwadrans gwar rozmowy, bardzo żywej, przez cztery głosy męskie prowadzonej, napełniał pokój Stefana. Mówiono o fermerach angielskich, młynarzach węgierskich, ogrodnikach francuskich, o wielu szczegółach będących w związku z drobnym rolnictwem, z handlem, przemysłem, z tymi prawie niezliczonymi robotami, dokoła których zwijają się skrzętnie różne mrowiska ludzkie. Kiedy na koniec przedmiot wyczerpał się trochę i rozmawiający umilkli, Rosnowski ozwał się pierwszy:

— To jedno. Ale może z tym dałoby się jakoś poradzić. Masz słuszość, Stefanie, trudno, aby się coś znalazło i wytworzyło, kiedy nikt ani myśli szukać i wytwarzać. Ale mar: wzgląd inny, dla mnie stojący w każdej sprawie na pierwszym miejscu. Mianowicie: poziom umysłowy pewnej gromady ludzkiej. Przyznam się, że nie winszowałbym społeczeństwu, które by w czasach dzisiejszych utworzyło lud pastuchów. Powiadacie, że fermerzy angielscy czytują „Timesa“, że chłopci czescy wznoszą świątynie sztuki, że można skończyć uniwersytet z powodzeniem, a potem bardzo pięknie nauczyć się jeszcze robić coś takiego, co niekoniecznie zostaje w związku ze studiami uniwersyteckimi. Bardzo dobrze; ale będzie to tylko oświata. Słusznie utrzymuje Stefan, że oświata wchodząc w sam szpik człowieka ulepsza jego samego, wszystko, co on robi, i wszystko, co się dokoła niego znajduje. To prawda; oświata czyni to wszystko; ale nie jest jeszcze nauką. Co się stanie z nauką prawdziwą, rzetelną, stosowaną do różnych gałęzi działalności ludzkich, z nauką, która jest...

— Towarem, przeznaczonym na wywóz — przerwał Stefan.

— Jak to towarem? — trochę rumieniąc się zawołał Rosnowski.

— Naturalnie; zdobywa się ją przeważnie dla potrzeb ryn-

kowych i wywozi się potem na różne rynki wołając do kupujących: kto da więcej?

— Pasztetu! — ozwał się u okna głos Romana.

Rumieńce na policzkach Rosnowskiego wzmożyły się i oczy zaświeciły obrazą.

— Moi panowie — rzekł — już kilka razy słyszałem w tej rozmowie oskarżenia w tym rodzaju, ale bądźcież sprawiedliwymi. Nie do wszystkich stosować się one mogą. Do mnie, na przykład, nie stosują się wcale. Zawód mój jest takim, że chociaż postępuję w nim szybko, dochody mam wcale skromne i nie będę mógł nigdy stać się nababem.

— Wiem o tym — skłaniając głowę rzekł Stefan — należysz do tych, którzy do nauki i zawodu swego mają zamiłowanie rzetelne...

— Pieniądzy mam tak niewiele — ciągnął z irytacją w głosie Rosnowski — że nigdy nie będę w stanie odkupić od brata jego połowy Zawrocia. On odkupi ode mnie moją, ale prawdopodobnie sprzeda z czasem cały Zawrót komu innemu, bo już się tam zaaklimatyzował i wrócić tu nie zechce. Ja zaś, który bym pewno wrócił na starość, będę na zawsze wygnanym ze swego kąta rodzinnego. Takim jest moje bogactwo... i nie macie przyczyny kłuć mi nim w oczy.

— To prawda — potwierdził Stefan — gdybyście jednak pozostali byli w Zawrociu, każdy z was byłby na jego połowie trzy razy bogatszy, niż ja będę na czwartej części Darnówki. Ale nie byłibyście pysznymi panami. Bo jak tam z pieniędzmi jest, to jest, zawsze przecież jesteście, Bohdanie pysznym panem...

Ale on nic na to nie odpowiedział. Wstał i odsunął krzesło z małym stukiem, od którego Swój przebudził się i skoczył na równe nogi.

Przeszedł się kilka razy po pokoju; za nim, krok w krok, chodził Swój. Gdy Rosnowski zawracał się u szafy z książkami z jednej strony, a u łóżka Stefana z drugiej, pies zawracał się

także i kroczył tuż za jego nogami, zwolna przedstawiając wielkie łapy, z kosmatym ogonem podniesionym i nieruchomym. Na koniec, nie wracając już do stołu, przy którym siedział przedtem, Bohdan Rosnowski ciężko opuścił się na łóżko Stefana. Światła dochodziło tam tyle tylko, że widać było zarysy postaci ludzkiej, naprzód pochylonej i ramieniem otaczającej szyję psa. Zza tej grupy wysuwał się na białą ścianę ciemny krzyż.

— Cóż, Swój? — zaczął przyjemny i w tej chwili ciepły głos Rosnowskiego — wyrzucają tu nam szczęście nasze kupione na rynku... Powiadają, że sprzedajemy naukę za pasztet... słyszałeś, Swój?

— Hau, hau! — szczeknął pies, co wyglądało tak zupełnie, jak gdyby powiedział: a tak! a tak!

— I mają słuszość, Swój, nieprawdaż, że mają słuszość? Pamiętasz, jak nam bywało wesoło przez długie jesienie i zimy, kiedyśmy we dwóch tylko siedzieli w domu pustym... zupełnie pustym, Swój, bo nasz kucharz i zarazem lokaj spijał się jak bela i spał jak zabity... więc we dwóch tylko zostawaliśmy, Swój, na długie, zimowe wieczory i nawet noce...

— Hu, huu! — smutnie ozwał się Swój.

— Nawet noce, bo pamiętasz, Swój, jak nocami sypiać mi nie dawała cisza grobowa... ty wiesz, że cisze grobowe tak samo, jak gwar i hałas, czasem spać nie dają... Ty wiesz o tym, Swój, boś wraz ze mną nie sypiał... i dopókim pracował, leżałeś mi u nóg, a gdy zmordowany rzucałem pracę, podnosiłeś się i gawędziłeś ze mną...

— Hu, hu, hu, hu! — tęskno poszczekiwał pies.

— Pamiętasz, jak czasem wichry świstały i grzmiały dookoła naszego domu i z jaką rozkoszą słuchaliśmy obaj tych koncertów prześlicznych, a nade wszystko wesołych...

Swój na wspomnienie o wichrach zawył z cicha.

— Huuu! huuuu!

— Czasem nie tylko wichry świstały, ale i wilki wyły,

a wtedy to już była muzyka wspaniała i rozkoszna, prawda, Swój?

— HUUUUU!

— Ale kompanie wesołe i koncerty wspaniałe to nic jeszcze. Najdoskonalszy pasztet mieliśmy wtedy, gdym tej diabelskiej febry złapał i gdy mię ona trząść zaczęła w chacie tego leśnika, pamiętasz, Swój? Leżałem na łóżku, na które padały deszcze karaluchów, a doglądała mię matka leśnika... pamiętasz, Swój, jaka to była przyjemna staruszka, ta moja dozorczyni... cha, cha, cha! Nadzwyczaj przyjemna, czysta i roztropna staruszka...

— HUUU! HUUU! HUUUU! — rozwył się Swój na wspomnienie staruszki daleko żałośniej i przeciąglej niż przy wspomnieniu o wichrach i wilkach.

— Wiłem się i stękałem od szalonego bólu kości i głowy, a ty, Swój, lizaleś mi ręce; nic innego zrobić nie mogłeś, biedaku, sam w tej chacie, głodny i zmizerowany, lizaleś mi ręce i rozmawiałeś ze mną, jak umiałeś... bo nie było nikogo więcej, kto by rozmawiał z chorym przez całe długie dni i wiekiiste noce... Szczęśliwi byliśmy wtedy, Swój! Prawda? Pełną gębą zajadaliśmy pasztet, co? Byliśmy wtedy bardzo pysznymi panami, bardzo pysznymi!

Teraz już pies, z przednimi łapami na ramionach pana swego, z pyskiem prawie przyłożonym do jego twarzy, wył po prostu przeraźliwie. Rosnowski przesunął mu rękę po sierści obfitej.

— No, cicho już, cicho, Swój! Doświadczaliśmy przecież także i rzeczy naprawdę dobrych. Spełnialiśmy obowiązki swoje uczciwie i jak należało. Uczyliśmy się ciągle i stosując wiedzę naszą do zawodu pełnionego myśleliśmy, że służymy nauce, kulturze, postępowi świata. I tak było, Swój, tak było niezawodnie... tylko, co się tyczy pasztetu, to, Swój, był on gatunku nieosobliwego... wcale nieosobliwego...

— Hau! hau! — potwierdzająco, lecz znacznie już weselej zaszczeakał pies.

Dziwne wrażenie wywierała ta rozmowa na trzech ludziach, słuchających jej z oczyma wlepionymi w kąt mroczny, w którym była prowadzona. Na twarz Stefana, przedtem ożywioną i prawie wesołą, spadł wielki smutek. Oczy jego od majaczącej w cieniu postaci człowieka obejmującej psa i do niego mówiącej wzniosły się wyżej, na białą ścianę przetrziętą dwoma czarnymi liniami krzyża. Szybko postąpił ku Rosnowskiemu i rękę do niego wyciągnął:

— Proszę cię, Bohdanie, jeżeli uraziłem cię jakim zbyt szczerym słowem, to mi przebac. Zarzutu interesowności nie stosuję do ciebie i wiesz dobrze, że cię szanuję, chociaż na wiele rzeczy zapatrujemy się w sposób bardzo różny.

Rosnowski wstał, śpiesznie przyjął rękę mu podawaną, i z uśmiechem zażartował:

— Żeby tak kot płakał, jak ja szczęśliwy jestem... Przyjechałem tu po kawałeczek szczęścia, ale nie wiem, czy mi go dadzą... Cóż robić? Naukę i jej stosowanie poczytuję za rzecz wszechświatową, przed którą muszą ustępować wszystkie względy osobiste i zakątkowe. To jest potęga numer pierwszy.

— Drugi — poprawił Stefan.

— Umieszczasz pod pierwszym cnotę?

— Tak — potwierdził Stefan.

— Amen — dokończył Rosnowski.

Zabierał się do wyjścia, wziął ze stołu kapelusz. Z wyrazem znużenia w oczach, tonem żartobliwym i w którym znowu przebiło się uczucie wyższości, zapytał:

— No i cóż to będzie? Widzę, że coś zupełnie nowego? Sekta jakaś?... nowy kościół?

— Owszem — przeciął mu mowę Stefan — rzecz bardzo dawna i znana powszechnie...

Oczy mu zajaśniały. Tonem prostym i z uśmiechem poważnym dokończył:

— Jesteśmy, Rzymianinie, chrześcijanami!

— A! — zadziwił się Rosnowski, po czym zaraz poprawił się:

— To naturalne! Któż z nas nie jest chrześcijaninem?...

— Prawie nikt — rzekł Stefan.

— Ależ... ależ, mój drogi, czyliż dlatego potrzeba siedzieć w ciemnym kącie i światło swoje chować pod korcem?

— Jeżeli czynić to nakazuje serce i sumienie...

Rosnowski, rękę z kapeluszem opierając na stole, ze spuszczonymi oczyma milczał chwilę, myślał, potem spojrzał na Stefana wzrokiem przenikliwym i trochę, kędyś na dnie, szydzącym.

— Czy myślisz... że będziesz miał wielu adeptów?... A gdy by nawet... czy myślisz... że to do czegoś doprowadzi?

Stefan obu rękoma uczynił gest niewiadomości.

— Quis scit? — odpowiedział — nikt nie może wyrokować o przyszłości, bo nikt jej nie zna. Fais ce que dois, advienne que pourra.

Rosnowski zwrócił się do Kazimierza:

— Więc odpowiedź, której mi pan udzieliłeś dla Marcelgo, jest ostateczną i stanowczą?

— Stanowczą — potwierdził Domunt; — nie jestem zresztą bardzo uczonym i nie tak to wiele światła schowa się pod moim korcem.

— Pokora chrześcijańska — zażartował jeszcze Rosnowski.

— Tak — potwierdził Domunt — i nigdy nie przestanę sobie wieszować, że się na nią zdobył...

— A gdybyś się pan nie zdobył?

— Powiesiłbym się po raz drugi, bo raz już się wieszałem — ze śmiechem odparł Kazimierz.

— Nikt by tego nie odgadł widząc pana teraz tak wesołym!

Zstępował już po wąskich wschodkach, za nim nie bez trudności szedł Swój. W bawialni pani Paulina, z wyrazem zmartwienia na twarzy i zakłopotanymi gestami chudych rąk, z ci-

cha mówiła o czymś mężowi, który siedząc przy niej na kanapie staroświeckiej i szerokiej trząsł żartobliwie łysą głową i półgłosem odpowiadał:

— Co tu robić? Nie martw się tym, kotko! Każdy za swoje głupstwo zapłacić musi! Co tu robić? Ona za swoje tym zapłaci, że zostanie grzybem!

— Ależ, mój Romualdzie, mnie to właśnie boli... ja się tego lękam... ach, ach, ach! ja bym dla niej szczęścia tak pragnęła... tak pragnęła...

Darnowski wziął jedną z jej rąk i z filuternym uśmiechem w twarz jej spojrzał.

— Chociaż z drugiej strony... — zaczął.

— Z drugiej strony — powtórzyła, ale zaraz roześmiała się. — Zawsze musisz żartować ze mnie!... A pewno, że z drugiej strony... no, ale ty wiesz lepiej ode mnie, co jest z drugiej strony.

— Wiem, kotko — odpowiedział — i dlatego mówię ci, żebyś się nie martwiła. Co tu robić? I ja chętnie przychyliłbym jej nieba, ale... niechaj Bóg radzi o swojej czeladzi!

Domawiając słów ostatnich podniósł się na spotkanie gości, którzy w towarzystwie Stefana wchodzili do bawialni. Rosnowski szybkim spojrzeniem orzucił pokój, w którym oprócz dwojga starych Darnowskich nie było nikogo. Potem, jakkolwiek trzymał ciągle w ręku kapelusz i konie jego stały przed domem, zwlekał z odjazdem. Chodził z panem Romualdem po pokoju rozmawiając o tym i owym, usiadł jeszcze przy pani Paulinie i doradzał jej jakiś nowo odkryty środek przeciw migrenom. Każdy mógłby spostrzec w nim niepokój i oczekiwanie. Raz szybkim ruchem odwrócił głowę ku drzwiom prowadzącym w głąb domu, które się otworzyły. To Bronia weszła do pokoju i zaraz uczepiła się szyi brata, który stojąc rozmawiał z Domuntem i Romanem. Jeszcze pięć minut, jeszcze dziesięć, kwadrans, na koniec Rosnowski wstał i zaczął żegnać wszystkich obecnych. Wszyscy teraz stali pośrodku bawialni.

Gość przeciągał pożegnanie wtrącając w nie zapytania, urywki rozmów. Pani Paulina wydawała się więcej jeszcze od niego zaniepokojoną; co moment spoglądała ku drzwiom, aż rumieńce słabe wybiły się na jej chude policzki. Na koniec półgłosem rzekła do Broni:

— Gdzie Irusia? Idź po Irusię!

Ale dziewczynka nie zrozumiała wcale potrzeby cichego mówienia i wychylając się zza pleców Stefana, u którego szyi była uczepioną, głośno oznajmiła:

— Irusia spać poszła! Dawno już, zaraz po wieczery, jak tylko Stefek z tymi panami na górę poszedł, kiedym jeszcze Czuwaja karmić zaczynała, spać poszła!

Chronologiczna strona wypadku była tak ścisłą, że o prawdziwości jego wątpić było nie podobna. Na twarz Rosnowskiego spadł wyraz znużenia tak wielkiego, że osłonił wszystkie inne uczucia, którychkolwiek mógł doświadczać w tej chwili. Obejrzał się:

— Czy jesteś, Swój?

W dwie minuty potem siadał do staroświeckiego, lecz jeszcze eleganckiego amerykańskiego, zaprzęzonego w cztery konie, a obok niego w postawie wyprostowanej usiadł Swój. Kiedy powozik oddalił się nieco od ganku, do uszu stojących na nim osób doszedł krótki urywek rozmowy. Głos mężczyzny odjeżdżającego przemówił kilka słów, których w głuchym turkocie kół po piasku nie można było rozróżnić, ale na które żałośnie i przeciągle pies odpowiedział:

— Hauu! Hauuuu!

Po odjeździe gościa Roman znalazł się sam na sam z panią Pauliną, która też zaraz powierzać mu zaczęła swoje żale i niepokoje. Miała na sobie dnia tego więcej niż zwykle koronek swojej roboty: jakąś mantylkę, falbankę, czepeczek skrzydlaty na włosach gładziutko uczesanych i połyskujących. Wszystkim tym trochę nastrożona, w starym swoim fotelu zagłębiona, wyrzekała:

— Otóż widzisz... spać poszła! Wszakże on to wziąć może za formalną rekuzę i nigdy już więcej nie przyjechać... tym bardziej że i wprzód jeszcze, nim wyszliśmy na spotkanie wasze, albo wychodziła z pokoju, niby to za gospodarstwem, albo milczała jak ryba... Ja wiedziałam już po części, że tak będzie, bo mi mówiła...

Roman siedzący tuż naprzeciw niej przerwał:

— Cóż kuzynka Irena stryjence mówiła?

Ale ona filuternie pogroziła mu palcem:

— Ciekawy jesteś! Ale my, kobiety, nie wydajemy swoich tajemnic... chociaż z drugiej strony, co to za tajemnica, kiedy nie doczekawszy się jego wyjazdu, gdzie tam! prawie u początku wieczoru spać poszła. Zrobiła to umyślnie, bo nigdy tak wcześnie spać nie idzie! Boże, mój Boże! Co ona zrobiła! Wszakże to jest wyraźna rekuza... i gdybyż jeszcze Bronka inaczej jakoś to powiedziała! Przepadło wszystko! Nic już z tego nie będzie! I co z nią będzie?... co się z nią stanie, kiedy ja i Romuald oczy zamknjemy?... Po służbach chyba tułać się pójdzie!

Była tak naprawdę wzruszoną i rozżaloną, że o wzdychaniu i o „drugiej stronie“ zapominała; łzy cisnęły się jej do bladych oczu.

— Bo widzisz, Romku, wszakże ja ją od małego dziecka wychodowałam. Sześć lat miała, kiedy ojciec jej, taki sobie mały urzędniczek, umarł i ją na bruku sierotą kompletną pozostawił, bo matki także już nie miała. Pokrewieństwo z Romualdem było dalekie, ale zawsze było. Romuald zaraz zrobił projekt wziąć ją do Darnówki. Przeciwną temu nie byłam, owszem. Córkę nie miałam jeszcze wtedy, hodowałam ją jak córkę... Odwdzięczyła się! Ach, ach, ach, jakże się odwdzięczyła! Tylko teraz takie zmartwienie!... Kiedy pomyślę, że ona może nigdy nie znajdzie sobie ani towarzysza życia, ani pozycji, ani przyszłości pewnej...

Zaczynała płakać na dobre i już z chustką przy twarzy mówiła:

— A jakże ma znaleźć, kiedy starający się w domu, a ona milczy jak ryba i ni z tego, ni z owego z kurami spać idzie... Ten Rosnowski taki porządny i miły człowiek, choć z drugiej strony, kiedy sobie pomyślę, że powiozłby ją na koniec świata... Ach, ach, ach, i tak źle, i tak niedobrze! Ale niechby już nam źle było bez niej, byleby ona nie została kiedyś sierotą bez dachu i chleba...

W tej chwili tuż za plecami kobiety lamentującej, w drzwiach otwierających się cichutko, stanęło zjawisko zdające się być żywym przeciwieństwem lamentów wszelkich. Cichutko i tylko do połowy drzwi otwierając Irena, trochę na-przód pochylona, zajrzała do bawialni z takim wyrazem twarzy, jaki mają dzieci, kiedy po urządzeniu figla zabawnego wysuwają się z ukrycia wołając: „Oto jestem!“ Oczy jej promieniały, usta drgały uśmiechem filuternym, kibić osłonięta od szyi aż prawie do stóp różowym fartuszkim w paski miała w elastycznym przegięciu się taki wyraz, że bez słów można było odgadnąć wykrzyk: „Oto jestem! Może myśleliście, że naprawdę spać poszłam! Ani myślałam o tym! Jak się macie!“ Z tymi słowami w wyrazie całej postaci, oczyma promieniącymi spotkała się ze spojrzeniem Romana i przez kilka sekund nie spuszczała ich ani odwracała. Owszem, oczy jej wyraźnie zdawały się mówić: „Moje dobre serce nie zlitowało się nad samotnikiem, bo do niego nie należy!“ Roman uczył w piersi błyskawicę szczęścia, ale przelotną, bo Irena zza pleców pani Pauliny spostrzegłszy chustkę u jej twarzy w mgnieniu oka znalazła się przed nią na klęczkach.

— Wujenka płacze, i pewno przeze mnie, naturalnie, przeze mnie... ale cóż ja zrobię? Inaczej nie mogę... nie mogę...

Całowała ją w ręce i kolana, pani Paulina obejmując ją zaraz się rozpogodziła.

— Moje ty dziecko dobre... rób, jak chcesz... jak uważasz...

bo choć ja mam doświadczenie i wiem, co to znaczy... ach, ach, ach, co dla kobiety znaczy wyjść dobrze za męża, ale z drugiej strony... z drugiej strony, ty masz sto razy więcej rozumu ode mnie i wiesz, co robisz...

Tu z impetem ogromnym wpadła do pokoju Bronia.

— A co! — splaskując rękoma zawołała — Iruś spać nie poszła! Ach, jakżeś ty mię oszukała, Iruś! Ja naprawdę, naprawdę myślałam, że ty już śpisz... Wzięła i zamknęła się w naszym pokoju. Stukam, stukam, nic! Myślę sobie: już śpi! Kiedy i mnie będzie pora, zastukam mocniej, to obudzi się i otworzy. Aż teraz przychodzę, patrzę: jej ani śladu i nawet łóżko jeszcze nie posłane! No i po cóżeś ty mię oszukiwała? Aha! już wiem! już wiem!

Zaczęła w ręce klaskać i okręcać się na jednej nodze.

— Iruś nie pojedzie! — przyśpiewywała. — Iruś z panem Rosnowskim od nas nie pojedzie!

Porwała Romana za obie ręce i zaczęła okręcać go razem z sobą. On pozwalał na to i nawet chętnie się kręcił mając przy tym wielką ochotę razem z nią przyśpiewywać: „Iruś z panem Rosnowskim nie pojedzie!”

Ale gdzieżby mógł zrobić coś podobnego! Śmiał się tylko z pustego dziecka, które nagle stanęło i zawołało:

— A gdzie Romek orzechy podział, te, co zebraliśmy dla Iruś?

Wtedy i on przypomniał sobie depozyt Broni, którego miał pełne kieszenie i jeszcze chustkę, gdzieś w przedpokoju pozostawioną.

— Masz tobie! — desperowała Bronia — zostawił orzechy w przedpokoju i pewno już je dotąd Antoś zjadł.

Antoś był to mały posługacz domowy i jednocześnie uczeń Ireny, wielki, podobno, amator łakoci wszelkich. Pokazało się jednak, że cudem jakimś orzechów pozostawionych w przedpokoju Antoś nie zjadł. Roman przyniósł chusteczkę nimi napelnioną i stanął przed Ireną, która nastawiła po nie far-

tuszek perkalowy w różowe paski. Oddawanie depozytu trwało dość długo, Roman wysypywał go z chustki, a potem garściami wydobywał z kieszeni surduta.

— To cud — mówił — przez jaką godzinę tyle orzechów zebrać! Dokonaliśmy go z Bronią!

— Co to dla niej znaczy, kotku, ta twoja garść orzechów! — ozwał się basowy głos pana Romualda, który przed minutą wszedł ze Stefanem do bawialni. — Ona, co tu robić, jest w stanie zjeść w kwadrans to, co wyście we dwoje zbierali przez godzinę!

— Nie może być! — zadziwił się Roman.

A Bronia zaczęła prosić i po prostu napierać się:

— Iruś, pokaż Romkowi, jak jesz orzechy!

— Cha, cha, cha — zaśmiał się pan Romuald. — No, pokaż kuzynowi swoją sztukę! co tu robić?

— Nie chowaj swoich talentów pod kocem — zachęcił Stefan.

Oprócz pani Pauliny siedzącej w fotelu wszyscy stali dookoła stołu czeczotkowego, znajdującego się przed kanapą, także czeczotkową, ogromnie staroświecką, rozłożystą i nad której wysokim poręczem wisiało na ścianie kilka starych sztychów w ramach drewnianych. Paląca się na stole lampa obficie oświetlała kanapę, sztychy i stojącą przy stole grupę osób, pośród których Irusia ze śmiejącymi się usty i oczyma prędko, prędko wyswobodziła trochę orzechów z ich szorstkich obłon, po czym traf, traf, chrumst, chrumst! w jedną minutę kilka ich rozgryzła i schrumstała z szybkością nadzwyczajną. Robiła to, naprawdę, w sposób zabawny, ze zwinnością przypominającą wiewiórkę, kiedy, przebierając łapkami, prędko, prędko gryzie orzeszki lub ziarna. Traf, traf! łupina pęka w zębach białych i mocnych jak młodość i zdrowie; chrumst, chrumst! orzech zjedzony, potem natychmiast drugi, trzeci, czwarty...

— To wyobrażenie przechodzi, kotku, ile ta dziewczyna orzechów zjadać może! — opowiadał stary Darnowski. —

W zimowe wieczory we wszystkich stronach słyhać, to tu, to tam, traf, traf! traf, traf! To Irusia, co tu robić, po domu krząta się i orzechy gryzie...

Śmieli się wszyscy oprócz Romana, który z uśmiechem, ale innej wcale natury, ogarniał spojrzeniem głowę dziewczyny, nieco pochyloną nad rozsypanymi po stole orzechami, okrytą czarnymi włosy, w których wędła blada lewkonia. Czoło jej, które w pełni padającego na nie światła miało wielką słodycz i czystość zarysu, jak magnes przyciągało ku sobie jego oczy. Pani Paulina to spostrzegła i żywo zaruszała się w swoim głębokim fotelu. Nagły domysł, czy pomysł, czy nadzieja zaświtały w jej głowie. Rozweselona i śmiejąca się, zaczęła jednak wdychać.

— Ach, ach, ach, czy pamiętasz, Romku, jakieście niegdys z Irusią tańczyli w tym pokoju? Ja grałam, a wyście kręcili się jak dzieci... bo i naprawdę dzieci z was jeszcze były... ach, ach, ach, jakie to dawne czasy! ale teraz powrócić mogą... chcecie? zaraz wam zagram...

Wstała, żywiej niż kiedykolwiek poszła do fortepianu i wnet spod jej żółtych palców słabymi tonami rozplął się po pokoju walczyk staroświecki, lecz melodyjny, może Straussa, czy Lannera, jeden z tych, które grywano wszędzie za czasów jej młodości. Nie była silną: ledwie dotykała klawiszów, więc tony walczyka dzwoniły i śpiewały cichutko, jak oddalone przypomnienie rzeczy dawnych. Grając obracała głowę ku osobom pozostawionym przy kanapie i zapytywała:

— Czemu nie tańczycie? Potańczycie znowu, tak jak dawniej!

Ale z tymi, do których przemawiała, było teraz zupełnie inaczej niż dawniej. Roman stał jak przykuty do miejsca, z dala od Ireny, która, wychylona nieco przez okno otwarte, zdawała się czegoś upatrywać w zmroku nocnym. Wspomnienie wiosenne razem z nutą walczyka uderzyło mu do głowy falą tęsknoty i rzewności niewymownej. Tyle lat, tyle hałasu

i tłum, tyle żądz zadowolonych i nade wszystko tyle, ach, tyle zmaz i skaz na myśli, sercu, życiu dzieliło go z owym wspomnieniem czystym i świętym, że teraz dotknąć go nie śmiał. Po prostu nie śmiał podejść do Ireny i poprosić ją, aby wraz z nim wskrzesiła to wspomnienie, przytłoczone ciężarem lat, które spędzili w rozłączeniu i każde inaczej, tak zupełnie inaczej! Ona także, widział to dobrze, była wzruszoną i aby tego nie okazać, odwracała twarz ku ciemności rozpościerającej się za oknem. Nad nią także przez te lata przepłynęła fala, w której nie było pewnie skaz ani zmaz, ale czy nie istniały smutki i żale, kto wie? Nawet istniały niezawodnie... może też była kropelka żalu do tego, dla którego dziecinne jeszcze jej serce biło mocno przy dźwiękach tego samego walczyka.

Ale w skromnej bawialni darnowskiej znajdowała się istotka, na którą czas nie spuścił jeszcze żadnego cienia, ani żadnej kropli gorzkiej. Ją, już rozbawioną gryzieniem orzeszków przez Irusię, muzyka matczyzna porywała w siódme niebo. Stała przed Romanem i łapki ciemne od ogorzelizny ku jego ramionom podnosząc poprosiła:

- Zatańcz ze mną, Romku... mój drogi, zatańcz ze mną...
- Alboż myszka umie tańczyć walca?
- Umie, Irusia nauczyła...
- A kiedy ja nie mam ochoty...
- Proszę, proszę, mój braciszku...

W nagrodę za tę nazwę pochwyił ją wpół i kilka razy obiegli dokoła pokój ku wielkiej ucieście starych sztychów nad kanapą, które w świetle lampy i powiewach dochodzących z okna zdawały się nabierać barw i ruchu; ku ucieście też wielkich zmarszczek na ogromnym czole starego Darnowskiego, które rozsypując się w promienie ukośne zdawały się wołać ze śmiechem: „Jak się te dzieci zaprzyjaźniły. Co tu robić! My także mamy swoje pasztety!“

Stefan i Kazimierz rozmawiali z cicha w kącie pokoju, w progu zaś stanął ulubieniec Broni, podwórzowy pies, Czu-

waj, wielki i kudłaty, czarny i biały, a widząc swoją małą opiekunkę z rozwianymi kędziorkami złotymi latającą jak motyl po pokoju, parę razy wesoło zaszczekał. Zdyszana, rozbawiona, z oczyma rozbłyśniętymi, Bronia po skończonym walcu oba ramiona zarzuciła na szyję swego tancerza i wyciskając na jego policzku pocałunek prawie tak głośny, jak wystrzał małego pistoletu, oświadczyła:

— Dobry, kochany Romek. Dziękuję, że potańczył ze mną. Kocham Romka — choć jest Australczykiem...

On mocno ściskając jej obie łapki odpowiedział:

— Moja ty złota myszko!

I czuł, że to dziecko było mu bardzo bliskim i drogim.

— A teraz spać dzieci! — wyrzekł pan Romuald wstając z krzesła.

Kiedy Roman podawał rękę Irenie z życzeniem dobrej nocy, rysy jej były zupełnie spokojne, ale w cieniach rzęs spuszczonych i w zarysie ust zamkniętych błędził wyraz smutku cichego czy rezygnacji milczącej, czy łzy ukrywanej pod powieką.

Późno już było; on chodził jeszcze w ogrodzie pod szeregiem brzoź płaczących, ciągnącym się aż do bramki, która otwierała się na łąkę. O spaniu myśleć nie mógł. Mnóstwo pytań, mnóstwo niepokojów i niepewności miał w głowie i w sercu. Życie stawiało przed nim znak zapytania tak wielki i natarczywy, że ani ominąć go wzrokiem, ani odwrócić się od niego nie mógł. Cóż będzie? Jakże? To czy tamto? Wybieraj! On już nawet wybrał — w teorii. W czasie rozmowy, która w jego obecności toczyła się dziś pomiędzy Stefanem a Rosnowskim, z nim stała się rzecz szczególna. Uczuł, że z całej siły stoi po stronie Stefana. Zbierało się to kropla po kropli przez wszystkie dni poprzedzające, aż zlało się w kryształ stały i jasny. Jasno już wiedział, że w uczuciach i przekonaniach zjednoczył się ze Stefanem. Ale to była dopiero teoria. W praktyce ukrywała się konieczność powzięcia po-

stanowienia, mającego stanowczo rozciąć mu życie na dwie połowy zupełnie z sobą różne, a to właśnie przedstawiało trudność wcale niemałą, wcale niemałą. Trzeba było albo spocząć na fali życia gładkiej i przyjemnie muskającej ciało, chociaż na dnie — wiedział o tym dobrze — chłodnej i — trochę brudnej; albo wziąć życie po prostu za bary i mocując się z nim mieć ciało w pocie i udręczeniach częstych, a tylko duszę w sferach ciepłych i czystych. Bo że taki całokształt istnienia, jaki dobywał się z pojęć i życia Stefana, nie był idyllą wiecznie tylko różową, temu Stefan sam nie zaprzeczał; a gdyby nawet zaprzeczał, dość było uważnie na niego popatrzeć, aby w nim odgadnąć wiele wyrzeczenia się i walki, może już skończonej, a może i nigdy nie mającej się skończyć. Bo nikt nie może bezkarnie zejść z drogi wydeptanej przez tłumy, ani łatwo wyrzec się tego, do czego pociąg odziedziczył z krwią pokoleń poprzedzających i wziął od tych floresów, które rozkwitają u szczytów najwyższych wieżyczek cywilizacji. Cierpienie jest tu nieuchronnym, i Roman, do dna już rozumiejąc teorię, nie rozumiał jeszcze, w jaki sposób można mieć siłę do podniesienia wieńca z cierni i potem do noszenia go dobrowolnego. Co więcej, nie tylko rozumiał do dna teorię, ale miał serce napelnione do głębi tymi uczuciami, które najpewniej były ich pierwszą przyczyną. Jednak patrzył na stojący przed nim znak zapytania z niepokojem i wątpliwością w głowie i w sercu.

Chwilami zapominał o wszystkim i w zmroku nocnym widział tylko obok siebie albo przed sobą wysmukłą dziewczynę w różowym fartuszk i z kwiatem więdącym w kruczych włosach. Radość zdejmowała go na myśl o tym, co zaszło pomiędzy nią a Rosnowskim. Bez słów i jego nie dopuszczając do słowa, odprawiła go z kwitkiem, to było widocznym i pewnym. Czy z nim, z Romanem, postąpiłaby tak samo, gdyby okazał zamiary podobne? Może nie, bo w jej oczach, głosie, rumieńcach, spostrzegł nieraz coś, co pozwalało mu myśleć

z mocnym biciem serca: może nie... Ale po chwili śmiał się z samego siebie. Co za myśl! Jeżeli nawet nie myliły go domysły, postąpiłaby z nim tak samo, jak z tamtym, mógł być tego zupełnie pewnym. Dziwna kobieta! Jak ona może żyć spokojnie z myślą, że nigdy dla niej nie wejdzie to święto życia, którym dla kobiety jest miłość? Czy tylko dla kobiety? Z wielką mocą czuł w tej chwili, że dzień, w którym mógłby powiedzieć sobie, że jest przez nią kochanym, byłby dla niego świętem tak wielkim, że podobnego dotąd nie miał. Ale ona zdawała się o tym święcie nie myśleć wcale. Czy jednak nie myślała? Czy nie czuła tęsknoty w teraźniejszości, trwogi przed przyszłością? Będzie to przyszłość kwiatu zwiędłego bez pełni rozkwitu, może zdeptanego. Przypomniawszy sobie słowa pani Pauliny: „Gdy ja i Romuald zamkniemy oczy, chyba po służbach tułać się pójdzie!” Jak to? i ona może nie lękać się rzeczy takich, może nie tęsknić i nie lękać się? Kto wie? Może tęskni i lęka się... bo dziś jeszcze, zrazu wesoła, przy końcu wieczora zasmuciła się głęboko, choć bardzo tajemnie. Dla niego nie było to tajemnym, bo przeniknąć ją pragnął i usiłował. Szaleństwo ogarniało go na myśl, że on przeciw temu nic nie może i musi pozostać, tak jak tamten, dziś odprawiony, obcym dla niej na zawsze...

Po raz trzeci czy czwarty w niespokojnej przechadzce swojej zbliżył się do ogrodowej bramki prowadzącej na łąkę. Tym razem przystanął i spojrzał na krajobraz przysłonięty zmrokiem nocnym, a słabo rozwidniony przez gwiazdy. Drobne punkty krajobrazu niknęły w zmroku, większe występowały z niego jak plamy czarne, tylko pałacyk Oławickich wychylał się ze swojej masy drzew jak dalekie widmo okryte mętną bielą. Roman utkwiał wzrok w tym punkcie widnokręgu oddalonym, lecz nawet w cieniach nocnych zdającym się panować nad wszystkim, co go otaczało. Ta sama zmiłka zawiści czy urazy do losu, którą na wieczorze u baronowej Lamoni uczuwał na widok wielkich i możnych tego świata, teraz znowu

uszczypnęła go za serce. Tak, tak; ten, kto tam mieszka, szczęśliwy, choćby dlatego, że droga jego jasna i kanwa gotowa. Nie potrzebuje wybierać ani wyrzekać się. Jeżeli jest lampą i świeci, to z łaski Bożej, bez utrudzenia ani umartwienia najmniejszego. I dlaczegoż nie miałby świecić? Potrzebuje na to wyekspensować tylko trochę dobrej woli i trochę okruczeństwa swego posztetu. Jednak Marceli Domunt ma słuszość. Bogactwo i potęga — osie świata. Dobrymi są choćby dlatego, że dają możliwość zakładania fabryk dobra. Łatwa cnota, więc prawie konieczna, bo któż by nie chciał jej praktykować, gdy go to nic prawie nie kosztuje? Ale one, te osie świata, dają także i możliwość szczęścia. Bo z jakimże szczęściem, z jak bezgraniczną, szaloną radością Roman porwałby tę, której przeznaczeniem ma być „tułanie się po służbach“, i wniósł ją do tego siedliska dostatku, bezpieczeństwa, wynalazków zbytku, wymysłów rozkoszy...

Tu, w tym miejscu marzenia, obudził się jak ze snu i zaśmiał się prawie głośno.

— Parawaniki chińskie! — rzekł do siebie. — Głupstwo!

Idąc zaś znowu w stronę domu myślał:

Cóż stąd, że głupstwo, skoro człowiek ma w sobie jego pożądanie i potrzebę? Tytania kochająca się w ośle — wieczny symbol duszy ludzkiej upędzającej się za tym, czym sama gardzi. Ta królowa „nocy letniej“ przy światłach zapalonych przez elfów widziała dobrze oślą maskę swego kochanka, nie mniej przepadała za nim. Świetna to rzecz ów „Sen nocy letniej“. Nieraz widywał go na scenach. Jakże to wspomnienie i wszystko, co się z nim łączy, dalekim jest, nieskończenie dalekim od Darnówki.

Zbliżał się ku domowi, którego okna były już ciemne, oprócz jednego, świecącego zza rozłożystej akacji. Minął ganek pograżony w głębokim cieniu drzew ogrodowych i przybliżał się do tego okna, gdy zdało mu się, że słyszy głos, którego brzmienia nagle przykuły go do miejsca. Był to głos Ireny.

Domyślił się zaraz, że spełniając jeden ze stu obowiązków swoich czytała głośno wujowi. Nie obchodziło go wcale to, co czytała, i zrazu nieruchomy pod rozłożystymi gałęzmi akacji słuchał tylko głosu. Ale wkrótce usłyszał i słowa. Same przez się, bez jego woli, przedarły się mu do słuchu i uderzyły w niego wrażeniem niespodziewanym. Zza akacji i szyb ozłoconych światłem lampy słuchu jego doszły słowa:

— „Błogosławieni, którzy płaczą, albowiem oni będą pocieszeni“.

„Błogosławieni, którzy łakną sprawiedliwości, albowiem oni będą nasyceni“.

„Błogosławieni miłosierni“...

Szelest wiatru w akacji przytłumił kilka słów następnych; Roman spojżał w gwiazdy i zdawało mu się, że głos i słowa, których znowu słuchał chciwie, spływały od gwiazd.

— „Błogosławieni cisi, albowiem oni posiadą ziemię“.

„Błogosławieni cierpiący za sprawiedliwość, albowiem ich jest królestwo niebieskie“.

Wiatr silniej zaszeleścił w akacji i pomknął dalej, pomiędzy drzewa ogrodu, nad dach domu, nad pole. Czy to anioł w noc mroczną oblatywał ziemię roznosząc po niej dobrą nowinę: „Błogosławieni, którzy cierpią i płaczą!“?

VIII

Był to ranek świąteczny. Świąteczność objawiała się na polach pustką, a na drogach polnych zaludnieniem niezwykłym. Narzędzia pracy i ludzie pracujący zniknęli; w żółtej poźni spokojnie słały się siwe puchy koniczyzny polnej i białe wełny kocanek, a na skibach ziemi świeżo zoranej ptaki bezpiecznie szukały żeru. Nikt dziś w tych samotnościach rozległych i światłem słonecznym zalanych nie deptał kwiatów i nie trwożył ptaków. Za to po drogach i drózkach przeciągały gromady ludzkie z dala podobne do bukietów i wstęg jaskrawych. Od ubrań kobiecych, a nawet męskich biła najjaskrawsza możliwie czerwoność i żółtość z silną domieszką szafiru i zieloności. Te barwy dzikie i mocne, po wielu naraz punktach rozproszone, rzucały na widnokrąg nutę wesołą. W oddali rozlegał się głos dzwonu, którego tony srebrne przygasały i wzdymały się, słabły i nabierały mocy, znikały i znowu leciały, śpiewały, wołały w powietrzu pełnym słońca, nad kwiatami zaścieniającymi pola i ludźmi mrowiącymi się po drogach. Był to dzwon jednego z dwu najwidoczniejszych punktów krajobrazu: kościoła parafialnego w Zawrociu. Przed drugim z tych punktów, to jest przed bramą dziedzica w Górowie, stanęła bryczka kilimkiem okryta, parą kasztanków zaprzężona, z woźnicą w szarej switce na koźle. Wyskoczyli z niej prawie z jednostajną zwawością dwaj ludzie różnego wieku.

— Ot, masz, kotku, i Górów! Chciałeś go widzieć, miałeś rację, co tu robić, miałeś rację! Rezydencja piękna, i kto chce

dobrze poznać te strony, musi jej także przypatrzeć się z bliska, co tu robić! Warto przypatrzeć się z bliska, co tu robić, bardzo warto!

Pan Romuald był ożywionym jak zwykle, i może nawet trochę więcej niż zwykle. Częściej jeszcze niż zazwyczaj powtarzał swoje zabawne przysłowie, na synowca patrzył wzrokiem śmiejącym się i rozbłyśłym. Roman zatrzymał się chwilę u bryczki.

— To w Zawrociu dzwonią? — zapytał.

— A w Zawrociu, kotku, na nabożeństwo dzwonią. Ale ono jeszcze, co tu robić, nie zaraz się zacznie. Jeszcze, co tu robić, w porę zdążymy. No, chodź oglądać park i pałac! Klektałeś mi głowę tym oglądaniem, to chodźże teraz i oglądaj, co tu robić!

Roman zawahał się.

— Jak to? tak od razu? nie prosząc o pozwolenie?

— Można, kotku! Cha, cha, cha, cha! Można! co tu robić! Już ja ci ręczę, że, co tu robić, bez prośby o pozwolenie... cha, cha, cha!

Śmiał się nie wiedzieć czego, ale serdecznie.

— Ot, popatrz naprzód, jaka aleja pyszna i jakie sztachety! phi, phi! takiej alei i takich sztachet byle gdzie nie zobaczysz, co tu robić!

Sztachety, istotnie wykwintne, kosztowne, ze słupami mурowanymi, obejmowały na przestrzeni bardzo znacznej masę zieloności prawdziwie potężną. Za nimi z nieprzejrzanego gęstwiny wirginii i akacji, tworzącej niby wał obronny, dobywały się w odstępach regularnych pnie drzew, grube u podnóży, a u szczytów łączące się znowu w gęstwinę nieprzejrzaną. Wyglądało to wspaniale; tylko że w wielu miejscach słupy, z których tynk opadł, świeciły nagą czerwonością cegieł, zawsze do ran podobną, a z zewnętrznej strony sztachet rozrosłe ogromnie łopiany, żywokosty, pokrzywy, chrzany tworzyły pod wałem z wirginii i akacji jeszcze jedno, najniższe piętro zielono-

ści, poplamionej brudną białością kwitnącego obficie mydlnika. Pomiędzy dwoma pasami takiej dziczyny swobodnej i bujnej, w zagłębieniu drogi wraz z gruntem trochę falującej, wyschła kałuża pozostawiła czarny pas błota nigdy nie wysychającego. Za kałużą stały długie i ślepe ściany budynków gospodarskich, murowanych i rozległych; po drugiej jej stronie wznosiła się brama pałacowa, murowana także, wysoka i szeroka, cacko architektoniczne, wystudiowane, ozdobne, świecące na słupach i gzymsach ranami czerwonymi, z jednym tylko wierzejem wiszącym na jednej tylko zawiasie, ukośnie i jakby na włosku. Drugi leżał w zielskach, połyskując gdzieś niedługo metalem rdzewiejącym. W tej bramie, gościnnie rozwartej, Roman stanął i rozejrzał się dokoła ze zdziwieniem wielkim.

Dziedziniec ogromny otoczony był kołem drzew, pośród którego pałacyk, stojący w głębi, wydawał się klamrą spinającą wieniec królewski. Z prawdziwie królewską powagą i wspólnością stały tu świerki, modrzewie i sosny alpejskie, na których tle prawie czarnym stały się niezliczone wzory, wzrosty i odcienie drzew liściastych. Wysmukłe, rozłożyste, wyższe i niższe, te drzewa liściaste rozrzucały na ciemnym tle iglastych gałęzie podobne do girland, bukietów i wodotrysków złożonych z kropel srebrnych i drżących. Były tam szczyty zaostrzone jak iglice wieżyc strzelające w niebo, takie, które rozkładały się w wachlarze cieniste, i inne, zwieszające ku dołowi gałęzie płaczące liśćmi jak strugami łez. Jedne wznosiły się nad drugimi, które z kolei zdawały się następować na inne, lecz w tym natłoku, pełnym różnorodności, na pozór nieprzebranej, żaden szczegół nie ginął, bo wszystkie dzięki umiejętnemu wycieniowaniu barw i rozmiarów odrzucały się wzajem od siebie z wypukłością rzeźb najdoskonalszych. Sztuka bardzo biegła, natura bardzo sprzyjająca i czas bardzo długi wytworzyły ten przepych dobywający się z ziemi i rozciągający w przestrzeni olśniewające gry linii, światła,

półświatła i zmroków ciemnych, w których połyski srebrne i kory białe majaczyły jak widma kryjące się przed słońcem. Był to jeden z trzech wielkich szczegółów obrazu widzianego z bramy pałacowej. Zaraz po nim oko zatrzymywało się na pałacyku lekkim, doskonale stylowym, obwieszonym girlandami dzikiego wina. Spomiędzy tych girland wychylały się ściany białe, balkony napowietrzne, okna liczne, baszty dumne i zgrabne, obwiedzione u szczytów galeryjkami podobnymi z dala do przędzy wysnutej rękoma wieszczek.

Jedno i drugie: wieniec drzew przepyszny i pałacyk bardzo ładny, mogły tylko podobać się, albo nawet obudzić uczucie zachwycenia wyciekające z pięknych dzieł natury i sztuki. Ale trzeci szczegół obrazu obudzał zadziwienie i ciekawość. Był nim dziedziniec pałacu wielki, w ogromnym kole drzew mający kształt okrągły.

Czyliż naprawdę był to dziedziniec pałacowy, lub może raczej łąka, zaniedbana przez ludzi, a przez naturę, którą dawna uprawa uczyniła niezmiernie żyzną, zasiana z hojnością niesłychaną? Ta duża przestrzeń, jak morze falami, wzdymała się pagórkami i wałami utworzonymi z łopianów, podbiałów, szczawiów, geraniów dzikich, wzrosłych do wielkości prawie bajecznej. Gdzie indziej zamiast pagórków i wałów z liści zębatach, pierzastych, gwiazdzistych rosły lasy łodyg nagich, bo już okwitłych, albo jeszcze jaśniejszych kwiatami takimi, jakie zazwyczaj żyją tylko w samotnościach polnych lub łącznych, od ludzkiej ręki i przemyślności dalekich. Pośrodku dziedzińca, gdzie na małym wzgórku można było jeszcze rozpoznać szczątki kompasu, stała grupa wysokich wieściółków, jak stu świecami płonąca setką koron jasnożółtych, które dniami i nocami szeroko rozwarte, noszą tu i ówdzie nazwę „świec nocnych“. Pojedyncze świeczki takie, rozrzucone wszędzie, gasiły blaskiem brudną żółtość dziewann, równie jak one wysokich, a do kolan i do stóp dorastały im i słały się dzwonki krzaczyste, weroniki o fioletowych kłosach, dria-

kwie białe, biedrzeńce koronkowe, mięty kiciaste, srebrniki sypiące deszcze gwiazdek żółtych na trawy i zielska niskie, gęste, poplątane, zaciekające morzem falistym pomiędzy drzewa i zalewające podjazd pałacowy. Ten podjazd był szeroki, brukowany, wsparty na szeregu kolumn białych i ozdobnych. Tuż przed kolumnami jego wyrosło kilka ostów niezwykle wysokich, które po kwiecie świeżo opadłym dostały teraz na łodygach puchów siwych i długich. Te osty wyglądały bardzo szczególnie; wyższe i niższe, z puchami, które wisiały na nich, miały pozór dziadów-żebraków, zebranych w kupę u stóp pałacu i, gdy wiatr powiewał, w rozmowie tajemniczej trzęsących siwymi brodami.

Tajemniczość pewną nadawało także obrazowi całemu milczenie, które tu panowało. Mącił je tylko szczebiot ptactwa w drzewach. Oprócz niego nic słyhać nie było, nic zupełnie. Pałacyk stał cichy jak grób. Okna jego były zamknięte i słońce nie zapalało w żadnym z nich połysku żadnego. Nie można było odgadnąć z dala przyczyny, dla której wyglądały jak żrenice powleczone bielmem.

Ochłonawszy ze zdziwienia obudzonego przez widok niespodziewany, Roman zapytał:

— Czy tu nikt nie mieszka?

— A widać, widać to zaraz, kotku, że nikt nie mieszka — wesoło i rażno odparł stary Darnowski. — Ale cóż nam to szkodzi? Owszem, co tu robić, swobodniej obejrzymy sobie wszystko. Chodź do ogrodu!

— A gdzież mieszka Oławicki?...

— Tędy, kotku, pomiędzy tymi drzewami będzie najbliżej... Co za drzewa! a? Co za bujność i żyzność! Patrzaj tylko, oglądaj się i, co tu robić, gębę rozdziawiaj! Takiej gleby, jak w Górowie, daleko naokół nie znajdziesz, nasza w Darnówce ani się do niej umywała. Człowiek będący rolnikiem i gospodarzem patrząc na nią, co tu robić, smakuje i oblizuje się. Raj ziemski, kotku, prawda, a? co tu robić!

— Przypuszczam tylko, że w raju musiało być trochę weselej — zauważył Roman.

— Smutno ci tu? — zadziwił się Darnowski — czego? Masz wiedzieć kotku, że Górów to rzecz wcale wesoła, wcale wesoła dla właściciela swego. Dobra wielkie, co tu robić, prawdziwie pańskie. Kilka tysięcy morgów ziemi prawdziwie bożej, kotku, łaskawej, hojnej, miłosiernej, kotku... do tego, co tu robić, lasy i wody, pastwiska i młyny, wszystko, czego trzeba, kotku, a pośrodku państwa rezydencja taka, co tu robić...

Wpadł w zapał i krokiem sprężystym idąc obok synowca z wielomównością, u niego nawet niezwykłą, opowiadał rozległość, przymioty, wartość wszechstronną dóbr górowskich. Głos jego, raźny i donośny, przerywany często śmiechem swobodnym, brzmiał w cieniach głębokich, w gęstwinach zdziczałych, w milczeniu absolutnym, jak w puszczy dziewiczej.

W ogrodzie i parku, który przebiegali obaj w kierunkach różnych, znowu modrzewie, świerki, sosny alpejskie, inne jakieś drzewa iglaste, ciemne i ponure, na których tle śmiała się wiecznie świeża zieloność brzoź przyodzianych w kory białe, wznosiły się całe gromady i szeregi odwiecznych wiązów, lip i jesionów, rosły zarośla krzewów najpospolitszych i najwyższymi, zmieszane, splątane, rozbijały, pełne zmroków głębokich, odkrywających nagle przestrzenie świetliste, blaskiem słońca pokryte, gorejące czerwienią już jesienną niektórych gałęzi jak płomieniami. Do alei tak długich, jak oko sięgnąć mogło, przez gęste sklepienie konarów splecionych dochodziły tylko rzadkie i wąskie promyki słoneczne; ziemia była w nich czarna, powietrze przeniknięte wonią wilgoci i grzybów. Czasem zza grupy drzew, zza zarośli krzewów, przez nagłą szczyrbę w alei, gdzie leżały na ziemi drzewa połamane, ukazywał się pałacyk, wytworniejszy jeszcze od strony ogrodu niżeli od strony dziedzińca. Czerwonawe girlandy owijały jego wielkie ganki i pełzając po ścianach wieszały się nad oknami bez połysku, jak brwi krwawe nad ośleplonymi oczyma.

Ukazywał się, znowu niknął, lecz po dawnych trawnikach, klombach, drogach, których oko bystre odkryć mogło słabe tylko ślady, niby echa od niego rzucane w przestrzeń, iskrzyły się takie same sploty czerwone, jak te, które były jego ozdobą świetną i zdziczałą. Latorośle wina dzikiego bujały tu z siłą i rozrostem niesłychanym, owijały pnie pozostałe po drzewach złamanych, wzdymały się na trawach, jak piana żółto-krwista na morzu zielonym. Wiatr roznosił ich nasiona; on, który tu był gospodarzem, siał i łamał. On, słońce i bogate soki ziemi czyniły tu wszystko. Jeszcze także praca ludzka, ale już dawna; więcej nikt. W tej chwili królową wszystkiego tu była cisza. Wrażenie przez nią wywierane przemagało wszystkie inne. Pośród okolicy, w dzień świąteczny zaludnionej, wystrojonej, rozzwonionej, to miejsce było pustynią, raczej puszczą, w której tylko trochę ptaków drobnych gwarzyło w drzewach. Zapewne po drugiej stronie drogi błotnistej, pomiędzy śpichrzami i oborami, topiącymi się w dzikich zielskach, było jakieś życie ludzkie, ale słabe, bo przestrzeni dzielącej je z pałacem i parkiem odgłosy jego dosięgnąć nie mogły, więc tylko drobne ptastwo tu i ówdzie ćwierkało i szczebiotało, wiatr w drzewach iglastych z cicha szumiał, a liściaste poruszał małym szelestem, słońce kładło wielkie płachty złota na trawniki usiane centkami zdziczałych stokroci.

Roman zdjął kapelusz i przesunął rękę po czole zmarszczone.

— Szalenie smutno tu, mój stryju. Inaczej wcale wyobrażałem sobie Górów. Gdzież jest pan Henryk Oławicki, stryju?

Stary odpowiedział raźnie:

— Czy ja wiem, kotku! Jakże i po co ja mam wiedzieć, gdzie pan Oławicki! Górów znam z czasów dawnych, co tu robić, ale i parę miesięcy temu byłem tu ze Stefkiem, aby pomówić z rządcą o interesie młodego Wygrycza... ale, co tu robić, ty nie wiesz, kto to Wygrycz, i mniejsza o to. Dość, że by-

liśmy tu ze Stefką i obeszlśmy we dwóch całe to miejsce, jak teraz z tobą... Zaraz tu będzie, gdy z alei tej wyjdziemy, ładny obrazek... co tu robić... bardzo ładny... ot i jest już! popatrz tylko! Prawda, że ładny? Warto popatrzeć? a? co tu robić!

Obrazek był dziwny. Staw okrągły i duży nie świecił przezroczem kryształowym i nie odbijał w sobie nieba ani płynących pod nim obłoków kędzierzawych. Pod szerokimi liśćmi grzybieniów, pod sieciami rzęs i zaroślami łoż, rozświet, sitowi powierzchnia wody znikała prawie zupełnie, gdzieniegdzie tylko występując wśród pleśniejącej zieleni okami mętnego błękitu. Po brzegach stały grube wierzby z siwymi liśćmi, olchy rosorhate, i jedna wysoka topol włoska, u której wierzchołka jeżyło się nagimi zębami brzozy gniazdo bocianie — puste. Przez wiatr wykrzywione, puste gniazdo rysowało na tle nieba linię zębiastą i ukośną. Pustą, jak to gniazdo, była altana lipowa, zielskiem zarosła, z czymś bielejącym w głębi. Ławki, które niegdyś stały w niej kręgiem, przemieniły się w zgniłe i próchniejące drzewa. Napeniała ją stęchlizna, w której ziele jaskółcze świeciło w dole żółtością, podobną do pleśni; w głębi, u góry, pod splotem gałęzi, na wysokim piedestale mętnie białął posąg, dzieło sztuki. Darnowscy stanęli przed posągiem.

Było to dzieło sztuki, niegdyś bardzo piękne, po którym pozostał tylko tors, wykonany mistrzowsko, i ramiona, podniesione ruchem błogosławiącym. Głowa, nie wiedzieć przez co strącona z szyi, nie wiedzieć gdzie się podziała. Może upadła na ziemię i przykryły ją ziela jaskółcze. Co, kogo wyobrażał posąg, nie podobna było teraz odgadnąć, to tylko zdawało się pewnym, że błogosławił. Przez otwór altany widać było staw okryty pleśniami, topol z pustym gniazdem bocianim, a za stawem, w oddaleniu niedużym, szary pas wsi najeżonej drzewami. W głębi zaś altany ciemnej, wilgotnej, opuszczonej świętość jakaś bez nazwy i oblicza wyciągała ramiona marmurowe

nad ławkami gnijącymi i zielem jaskółczym, z powagą i pięknnością wszystkich rzeczy poczętych w myśli wzniosłej. Błogosławiła. Pleśniom i stęchliźnie, zmrokowi i ciszy, której tu ptaki nawet nie przerywały, błogosławiła.

Roman szerokimi krokami oddalał się od altany dążąc ku miejscu pozbawionemu drzew i stojącemu w cieple słonecznym. Stary Darnowski, który przypatrując się stawowi trochę był za nim przystałał, doganiał go z głośnym śmiechem.

— Czekaj no, kotku, czekaj no, nie porzucaj swego Piętaszka. Bo jeden z nas Robinsonem jest, a drugi Piętaszkiem, ponieważ, co tu robić? znajdujemy się na wyspie bezludnej. Nie rozłączajmy się przynajmniej, bo jeszcze nas, co tu robić? wilki zjedzą w tej — strażnicy. Czy ja dobrze pamiętam, że oni nazywali się Robinson i Piętaszek... ci, co to wiesz? Ale mniejsza o to! Jeszcze, co tu robić, musimy zobaczyć, kotku, co dzieje się we środku, w pałacu... jak tam urządzone jest wewnątrz strażnicy... musimy zobaczyć dla dokompletowania, co tu robić, dla dokompletowania musimy zobaczyć...

Z oczyma rozgorzałymi jak żarzewia, ze zmarszczkami falującymi na wielkim czole jak wzburzone morze, śmiejąc się i żartując dopędział synowca.

— Czy Oławicki jest zrujnowanym? — zapytał Roman.

— Gdzież tam, kotku! Jest bardzo bogatym. Oprócz Górów posiada wiele jeszcze różnych rzeczy, co tu robić, w ziemi i metalu... Panem jest całą gębą. Ma dwóch synów, którzy podzieliwszy się dobrem ojcowskim będą jeszcze panami całą gębą. Ale co nas to może obchodzić?... Pies kudłaty, jemu ciepło, chłop bogaty, jemu dobrze, prawda? co tu robić! Ot i pałac! Zajrzyjmy przez okno, jeżeli jest choć jedno nie zasmarowane kredą. Po jakiego diabła oni szyby zasmarowali kredą? Ażeby ich słońce nie przepalało, co tu robić, i aby od światła obicia na meblach nie płowiały. Pewno, pewno! słusznie! Jednak my tu znajdziemy sobie jaką dziurkę albo szparę, co tu robić, ażeby przez nią zajrzeć do środka.

Mówiąc to chodził pod ścianą pałacu, podnosił głowę, oglądał z osobna każde okno, a nie znajdując żadnej dziurki ani szparki z niezadowoleniem machał ręką i pstrykał palcami.

Roman oparł się plecami o drzewo, ramiona skrzyżował na piersi i z podniesioną głową patrzył na okna, które wzajemnie patrzyły na niego białkami martwymi spod brwi krwawych. Stanowczo miejsce to było niezdrowym. Dreszcze przebiegały mu po plecach, na piersi czuł ciężar, a w mózgu coś na kształt przerażenia sięgającego stopnia grozy. Boże, jaka pustka, jaka ruina i jaka cisza! Cyt, ktoś śpiewa! Jednak doszedł tu przecież głos ludzki! Ale to tylko zwiększa smutek.

Z dala, z dala, od pola złotego, za stawem spleśniałym, dochodziła nuta śpiewu, przewlekła i żalosna. To chłopka jakaś idąca do kościoła lub w poranek świąteczny obchodząca swój zagon lnu już dojrzałego zawiodła z całego gardła i na całe pole pieśń, która tu dochodziła kilku nutami wiolinowymi, zamieniającymi się wciąż koleją monotonną. Było to żalosne i pierwotne. Od tej pieśni w tym miejscu robiło się zupełnie już tak, jak na pogrzebie.

W tejże chwili Darnowski, przez kilka minut niewidzialny, wychylił głowę zza splotów wina, którego liście opadały mu na odkrytą łysinę. Czapkę trzymał w ręku.

— Chodź no tu, kotku — zawołał — jest jedno nie zasmarowane. Znalazłem. Popatrzmy, co tam we środku, co tu robić. Nasze oczy szyb nie przepalą ani kolorów z mebli nie wywabią! prawda? a? co tu robić! Dla dokompletowania popatrzmy sobie!

W jednym z okien wychodzących na werandę ocienioną przez zapomnienie zapewne pozostało parę szyb nie zasmarowanych kredą. Widać było przez nie dwa pokoje obszerne i część paru sąsiednich. W napełniającym je półmroku sprzęty stały z bliska ku sobie poprzysuwane i tworzące na różnych punktach skupienia podobne do gromadek widm z kształtami niewyraźnymi. Można by mniemać, że pogrążone w nocy wiecz-

nej wszystkie te krzesła, stoły, szafy, ekrany pozbiegały się w kupki z przestrachu lub z nudy na ciche narady lub gawędki. Niektóre stały wyprostowane i pełne zdumienia; inne wyciągając ramiona długie lub krótkie zdawały się o czymś rozprawiać lub o coś błagać. Jedne, wysokie i bogato przyozdobione, wyglądały uroczyście i dumnie; inne, niskie i przysadziste, miały pozór zbiedzony albo śmieszny. Lampa na bogatych łańcuchach zwisająca od sufitu nad stołem owalnym miała pozór łzawnicy zawieszanej w grobowcu nad sarkofagiem. U jednej ze ścian dość wyraźnie widać było postać nagą wymalowaną na obrazie. Ponieważ ramy znikwały zupełnie w zmroku, zdawała się ona zlatywać ku dołowi z patetycznym ruchem ramion wyciągniętych. Gdzie indziej wielkie zwierciadło odbijało w sobie portret kobiety w białej sukni. W skąpym świetle padającym na portret i zwierciadło widać było tylko suknię białą i słaby zarys bladego owalu twarzy. Pomimo woli rodziła się myśl o tym, jak przy świtaniach siwych, zmrokach szarych i światłach księżycowych ten portret i to jego odbicie patrzyły na siebie oko w oko, nieustannie, wiecznie, otoczone pustką i ciszą wieczną. W głębi najdalszej na szyby okien, przykryte warstwą kredy jak grubym muslinem, drzewa rosnące na dziedzińcu kładły cienie czarne i postrzępione. Było to tak, jak gdyby upiory z rozpostartymi palcami zaglądały do siedliska widm zapytując: „Jak się macie?“ Pod sufitami gdzieniegdzie poświaty migotały jak iskry omgłone; od rozet ze szkła kolorowych, zdobiących szczyty niektórych okien, plamki czerwone i błękitne padały na posadzki, których mozaikę bez połysków zaścięłały cienie podobne do całunów, a tam, gdzie było mniej ciemno, do krepy podartej.

Darnowscy zeszli ze wschodów werandy kołyszących się pod ich stopami, przedarli się przez kilka puszczy rozmaitych, aż znaleźli się znowu na dziedzińcu, w pełni światła słonecznego,

tuż przy gromadce ostów, które w powiewie wiatru zawzięcie trzęsły siwymi brodami.

Roman wydawał się zamyślonym, smutnym i nawet bledszym trochę niż zazwyczaj. Pan Romuald przeciwnie z ożywieniem i zapałem szeroko tłumaczył synowcowi, jakim jest gatunek ziemi, którą końcem laski rozgrzebywał. W bramie stanął i wzrokiem rozbłysłym zataczając dokoła w boki się ujął.

— Skarby, kotku, nie majątek. Ziemię to oni uprawiają nieźle, nie najlepiej, jednak nieźle, bo, co tu robić, dochody daje, a któż by mógł nie dbać o dochody? Ale powiadam ci, kotku, że jednak nie dobywa się z niej tego, co mogłaby wydać... co tu robić, nie dobywa się i koniec! Co? jak? dlaczego? Ty się tam na tym nie znasz! Wczoraj nie byłeś, dziś jesteś, jutro nie będziesz. Mało wiesz, co tu robić, mało znasz, mało dbasz...

Roman głosem stłumionym trochę przerwał:

— Mój stryju, dobrze to małej Broni nazywać mię Australczykiem, ale ty, stryju... chciałbym, abyś ty...

Pan Romuald wpadł mu w mowę:

— Niechże Bóg broni, kotku, abym ci miał krzywdę taką wyrządzać! Bronię nawet, co tu robić, za ten dziecinny żart wykrzychałem. Któż wątpić może, co tu robić, że jesteś Europejczykiem... tak, najpewniej, niewątpliwie, co tu robić, Europejczykiem jesteś... pomimo to...

Nie skończył, bo w tej chwili zbliżył się do rozmawiających młody i zgrabny chłopak, który wyszedł był z dziedzińca folwarcznego, ukrytego pomiędzy budynkami gospodarskimi. W grubym, ale już nieco zakrawającym na elegancję ubraniu oficjalisty dworskiego, wybrał się był może na przechadzkę świąteczną, ale zobaczywszy starego Darnowskiego podszedł śpiesznie i pocałował go w ramię z uszanowaniem. Darnowski uściśnął mu rękę, widać było, że znali się z bliska i poufale. Kilka minut rozmawiali o rzeczach dla Romana niewiadomych, po czym pan Romuald głową wskazując na pałac zapytał:

— Powiedźże mi, mój Władku, nie wiesz czasem, kotku, gdzie jest teraz pan Oławicki? Ja i Stefek interes mamy do niego... co tu robić... o ten młyn, co go Bolesław Wygrycz chce wziąć w dzierżawę... Możebyśmy choć napisali, co tu robić, ale dwa miesiące temu nikt tu nie wiedział, gdzie się pan Oławicki obraca... Może teraz wiecie... kotku, co?

— Owszem — odpowiedział chłopak — był w tych dniach list od plenipotenty głównego, właśnie w interesie tego młyna i pana Wygrycza...

— Cóż tedy, kotku?

— Pisał plenipotent do rządcy tutejszego, że pan Oławicki miesiąc temu przyjechał z jakichś gór, gdzie upały przebył, do Ostendy, gdzie będzie kąpał się w morzu. Zabawi tam kilka tygodni, a potem, jak zawsze, pojedzie na zimę do Paryża.

— Aha — miarkował stary Darnowski — z gór przyjechał nad morze, a potem, co tu robić, jak zawsze, pojedzie na zimę do Paryża. Dziękuję ci, kotku, co tu robić, za tę wiadomość. A nie wiesz czasem, co pan plenipotent pisał o tym młynie? Wypuszczą go w dzierżawę Wygryczowi, czy nie wypuszczą?

— Nie wiadomo — odparł chłopak — bo plenipotent od pana Oławickiego, a rządcy od plenipotenty nie mają jeszcze o tym rozporządzenia żadnego.

— Od Annasza do Kaifasza, co tu robić, a Annasz o tysiąc mil — zauważył pan Romuald i podał rękę młodemu oficjałście.

— Bądź zdrów, Władku, a pisz tam, kotku, do Ignasia, aby uczył się tego walić młotem w kowadło. Wszelka praca Pana Boga chwali, co tu robić!

Idąc ku bryczce, z dala stojącej, mówił do Romana:

— Ten Bolesław Wygrycz, kotku, to syn tego lekarza, co to może pamiętasz...

— Pamiętam, pamiętam — przerwał Roman — w miasteczku tu gdzieś mieszkał, do Darnówki przyjeżdżał...

— Otóż to... ten młody to technik... tylko co technologię

skończył, co tu robić, u ojca czasowo bawi. Do Stefka przyjechał, bieduje. Ojciec stary, matka dogorywająca, bracia niedorośli, wszystko to bez niego, co tu robić, jak pod dziurawym dachem zostanie. „Chciałbym tu gdzieś blisko — mówi — choć czarny chleb jeść“... co tu robić. Stefek mu doradził ten młyn Oławickiego. Wielki, piękny, źle prowadzony, technik zrobiłby z niego cacko... Podobał mu się ten projekt, cóż, kiedy, co tu robić, niczego dobić się nie można...

Roman tego opowiadania może nawet i nie słuchał, tak był zamyślonym. Po głowie kręciły się mu słowa: „Lampa świecąca z łaski bożej! Kanwa gotowa! Bogactwo — oś świata!“

Stanąwszy u bryczki ręką przetarł czoło.

— Wiedziałem zawsze, że tak bywa — zaczął — ale wiedzieć i widzieć — to różnica... Widząc nie mogę obronić się myśli, że trzeba być chyba łotrem albo wariatem...

Nie dokończył, bo pan Romuald szorstką dłonią rękę mu nakrył i przemówił:

— Cyt, kotku, ccyyt! ostrożnie! ostrożnie, co tu robić, z przezywaniem ludzi łotrami i wariatami! Czyż tacy tylko szukają lepszego życia? Wszyscy to robią, tylko każdy według swojej możliwości i miary. Oławicki według swojej, inni według swojej. Idzie tu, uważasz, kotku, idzie tu, co tu robić, tylko o miarę i możliwość. Ja chcę chleba, ty pasztetu, trzeci Górowa; dla tego, kto ma Górów, lepszymi są Alpy, Ostenda i Paryż. Inna miara i możliwość, rzecz, co tu robić, ta sama. I, kotku, dla tego granic nie ma... Dla ludzkich pożądań granic nie ma!

Roman po chwili namysłu odpowiedział:

— To prawda; masz słuszność, stryju. Dla tego granic nie ma...

Mówił z cicha, bo ciężar coraz większy kładł się mu na piersi. Rzecz szczególna; w stopniu najmniejszym nie był winnym temu, że znalazł Górów innym wcale, niż go sobie wyobrażał; jednak ten ciężar, który mu pierś przytłaczał i głos

tamował, był poczuciem winy, własnej winy. Było to tak, jakby odkrył, że jest spółnikiem w dziele, które sądził surowo. Przypomniął się mu „stupidowny ciężar na sumieniu“, o którym opowiadał Kazimierz Domunt.

Siedli na bryczkę; Roman spojrział na stryja, który nagle jakoś zamilkł. Z profilu widząc go spostrzegł, że fałdy policzków jego były bardzo pogłębione, usta, zazwyczaj dobroduszne, ułożyły się w linię ostrą i bolesną, a brwi siwe zwiły nad powiekami jak ciężkie chmury.

Wkrótce bryczka zaturkotała i przeraźliwie trząść się zaczęła na bruku wsi długiej, w ulicy, która od zieloności ogrodów odbijała czarnością błota. Bruk był ohydny, ale ratował od trzęsawiska, które z mętym połyskiem wód zgniłych zataczało się na podwórka i zatapiało podnóża płotków kamiennych. Pomiędzy płotkami ogrody były pełne warzyw, konopi i słoneczników; na podwórkach stały beczynnienie pługi, brony, wozy z opadłymi na ziemię dyszlami. Ludność wyległa na drogi prowadzące do kościoła, a pozostała tylko garść dzieci. Zaraz u wjazdu do wsi dwoje ich siedziało w ubraniach odświętnych na wysokiej kupie chrustu. Wyglądały jak dwa szaroczerwone posążki bożków małych, stróżujących u wrót domostwa. Gdzie indziej całe gromadki różnych płci i wzrostów hałaśliwie wypadały z podwórek albo cicho stały we wrotach i obsiadywały przyźby. Kundle żółte, pstre, kudłate czekały na przejeżdżających, kury gdakały, z niektórych kominów podnosiły się szlaki dymu; za szybkami okien ukazywały się włosy siwe, koszule szare, czasem mirt w doniczce, pęk kwiatów w garnuszk.

Pan Romuald rozgadał się znowu. Wieś, którą przebywali, należała niegdyś do Zawrocia. Stary Rosnowski, ojciec Bohdana, był człowiekiem ludzkim, chłopci mieli się tu zawsze wcale nieźle.

— Jednak to: nieźle, widzisz, kotku, jakie! Niektóre chaty próchnieją i wałą się, wszystkie razem w błocie sie-

dzą. A dlaczego? Bo nie ma, co tu robić, tej kultury i tego postępu, dla których Bohdan tak pracuje, że aż go febra trzęsie i Swój z żalu wyje. Ale to, kotku, bardzo sprawiedliwie i rozumnie. Bo o kogo tu troszczyć się i dla kogo rozum ekspensować? Gromada istot, które mają wprawdzie, co tu robić, pozór ludzki, ale zawodny i fałszywy. Zauważyłeś może dzieciaki siedzące na kupach chrustu i na przyźbach, albo te siwe włosy za okienkami, albo tę babę tak zgarbioną, pomarszczoną, która niosła na plecach wiadra z wodą? A widziałeś, kotku, co tu robić, tego chłopca dużego z dzieckiem na ręku, który śmiał się, kiedy dzieciak zaśmiał się do nas? Jak ci się podoba, kotku, takie odbijanie się uśmiechów dziecinnych na twarzach wyglądających prawie dziko pod kudłami czupryn rozczochranych? Ja sobie takie uśmiechy porównywan zawsze, co tu robić, do promyków słońca, które odbijają się w chmurach. Oni to mają, co tu robić. Mają dzieciństwo i starość, te dwa bieguny życia, pomiędzy którymi różne promyki przebijają im różne chmury. Mają też, co tu robić, cmentarz. Patrz no, kotku, tam... hen... na piasku żółtym, pomiędzy sosenkami, ten laszek krzyżów! To ich cmentarz. Mają śmierć. Zupełnie tak jak ludzie. Ale na tym, co tu robić, kończy się podobieństwo. O mnóstwie rzeczy ludzkich nie mów im nawet, bo nie rozumieją. Są to antropomorfy, prymaty, zwierzęta najpodobniejsze do ludzi. Antropomorfy zaś, jako antropomorfy, bardzo naturalnie, kotku, że, co tu robić, siedzą w błocie. Ludzie starają się, zabiegają, żyją tam, gdzie im lepiej, i tak, jak im lepiej, bo są, co tu robić, ludźmi, w dodatku wyższymi. Antropomorfy zaś wiecznie siedzą w błocie, na którym chyba jeden Bóg miłosierny zasieje czasem jaki taki kwiatek... co tu robić!

Wszystko to mówił tonem opowiadania prostego, obojętnie i monotonna. Na Romana nie patrzył, ani na nic dokoła, oprócz końca laski, na której trzymał splecione ręce. W ten koniec laski wtłoczony w kilimek okrywający bryczkę wpatry-

wał się tak, jakby wyczytywał z niego to, co mówił. Plecy miał trochę zgarbione, brwi zwisłe nad powiekami i w dół także opadające siwe wąsy.

Roman wydawał się ciągle wzruszonym i trochę bladym. Wzruszenie jego objawiało się przeważnie w oczach, które miały blask niezwykły; czyniło go to w tej chwili więcej niż kiedy indziej podobnym do Romualda i Stefana Darnowskich, mających oczy wyjątkowo ogniste. Kilka razy chciał o czymś mówić, ale zawahał się, albo przeszkodził mu towarzysz rozgadany.

Z wahaniami też w głosie przemówił:

— Wspominał mi Kazio Domunt, że prawnik, który by osiadł w tych stronach gdziekolwiek, w jakim, na przykład, miasteczku, mógłby egzystować i być użytecznym. Co myślisz o tym, stryju?

Darnowski podniósł głowę, i spojrzenie jego przesunęło się po twarzy synowca z błyskiem szybkim i żywym. Wnet potem wpatrzył się znowu w koniec laski i po krótkim zastanowieniu odpowiedział:

— Co do użyteczności, kotku, to czemuż, czemuż by nie? Owszem, naturalnie, najpewniej, co tu robić. To rozumie się samo przez się. Stefek ma nawet na tym punkcie *idée fixe*. Czy ja pamiętam jeszcze, co znaczy *idée fixe*? Bzik, kotku, prawda? Otóż Stefek ma tego bzika i, co tu robić, ja mu pewnie z głowy go nie wybiję. Ale co do egzystencji, co się tyczy egzystencji, to, kotku... co tu robić...

Poprawił się na siedzeniu, wpatrzył się jeszcze mocniej w koniec laski, przygarbił się jeszcze więcej i jakby z determinacją nagle przemówił:

— Egzystencja, no, byłaby nieosobliwa, co tu robić, bardzo nieosobliwa, kotku. Ten, kto by na nią przystał, nie potrzebowałby siedzieć w błocie jak antropomorf, ale pasztetu nie miałby wcale, co tu robić, w żadnym figuré nie miałby pasztetu. Kiepski apartamencik z podłogą sosnową i pułapem belko-

wanym, muzyczka chyba jakiego antropomorfa na harmonijce, obrazki i teatrzyki, co tu robić, te chyba, które Bóg, stwórca natury, na jej płótnie ogromnym maluje. Do tego, kotku, kłopotarstwo, zgryzotarstwo i różne plagi, podobne do egipskich. Kto to tam tego zechce? I po co? Dla bzika? Hej, hej, kotku, nie ma głupich! rozumni zaś, co tu robić, wiedzą, gdzie raki zimują! I naturalnie, kotku, bardzo naturalnie. Bo nad naturę, która stworzyła wołu, wieprza, wilka, pawia i całe królestwo zwierzęce, człowiek rzadko wzbić się może, co tu robić, choć nie antropomorfem jest, ale człowiekiem wyższym, rzadko wzbić się może, co tu robić, rzadko!

Bryczka stanęła przed wrotami cmentarza kościelnego, Darnowski podniósł głowę i zawołał:

— Masz, diable, kaftan! spóźniliśmy się. Już po procesji. Wskoczył z bryczki.

Przez otwarte na oścież drzwi kościelne wybuchał na zewnątrz śpiew chóralny z muzyką organów. W wysokim okienku dzwonnicy szarej dzwon latał; serce jego uderzając o ściany spiżowe rozlewało górą dźwięki szybkie, czyste, srebrne, tryumfalne. U kamiennego ogrodzenia kościoła, pod drzewami rozłożystymi, kwitły olbrzymie malwy dzikie, jak róże z koronami rozwartymi szeroko, i śpiewali fałszywie, niezgodnie żebracy, szeroko także otwierający usta bezzębne. Bryczki, wozy, tłum koni stały na trawie w cieniach rzucanych przez drzewa. Przy amerykańskie zaprzężonym w cztery konie leżał pies wielki, zwinięty w kłęb pstry i kosmaty. Stary Darnowski około psa przechodząc pochylił się i zawołał:

— Swój!

Zwierzę podniosło łeb i spojrzało oczyma leniwymi, lecz rozumnymi.

— Gdzie twój pan?

Pies mrugnął powiekami i powolne spojrzenie zwrócił ku drzwiom kościoła.

— Aha, tak! naturalnie, kiedy ty tu jesteś, to i pan twój gdzieś blisko. Prawda, Swój?

Swój ziewnął, a potem odpowiedział krótko:

— Hau, hau!

Co wyraźnie znaczyło: tak! tak!

IX

Kiedy dwaj Darnowscy stanęli w drzwiach zakrystii prowadzących do prezbiterium kościelnego, tłum ludzi nieruchomiał po skończonej procesji, jak fala układająca się do spoczynku. Gdzieniegdzie przebiegały ją jeszcze drgnienia, nuta pieśni nie dokończonej przeciągała się jak echo spóźnione, westchnienie zaszemrało, aż wszystko zapadło w ciszę i nieruchomość; ksiądz zaśpiewał u ołtarza i organy zagrały na wysokim chórze.

Roman kilka razy odetchnął z trudnością, jak człowiek, którego płuca znalazły się nagle w atmosferze niezwykłej, i powiódł wzrokiem po wnętrzu kościoła, przedstawiającym widok jeszcze niezwykleszy.

Przede wszystkim od stopni ołtarza do balustrady rozdzielającej prezbiterium z nawą środkową słała się na białych płótnach mozaika z ziarn zbożowych, od najciemniejszej pszenicy do najjaśniejszego owsa. Na tym tle, przypominającym brąz, złoto i słomę, kupki maku, fasoli i nasion lnianych kładły plamy czarne, białe i brunatne. Gdzieniegdzie połyskiwała na tym tle atomami srebrnymi świeżo spadła rosa wody święconej; gdzieniegdzie z okna wysokiego spływał promień słońca, i w tym miejscu kobierzec z ziarn przybierał pozór metalu roztopionego.

Dalej, za balustradą, aż do zamkniętych wrót kościelnych wyrastał z mnóstwa rąk ciemnych ogród uderzający dwa razy zmysły nagromadzeniem ogromnym barw i zapachów. Były

to pierwociny płodów letnich, dobyte z ziemi przez te same ręce, które je teraz podnosiły ku niebu. Stąd wysilenie wyobraźni naiwnych, aby je uczynić najozdobniejszych. Szczegóły niesłychanie znane i powszednie; pomysły prostacze. Czego tam nie było? Rozczochrane jęczmienię, mietlice i drzączki, długie kiście szafirowego akonitu, noszącego nazwę trzewiczków Matki Boskiej, baldachy żółtego kopru przysłaniające amarantowość buraków, marchwie ciekawie wyglądające spomiędzy bławatków, główki kapusty w wiankach astrów, łodygi malw rozkwitłych, pęki makówek suchych, piołuny srebrne, słoneczniki ogromne, mięty, piżmo, barwinek i ruta! Girlandy rozchodników opadały dokoła gałęzi owieszonych jabłkami, rzepy, rzodkwie i kartofle jak nagłówki konieczne siedziały na tykach wysokich. Pasma lnu płowe i lśniące zwieszały się na ramionach; plastry miodu w misach glinianych stały na balustradzie. Wszystko razem było mnóstwem barw zmieszanych, po których przelewały się połyski kruszcowe.

Z tego ogrodu napowietrznego, który prawie całkowicie zasłaniał głowy i twarze ludzkie, wybuchało zmieszanie aromatów napełniających kościół od dołu do szczytu. Górowały w nim gorzkie wonie mięt, piołunu i rumianku, wyraźnie jednak odcinały się ostre kopry i kminy, jabłka pachniały winem, spodem słały się mdłe zapachy warzyw, a tu i ówdzie bładziły atomy miodne. Od lnów także szedł zapach podobny do kurzawy lekkiej, i coś ekliwego, zrazu trudnego do rozpoznania, wybijało się jeszcze z tej puszczy aromatycznej: był to wosk, przypominający gromnice, trumny i brzęki pszczelne w pasiekach zielonych.

Nad tym wszystkim wznosiły się ściany kościelne, szarawe od starości, tu i ówdzie przerzniete plamami malowideł starych albo liniami godeł świętych. Wysoko, za oknami wąskimi a długimi, przepływały po błękitach obłoki kędzierzawe; powietrzem, dusznym od puszczy zapachów, płynęła muzyka organu.

Roman długo wodził dokoła oczyma, aż nisko pochylił gło-

wę. Spadł nań smutek przypomnień, idący zawsze od rzeczy dawno przeminionych, które powstają z grobu i kołają do serca długo przed nimi zamkniętego. On to wszystko widywał, znał, zapomniał, przypominał, rozpoznawał. Ale oprócz smutku, na który składają się po kropli dnia każdego życia, doświadczał uczucia z naturą daleko więcej tajemniczą. Było to uczucie winy. Towarzyszyła mu myśl niewyraźna, że miał je w sobie już od dawna i że teraz przedzierało się mu ono na sam wierzch świadomości. Miał je w sobie już wówczas, gdy jadła go zgryzota życia na pozór pomyślnego; wówczas, gdy patrząc na firmament gwiaździsty wybuchał śmiechem z rojeń o wielkości własnej; wówczas także, gdy wśród nocy słyszał w tętencie zegara i graniu świerszczy w trawach niepokojące i tajemnicze: tak — nie! tak — nie! Dziś, przed godziną, to uczucie winy wzrosło w Górowie opuszczonym, a teraz wzmogło się do stopnia takiego, że sam przed sobą zmalował do rozmiarów czegoś, co omijając jakieś prawo najważniejsze przestawało być czymkolwiek. Było to dojmujące i przygniatające. W świątyni, po której niegdyś dziecięce oczy jego szukały Boga, w morzu woni rodzinnych, w upalnym oddechu tłumu prostaczego, zaczynał cierpieć więcej niż kiedykolwiek w życiu, a przynajmniej w sposób więcej popychający do czegoś, naglący. Siła jakaś niepojęta popychała i nagliła go do ostatecznego rozpoznania i zrozumienia tego, co dotąd spostrzegał mętnie i w głębiach oddalonych.

Z muzyki religijnej, z woni wyziewanych przez kwiaty i kłosa, z obrazu zasłanego ziarnami i twarzami ludzkimi, rozsypanymi jak ziarna pokorne u stóp Wszechmocy, dobywały się wyobrażenia i wyrazy coraz znikające, ale ogromne. Nie mógł jeszcze zatrzymać ich w mózgu, ale powstawały jak płomienie i znikając pozostawiały miejsca sparzone przez ogień.

W ścisku ludzkim łowił wzrokiem szczegóły, jakby na powierzchni morza odbicia jego dna. Krople potu połyskiwały w bruzdach przerzynających czoła ogorzałe; u warg wąskich

i białych wieszala się cierpliwość długa i pokorna; tu i ówdzie z policzków zapadłych wyzierał głód. Pod filarkiem cienkim, u którego chorągiew zwinięta świeciła gwiazdami spłowiałymi, z gromadki twarzy młodych wiosna biła, jak z pęku anemon i piwonii; dalej, daleko, pod gzymsem chóru, białe włosy świeciły tu i ówdzie, jak płat śniegu pozłożony przez promień księżyca.

Zmienił kierunek spojrzenia i o kilkanaście kroków przed sobą zobaczył Bohdana Rosnowskiego stojącego na przeciwległym skraju kobierca z ziaren. O krawędź ławki oparty, w paltocie zwisającym na postaci trochę ciężkiej, chociaż wychudzonej, Rosnowski miał na twarzy cerę żółtą i obojętny wyraz człowieka znajdującego się na miejscu dla niego niewłaściwym. Wielka pewność siebie i niejake przyzwyczajenie do zajmowania sobą miejsc szerokich malowało się w postawie niedbałej i zaokrągleniu ramienia trzymającego w ręku kapelusz. Powieki miał spuszczone i usta trochę skrzywione pod krótkim, gęstym wąsem. Ogarniało go znużenie dosięgające stopnia bezwładu uczuć. W tej twarzy, znużonej i apatycznej, tylko wielkie, rozumne czoło myślało, ale łatwo było odgadnąć, że myśl — to jedyne światło, które nigdy w nim nie gasło — znajdowała się stąd daleko.

Roman odwrócił oczy, pochylił nisko głowę i po raz pierwszy w życiu popadł w zamyślenie takie, w którym człowiek głuchnie dla wszystkiego, co go otacza, a staje oko w oko z duszą własną. Tylko z nią jedną, ale oko w oko. I jeszcze z życiem własnym takim, jakim było nie na powierzchni, ale w głębiach duszy. Patrzył, przypominał, porównywał, aż dwa wyrazy uderzyły świadomość jego z jasnością i siłą przeraźliwą. Chciał zrazu cofnąć się przed nimi, ale nie mógł. Znajdował się w momencie psychologicznym, w którym prawda nie może być ani uniknioną, ani odłożoną na później. Jasno i stanowczo, tak jak sędzia czyta wyrok obwinionemu, przeczytał dwa wyrazy dobyte z głębin duszy własnej: Żył źle.

Potem, niby motywy wyroku, przewlekły się przez mózg słowa:

„Dla parawaników chińskich.“

Podniósł oczy i wzrok jego zatrzymał się na niedalekiej twarzy kobiecej. Po raz pierwszy spostrzegł tu Irenę, klęczącą niedaleko, pod zwartą ścianą tłumu. Klęczała z rękoma splecionymi na balustradzie i oczyma wzniesionymi wysoko. W sukni ciemnej i prawie ubogiej uwypuklała się na jaskrawym tle wznoszącej się za nią ściany tłumu. Więzie roślinne trzymane nad jej głową i ramionami ujmowały ją w ramy kwieciste i nastrzępione. Atmosfera kościelna, gorąca i duszna, powlekła jej twarz rumieńcem, ale coś, co było w niej samej, zmąciło zwykły jej wyraz spokoju. Wzruszenie drżało na ustach nieco rozwartych, na rzęsy wzniesione występowały krople duże i przesłaniając źrenice spływały na policzki jedna za drugą.

Nieświadomie, posłuszny instynktowi, który był może instynktem zachowawczym jego duszy, Roman obrócił twarz w stronę, ku której ona zwracała swoją, i wzniosł wzrok ku punktowi, w którym tkwił wzrok jej przysłonięty łzami, aż ujrzał to, czego dotąd był nie spostrzegł.

Wysoko, nad szczytem ołtarza, zobaczył postać Chrystusa białą i zgiętą pod krzyżem spoczywającym na jej barkach, ciemnym i wielkim. Wysoko, nie tyle przecież, aby nie można było rozróżnić dokładnie linii oblicza, które pochylało się ku dołowi spod brzemienia dzwiganego z wyrazem cierpienia i litości. Skrwawione i cierpiące, było nade wszystko litościwym. Biło z niego to apogeum miłości, którym jest ofiara. Narzędzie ofiary, krzyż ogromny, linią ukośną wysuwając się znad twarzy umęczonej i litościwej, szerokie ramiona rozpościerał nad kobiercem ziarn zbożowych. Jakkolwiek te ramiona nie sięgały dalej, oczom patrzącym z dołu zdawało się jednak, że coraz wzrastają i rozpościerają się nad pstrym morzem ludzi i roślin, zalewającym padół kościelny. Nieruchome i nieme,

posiadały ruch i mowę. Wyciągały się coraz dalej i ciekły na padół kościelny słowami:

— „Błogosławieni, którzy płaczą, albowiem oni będą pocieszeni...”

„Błogosławieni, którzy cierpią za sprawiedliwość...”

„Błogosławieni miłosierni...”

W umyśle Romana, zapatrzonego w górę, zapanowywała cisza taka, jaka zazwyczaj poprzedza wschód słońca. Na widnokrąg jego wschodziło słowo magiczne. Nagle zrozumiał znaczenie krzyża panującego nad pokojem Stefana i zagadkę spokoju Ireny wobec przyszłości smutnej, a może nieszczęsnej. Zrozumiał prawo rządzące życiem ludzi, którzy wiele wyrzekają się i znoszą. Z oblicza umęczonego i z ramion krzyża rozpostartych nad morzem ludzkim weszło na widnokrąg jego umysłu magiczne słowo: ofiara!

Wtem usłyszał szum i łoskot podobny do wichru. Z trudnością oderwał wzrok od punktu górnego i powiódł nim po kościele. Jak wody opadające na dno łóżyska, tak tłum ludzki zniżał się ku posadzce kościelnej. Stawało się to szybko, ale stopniowo: najwcześniej u balustrady, najpóźniej pod gzymsem chóru i u wrót zamkniętych. Na całej przestrzeni zawartej w ścianach szarawych od starości pstre morze przybrało jeden poziom, ludu opadłego na klęczki. Tylko ludu, bo ogród zniknął. Na ziemię rzucone, plecami zasłonięte, kolanami zgniecione, więzie roślinne wydały wonie spotęgowane i zniknęły odsłaniając ścisk gęsty ubiorów, głów, twarzy, z którego wybuchnął śpiew podobny do grzmotu:

— „Święty Boże, święty mocny, święty nieśmiertelny, zmiłuj się nad nami!”

Antropomorfy przemówiły. Przyniosły tu wszystkie swoje nędze i żądania, przeczucia rzeczy wielkich, iskry śpiące pod popiołami, głody wyzierające z policzków zapadłych, poty stojące na czołach zoranych, i chórem ogromnym przemówiły do Boga:

— „Zmiłuj się nad nami!”

Roman znowu spojrzał w górę. Ogromny krzyż rósł, rósł w oczach; w miarę wzrastania śpiewu na padole kościelnym ramiona jego rosły, rozszerzały się, ruchem litości bezbrzeżnej rozpościerały się nad bezbrzeżnym morzem nędzy ludzkiej. Spod krzyża oblicze uwieńczone cierniami i krwią ociekające zdawało się także pochylać coraz niżej, coraz niżej i na padół wrzący krzykiem błagalnym lać szept ofiarny:

— Za was, dla was...

Romana przebiegły dreszcze takie, w jakich zazwyczaj rodują się uczucia wielkie, z jakimi może ptak rozpina skrzydła do lotów wysokich. Doświadczył rzeczy dziwnej. Wydało się mu, że serce jego, własne jego serce małe, wchodziło w inne, bardzo ogromne, bo wypełniające sobą kościół od dołu do szczytu. To małe serce łączyło się z tym ogromnym, razem z nim uderzało, płonęło, płakało i razem z nim z całej siły swojej zawołało:

— Zmiłuj się nad nami!

ZAKOŃCZENIE

Wypadkiem wszyscy mieszkańcy starego domu w Darnówce zeszli się razem dokoła stołu jadalnego na parę godzin przed południem. Zazwyczaj każdy o tej porze był czymś zajęty, ale dzisiaj deszcz padał, trzeba było przerwać roboty w polu. Pan Romuald przed chwilą przyszedł ze stodoły, w której huczała młockarnia; Stefan zszedł z góry do Domunta, który pomimo deszczu przyszedł z Kaźmirówki z oznajmieniem, że mularz skończył już robotę około świeżo budowanych pieców, a tracząc zabrakło drzewa do pilowania desek na podłogę. Irena postawiła filiżankę przed panią Pauliną, która, wstając najpóźniej ze wszystkich, o tej porze pijała zawsze swoją ranną kawę, i zakrzętnęła się około podania przekąski, której pan Romuald, wstając bardzo wcześnie, zażądał dla siebie i gościa, trochę przemokłego od deszczu. Bronia, w kątku pokoju, z książką w ręku, trochę uczyła się lekcji, trochę przemawiała do Czuwaja, że jest to wstyd, aby pies tak wielki, rozumny i poczciwy nie umiał mówić. Swoją umie, więc i Czuwaj umieć powinien.

Pani Paulina, która już od kwadransa przerzucała klocki drewniane pomiędzy niemi rozsnutymi na poduszce, przerywając rozmowę mężczyzn o mularzu i deskach na podłogi, zapytała o Romana:

— Gdzież Romek? czy śpi jeszcze? Co dzień przychodzi o tej porze i pije ze mną kawę.

Może spał jeszcze, bo Stefan o piątej z rana idąc do gospo-

darstwa widział przez drzwi niedomknięte światło palące się jeszcze w jego pokoju. Chorym jednak nie był, tylko zapewne przez całą noc pisał, bo przed udaniem się do swego pokoju zachodził do Stefana i prosił go o kilka kopert rozmiarów różnych, których, jak mówił, nie miał z sobą.

Irena postawiła przed wujem małą tacę z chlebem, serem i wędliną. Potem wzięła klucze leżące przy samowarze i wyszła z pokoju.

Deszcz padał coraz większy, dzwonił po szybach i ściekał po nich strugami wody. Siedzące przy stole osoby przestały na chwilę rozmawiać; w ciszy przerywanej tylko szelestem kartek przewracanych przez Bronię dało się słyszeć szybkie zbieganie ze wschodów.

— Romek idzie! — zawołała Bronia.

Wszedł i prędko przybliżywszy się do stołu pocałował stryjenkę w rękę, stryja w ramię; Stefanowi i Domuntowi ręce uściśnął.

— Dzień dobry, dzień dobry! — wołała do niego Bronia z kąta pokoju.

— Dzień dobry myszce — odpowiedział.

— I Czuwajowi także? — zagadnęła dziewczynka.

— Naturalnie, i Czuwajowi, ponieważ jest twoim faworytem.

Wydawał się wesołym, wcale nie znać było po nim nocy niespanej. W rękę trzymał kilka zamkniętych kopert rozmiarów różnych. Może był trochę podniecony, bo w oczach miał blask niezwykły; ale usta świeże uśmiechały się wesoło spod wąsa zakręconego trochę zuchwale. Usiadłszy zwrócił się do stryja.

— Mój stryju — rzekł — mam do ciebie wielką prośbę, a także do stryjenki i Stefana. Nie odmawiajcie mi, moi kochani i serdeczni, gościnności swojej w Darnówce, dopóki nie wyszukam tu sobie gdziekolwiek miejsca dla rozbicia namiotu i umieszczenia pod nim swoich penatów.

— Zdecydowałeś się więc! — zawołał Domunt.

— Zdecydowałem się — odpowiedział Roman; — napisałem z uwiadomieniem wszędzie, gdzie trzeba...

Pan Romuald obu rękoma opierając się o stół powoli podnosił się z krzesła. Ogniste oczy jego tkwiły w twarzy synowca. Zmarszczki rozpraszały się po całym czole jak ukośne promienie. Nagle zawołał ze śmiechem:

— Bzik cię opanował, a? co tu ro... — głos załamał mu się w gardle, i odwrócił twarz do okna, może dlatego, aby ukryć powłokę szklistą, pod którą znikają mu źrenice.

— Trzeba tylko wyszukać miejsca na warsztat — rzekł Roman.

Stefan wyciągnął do niego rękę.

— Będziemy razem szukać, braciszku.

Pani Paulina splatając chude ręce lamentowała:

— Mój Romku, któż by się był tego spodziewał! Ach, ach, ach, taki światowy był z ciebie człowiek, tak dobrze żyłeś i tak wysoko szedłeś... A teraz, ach, ach, ach, będziesz w jakiejś norze będę klepał, i daj Boże, abyś tylko miał porządną kawałek chleba. Choć z drugiej strony, my ciebie tak kochamy, i dla nas to taka radość, a kiedy człowiek jest otoczony tymi, którzy go kochają, i robi to, co Pan Bóg przykazał...

Nie wiadomo, co więcej mówiła, bo głos jej zagłuszał szczebiot Bronki, która naprzód z wielkim krzykiem zarzuciła Australczykowi ręce na szyję, potem pocałowała go głośnie w oba policzki, a potem łeb Czuwaja aktem przemocy do ręki jego przychylając wołała:

— Dziękuj, Czuwaj, no, dziękujże panu... dziękuj, bom taka rada... no, Czuwaj, słyszysz? polizże pana w rękę...

Ale zaraz porzuciła Czuwaja i skoczyła ku Irenie wchodzącej do pokoju:

— Iruś, wiesz? nowina! wielka nowina! Ale nie powiem jaka! zgadnij!

Irena powiodła wzrokiem po obecnych, zgadła i stała cicha

z rękoma opadłymi na fartuch w szare kratki, wpatrzona w Romana, jakby olśniona.

On prędko podszedł do niej i podając jej zamknięte koperty rzekł głosem, który trochę zadrżał:

— Odeślij to na pocztę...

Potem wziął obie jej ręce w swoje i z cicha przemówił:

— Nie ja, nie moje, nie mnie, nie dla mnie...

Patrzył w jej twarz okrytą wyrazem szczęścia, spłonioną aż do skraju włosów kruczych, i myślał, że w oczach tej kobiety ku niemu wzniesionych wschodzi dla niego radosne święto życia. Myślał, że w życiu srogim jest też miłosierdzie wielkie, które na ofiary ludzkie leje balsamy łagodzące.



Australczyka zaczęła Orzeszkowa pisać jesienią 1893 roku. Donosząc Méyetowi w liście z dn. 16. X. 1893 o powrocie ze wsi (z Poniemunia) do Grodna dodaje, że wkrótce zapewne zabierze się do pracy literackiej, którą będzie „powiastka nieduża“, przeznaczona z góry dla petersburskiego *Kraju*, „bo w Warszawie byłaby niecenzuralną“.

Zapowiedź ta, zwłaszcza jej część ostatnia, wywołała przykry rezonans. Méyet, który należał do przeciwników ideologicznych *Kraju*, starał się wszelkimi sposobami odwieść autorkę od zamiaru powierzenia nowego utworu temu tygodnikowi, bojkotowanemu podówczas przez znaczny odłam warszawskiego społeczeństwa. Sprawa ta, szczegółowo przedstawiona w *Listach* (t. II cz. I str. 86, 308—310), otrzymała co prawda epilog pomyślny, przez czas dłuższy jednak ciążyła nieprzyjemnie nad powstawaniem *Australczyka*, przyczyniając autorce wiele przykrości i niepokoju. Nic dziwnego, że w takiej sytuacji niesporo szło jej z pisaniem.

„Od wczoraj — donosi 21. XI. 1893 Méyetowi — wzięłam się znowu do powieści, która wyrasta mi pod piórem do objętości sporego tomu — i która prawdopodobnie po mojej śmierci drukowaną będzie, bo w Warszawie mi jej nie puszcza, a w Krakowie wydawać ja nie chcę. Niech sobie będzie i „po latach wielu“, tylko że wtedy na nic się nie przyda. Przedmiot jej współczesny, palący, najważniejszy może dla istnienia naszego w tej chwili: emigracja młodzieży polskiej z Litwy na Wschód, przez co Litwa szybko przestaje być polską. Ale Warszawa o niezmiernej wadze tego fatalnego casusu wie bardzo niewiele, bo nie o nią samą tu chodzi...” (*Listy*, t. I cz. I str. 309).

Czy rzeczywiście problem poruszony w *Australczyku* odnosił się tak wyłącznie do Litwy, że Warszawa o tej sprawie niewiele wiedziała — można wątpić. Można wątpić tym bardziej, że pomysł *Australczyka* zrodził się... w Warszawie, w głowie człowieka, którego trzeba uważać za warszawiaka. Oto w jednym z listów Józefa Kotarbińskiego do Orzeszkowej (światnie zachowanych w zbiorach Towarzystwa im. El. Orzeszkowej w Warszawie), w liście — co najciekawsze — pisany na cztery lata przed powstaniem *Australczyka* (list nosi datę: 25. XII. 1889 r., Warszawa), znajdujemy projekt dramatu bardzo zbliżony do głównej osnowy *Australczyka*. Część tego listu

została podana w 2 części II tomu *Listów Orzeszkowej* (str. 355 i nast.), mianowicie przy omówieniu genezy *Westalki*, „fragmentu dramatycznego“ powstałego latem 1891 i będącego rozwinięciem innego pomysłu Kotarbińskiego. Część zaś dotycząca referowanego zagadnienia brzmi, jak następuje:

„2) *Dramat współczesny, cztero lub pięcio-aktowy, z tytułem od nazwy bohatera. Osnuty on na kwestii poruszanej już szeroko przez Szanowną Panią. W gruncie przedmiot jego cenzuralny, ale nie do przeprowadzenia na warszawską scenę — więc można by go pisać dla Galicji, jak Zalewski napisał swą komedię *Górą nasi*. Temat istotnie dramatyczny — gdym go opowiadał Henklowi, nazwał go najdramatyczniejszym motywem współczesnym. Bohater sztuki, młody człowiek z Waszych okolic, kształcący się w mieście północnym, umysł wrażliwy, gorący, niespokojny, opanowany całkiem przez dążenia i utopie kosmopolityczne. Dramat polega na postawieniu tego człowieka pomiędzy obowiązkiem najbliższym, swojskim, patriotycznym, a robotą agitatorską, socjalistyczną... Śmierć ojca powołuje go do majątku rodzinnego (lub do fabryki, ale lepiej do majątku). Ma on przed sobą zadanie podźwignięcia ojcowizny, bez niego, bez jego pracy na swojskim gruncie, majątek runie, rodzina jego i matka poniosą ciężkie straty — ale z drugiej strony, zaawanturował się tak daleko w robotę socjalistowską, że trudno mu się cofnąć. Zdolny, energiczny, o dzielnej głowie, posiadał tajemnice organizacji podziemnej, jest jedną z głównych jej sprężyn. Więc toczy się w jego duszy walka pomiędzy dwoma wpływami, połączona z biegiem wypadków zewnętrznych. Matka lub siostra jego reprezentują nie tylko interesa rodzinne, ale przywiązanie do sprawy swojskiej, obowiązki patriotyczne. W tym kierunku działa także młoda, dzielna kobieta, którą lubił jako dziewczeczkę, kochał nawet uczuciem pierwszokowym przed wyjazdem do uniwersytetu na studia. (Może się to dzieć po skończeniu uniwersytetu, żeby bohater był dojrzałszy, mógł zostać w mieście dla dalszych studiów niby lub jakiej pracy fachowej). Obecnie dawna dziewczeczka dojrzała, wywarła na niego wpływ ogromny, powoli wykłwita pomiędzy nimi miłość silniejsza, z którą on walczy, ponieważ się poświęcił idei. Z drugiej strony, działa na niego wysłaniec komitetu tajnego, twardy radykał, bezwzględny, nieugięty agitator, jedna ze „sztab żelaznych“, jak mówi znający tych ludzi Spasowicz. Stąd walka dwu obowiązków, walka uczuć, szamotanie się bohatera, który chce już porzucić wszystko, ale poruszony przez matkę i przez nią, chce zostać dla pracy na własnym gruncie. Wzywają go dawni towarzysze, grożą, ponieważ jako odstępeca jest niebezpieczny... Rozwiązanie tragiczne — bohater ginie, ponieważ nie może iść na prawo ani na lewo, ponieważ w jednym i drugim kierunku zaangażował się fatalnie. Położenie bez wyjścia; ginie, bo poświęcił obowiązek najbliższy*

dla „widm“. Można by tak przeprowadzić akcję, że przyjechawszy na pogrzeb ojca, zostaje pewien czas i pociągnięty współczuciem dla matki oraz urokiem jej, angażuje się w pracę na rodzinnym gruncie i w miłość, szamocząc się ze sobą. Truje go ciągle myśl o innych zobowiązaniach. Po chwilowej ciszy zjawia się fatalizm utopii i propagandy. Ginie sam, uprzedzając wyrok sądu tajemniczego, rujnując szczęście rodziny i szczęście kobiety, którą może np. zaślubić. Połączenie wątku namiętnościowego lub erotycznego z dramatyzmem społecznym może tu być bardzo właściwe i dodać sztuce uroku. Charaktery główne: jego, jej, matki i wysłańca komitetu mogłyby być szeroko i energicznie nakreślone“.

Tyle Kotarbiński. Orzeszkowa proponowanego dramatu współczesnego nie napisała, nawet, o ile wiemy z jej listów, nie próbowała go pisać. Skorzystała w tym zakresie z innego pomysłu Kotarbińskiego — ze świata antycznego — i wysnuła z niego, jak już wspomniano, *Westalkę*. Ale i ten drugi projekt zafrapował autorkę. Musiała jednak usunąć z niego to, co stanowiło właściwie jego istotę, mianowicie „zaawanturowanie się“ bohatera „w robotę socjalistowską“. Sprawy te bowiem były dla niej obce, a o rzeczach, których nie znała z autopsji, pisać nie umiała i nie chciała. Pozostał tedy motyw „emigracji zdolności“ oraz szczegóły fabularne, które naszkicował Kotarbiński. Te — z pewnymi modyfikacjami — znalazły się w *Australczyku*.

Jeżeli przy omawianiu genezy literackiej *Australczyka* wypadało wymienić nazwisko Kotarbińskiego, nie sposób, gdy chodzi o pewne szczegóły techniczne tej powieści, nie wspomnieć o Janie Karłowiczu. Ten bowiem muzyk i filolog w jednej osobie był dla autorki tym, do kogo zwracała się z wątpliwościami językowymi i prośbami o teksty piosenek potrzebnych do pisania utworu. Z paru jej listów do Karłowicza poświęconych tym sprawom warto dla przykładu podać jeden wyjątek, tym bardziej, że daje on możność określenia ścisłej daty powstania pewnej części utworu. Dziękując Karłowiczowi za pióro, które otrzymała odeń w czasie swej niedawnej bytności w Warszawie, wspomina — w liście z Grodna z dn. 13. XII. 1893 — o swej pracy literackiej, w związku z którą znosi do adresata dwie prośby:

„Nie mogąc pisać arcydzieł takim nawet piórem, bazgrzę powiastkę, dość mizerną zapewne, ale która zajmuje mię bardzo. Wykonanie będzie moje, więc najpewniej i wielce niedoskonałe, ale osnowa jest śmiała, świeża, pod innymi piórami nie wyszarzana, i to dla mnie jej wdzięk stanowi. Z powodu tej powieści mam do Pana prośbę. Potrzebuję do niej paru mazurków Szopena, czyli naturalnie słów do ich śpiewania, i kilku jeszcze piosenek polskich z oper czy kompozycji dobrych twórców muzycznych, ale koniecznie polskich. Wybiorę z nich zapewne kilka strof zaledwie, ale potrzebuję mieć z czego wybrać — do sensu. Gdzie mogłabym dostać to

wszystko, nut nie potrzebuję, tylko słów, ale nie mam pojęcia, czy to się znajduje gdziekolwiek bez nut i kogo o to prosić? Niech mię Szanowny Pan naucz, jak mam tej potrzebie czy temu wymysłowi powiastki mojej zadośćuczynić? I jeszcze prosba: potknęłam się o pewną trudność czy niepewność językową. U nas tu mówi się pospolicie: „kryć dach“ — w znaczeniu: „robić dach“. Czy to jest poprawnie i czy można powiedzieć: „siedział na przezroczystym wiązaniu z krokwi kryjąc dach na stodole“. A jeżeli nie kryjąc, to jak? Szukałam w Lindem: co się robi z dachem, gdy go się robi? — i nie znalazłam. Udaję się do Pana“. (*Listy*, t. II cz. 1 str. 85).

Z przytoczonego fragmentu wynika, że w połowie listopada 1893 pracowała Orzeszkowa nad IV rozdziałem powieści, w którym właśnie znajduje się wymienione przez nią zdanie (w wydaniu niniejszym str. 133), tam też mamy piosenkę — *Brzózkę* ze zbioru Jana Czeczota *Piosnki wieśniacze znad Niemna i Dźwiny* — wybraną z licznych tekstów, jakie nadesłał autorce usłużny Karłowicz; dziękuje mu za nią („*Brzózka* w sposób szczególny przypadła mi do myśli“) 11. II. 1894.

W tymże liście donosi Orzeszkowa o ukończeniu powieści. Z utworu jednak nie była zadowolona. Jeszcze w trakcie pisania zwierzała się Karłowiczowi ze swego nieukontentowania: „Powieść moja postępuje i mam nadzieję, że skończę ją przed nowym rokiem. Ze smutkiem widząc jej niedostatki, którym zapobiec, gdybym nawet umiała, nie mogę, jestem nią przecież zajęta bardzo żywo. Przedmiot jest tak nowy i wielostronny, że potrzebowałby jak największego pogłębiania, ale zarazem tak drażliwy dla cenzury, że można tylko traktować go szkicowo. Szkicuję tedy, mówię pólslówkami, kreślę linijki cieniutkie i często urywam je w połowie. A bon entendeur salut! Plastyka postaci szczególniej źle na tym wychodzi; czasem rozpacz mi ogarnia, ale bronię się od niej myślą, że trzeba do końca stać na wyłomie, jak podobna i z czym podobna“ (*Listy*, t. II cz. 1 str. 86). Teraz jednak — po ogarnięciu wzrokiem całości — zdecydowała się Orzeszkowa powieść napisać powtórnie. W liście wspomnianym wyżej (z dn. 11. II. 1894) tak o tym pisze: „W ogóle ta zima nie przechodzi mi ani pomyślnie, ani przyjemnie. Sześć tygodni miałam takiej zawieruchy z przyczyn różnych, że pisać wcale nie mogłam. Od dni dziesięciu jednak piszę znowu i już skończyłam *Australczyka*. Okazała się przecież konieczność własnoręcznego przepisania i zarazem poprawienia, trochę przerobienia tej powieści, co zajmie jeszcze około dwóch miesięcy czasu. Ale może powieść będzie nienajgorsza“. (*Listy*, t. II cz. 1 str. 87).

Obie te redakcje, jakkolwiek niepełne, zachowały się w zbiorach Leopolda Męyeta, znajdujących się obecnie w Bibliotece Ordynacji Krasińskich w Warszawie (sygn. 5173). Rękopis redakcji pierwszej liczy stron numero-

wanych 368, urywa się u końca rozdz. IX, brak mu zatem tylko Zakończenia. Nie posiada też Wstępu; tego jednak, co wyraźnie wynika z treści pierwszego rozdziału, redakcja pierwotna nie posiadała w ogóle. Część rękopisu drugiej redakcji, zachowana w Bibliotece Ord. Krasieńskich, jakkolwiek ma taką samą prawie objętość (stron 360, właściwie wskutek drobnej omyłki w numeracji — 358), zawiera tekst powieści tylko do połowy rozdz. VII (kończy się na słowach Rosnowskiego: „Takim jest moje bogactwo...i nie macie przyczyny kłuć mi nim w oczy“ — tu str. 201). Udało się jednak znaleźć (w zbiorach Towarzystwa im. E. Orzeszkowej w Warszawie) dalszy ciąg tego rękopisu (str. 361—447), zawierający koniec rozdz. VII, cały rozdz. VIII i IX, wreszcie Zakończenie, pod którym figuruje data: 22 lutego 1894 r.; data ta, oznaczająca dzień ostatecznego wykończenia *Australczyka*, podana została — jak należy sądzić z porównania jej z datą cytowanego wyżej listu autorki do J. Karłowicza z dn. 11. II. 1894 — według starego stylu, właściwie więc powieść została ukończona 6 marca 1894 roku. Na tym właśnie drugim, skompletowanym w całości autografie oparła się niniejsza edycja *Australczyka*.

Po raz pierwszy powieść ta była drukowana, tak jak chciała autorka, w petersburskim *Kraju*, w rocznikach: 1894 (w nrach: od 50 z dn. 28 = 16. XII. do 52 z dn. 11. I. 1895 = 30. XII. 1894) i 1895 (w nrach: od 1 z dn. 18 = 6. I. do 23 z dn. 20 = 8. VI). Pierwsze wydanie książkowe wyszło w Petersburgu w r. 1896 nakładem K. Grendyszyńskiego. Drugie ukazało się w r. 1913, nakładem Gebethnera i Wolffa, w serii Ciekawych Powieści.

* * *

W niniejszym wydaniu Pism Orzeszkowej *Australczyk* miał się ukazać jako tom XXIV, poprzedzony dwoma tomami *Melancholików* i tomem zawierającym *Jędzę* oraz *Pieśń przerwana*. Atoli znalezione w ostatnich czasach listy autorki, pozwalające bardzo ściśle określić daty powstania poszczególnych utworów składających się na zbiór pt. *Melancholicy*, każą przesunąć go na dalsze miejsce, gdyż zawiera on, zarówno w tomie I (*Ogniwą*), jak i w drugim (*Wielki, Bracia*), rzeczy napisane już po *Australczyku* i *Pieśni przerwanej*, a przecież kryterium układu niniejszej edycji stanowi zasada chronologii.

SPIS RZECZY

	Str.
Wstęp	7
I	53
II	75
III	89
IV	117
V	138
VI	156
VII	176
VIII	219
IX	238
Zakończenie	245
Nota bibliograficzna	249

Biblioteka Główna AP w Siedlcach
nr inw.: KG - 61



61